W NUMERZE: K. Frejdlich pisze z Rumunii ■ E. Szuster wspomina pierwsze dni wolności ■ Reportaż o ludowym twórcy ■ Rozmowa z chłoporobotnikiem ■ Problemy zbiorowego żywienia ■ Irańska nafta ■ Historia zdobycia Mount Everest ■ Łowicz — wdzięczne miasto ■ Polemika na temat życia umysłowego ■ Felietony ■ Recenzje

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 5 (1104) ROK XXII 4 LUTEGO 1979 R. CENA 3 ZŁ.

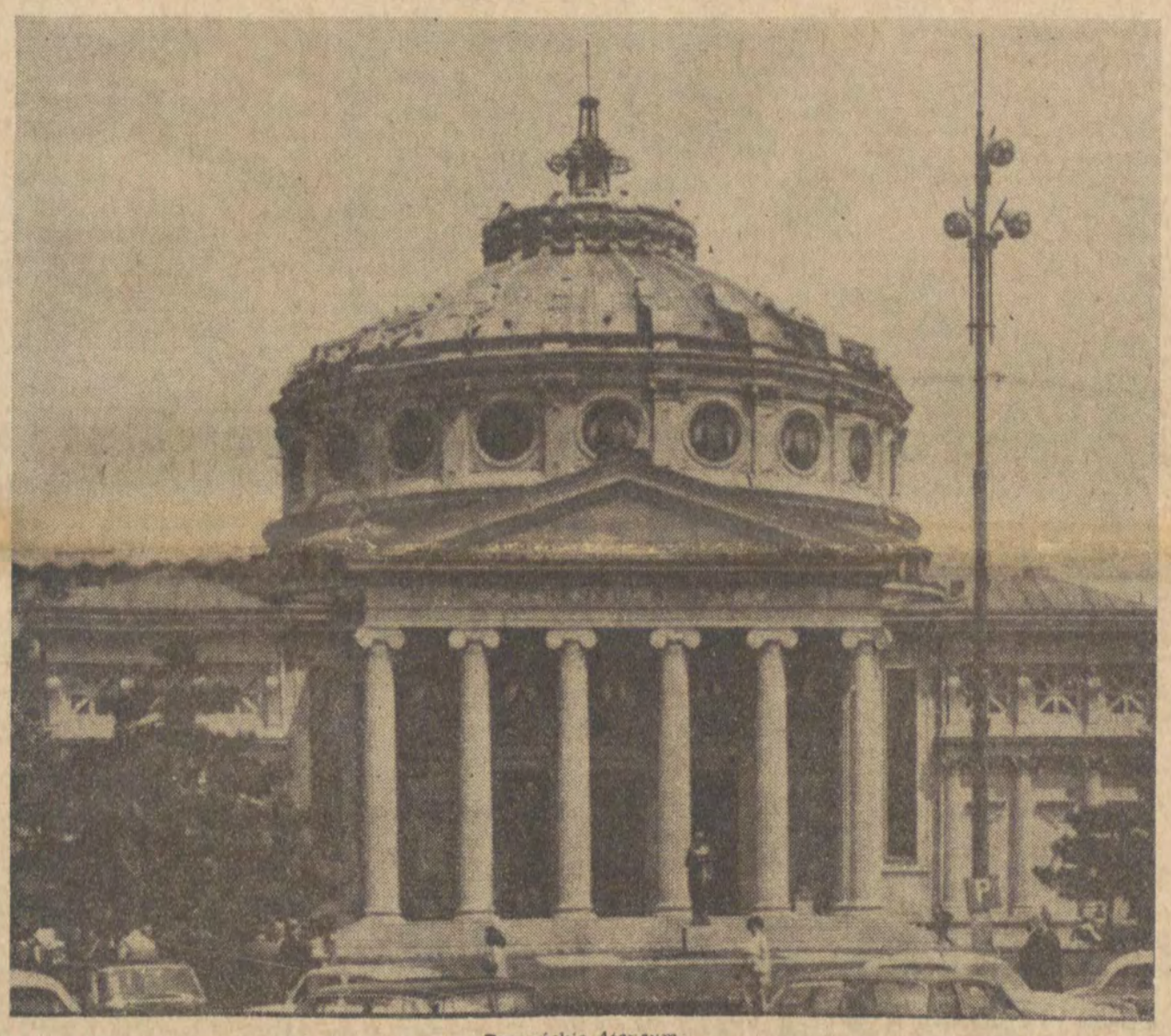

Rumuńskie Ateneum *Foto: Archiwum*

KONRAD FREJDLICH

MUŚNIĘCIE RUMUNII

Na Otopeni zaległa lepka, brudna mgła, przez którą ledwie przeświecały światła pozycyjne lotniska. I raczej poczułem niż zobaczyłem, że samolot kołuje już w kierunku okazałego budynku dworca, który znałem dotąd z fotografii.

Po warszawskim mrozie bukareszteńska wilgoć przejęła mnie niemal wiosennym dreszczem. Przy trapie milczący żołnierz. W cieniu skrzydła jeszcze jeden. Dopiero w autobusie przekonałem się, że powolny Ił-18 nie przyleciał tak pusty, jak to wyglądało w powietrzu. I czekałem na spotkanie z tym specyficznie rumuńskim zapachem, który kojarzy mi się z mamałygą, ludzką ciżbą, oliwą, zaduchem wagonu i Bóg wie z czym jeszcze, a po czym z zamkniętymi oczami poznaję Bałkany.

1.

Ten zapach dopadł mnie dopiero w klasycystycznym budynku opery, gdy podczas antraktu zaszedłem do bufetu. Czy taki aromat wydaje prażona kukurydza? Wszędzie słyszało się polską mowę. I nic dziwnego. Trzeba mieć wyjątkowe szczęście, aby już pierwszego dnia trafić na premierę **„Strasznego dworu" Moniuszki**, jedynej, jak dotąd, opery, polskiej wystawionej przez rumuński teatr. Spektakl otrzymał nie tylko staranną oprawę, ale i zastrzyk polskiej krwi, bowiem kierownictwo muzyczne sprawował w nim **Antoni Wicherek, dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego w Warszawie, dekoracje i kostiumy zaprojektował Adam Kilian, za choreografię odpowiedzialny był Witold Gruca, a całość wyreżyserowała Maria Foltyn.** Te nazwiska mówią same za siebie nie tylko w Polsce, ale już także w Rumunii, gdzie publiczność wywoływała przed kurtynę realizatorów i długo nie milkły wiwaty.

Moniuszko po rumuńsku brzmiał nieco jak opera włoska, ale kiedy włączał się chór i kiedy, mimo kiepskiej akustyki sali, orkiestra pokazywała co potrafi pod batutą Wicherka, odnajdywałem prawdziwie polskie rytmy. W takich momentach rozpogadzała się twarz siedzącego obok mnie w loży redaktora Lewandowskiego z Polskiej Agencji Prasowej, który martwił się cały czas jak

Dalszy ciąg na str. 10

NIE JESTEM GORSZY

Rozmowa z ANDRZEJEM BARANEM, chłoporobotnikiem z Terenina

— Z Terenina do Garwolina jest dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Dlaczego uciekł Pan tak daleko i zostawił ojca, który był świetnym kowalem i dobrym gospodarzem?

— Ostatnio cztery dni nie było mnie w domu. Jestem zmęczony, a córeczki stęsknione za tatusiem i dlatego tak pchają mi się na kolana. Odwiedzałem ojca w Siedleckiem, nie ma między nami niechęci ani wrogości... — mówi **Andrzej Baran.**

— A jednak Pan wyjechał...

— Owszem, ale popełniłem tylko jeden błąd. Gdybym nie miał tak pstro we łbie i dłużej posiedział w kuźni, zdobyłbym papiery czeladnika i mógłbym świadczyć usługi dla sąsiadów, bo tacy fachowcy są dzisiaj na wsi poszukiwani.

— Dziesięć lat temu wcale się na to nie zapowiadało.

— Dlatego też zostałem kierowcą mechanikiem. Byłem naprawdę dobrym traktorzystą i nieźle zarabiałem. Przyczepiałem do ciągnika trzy przyczepy i za jednym kursem załatwiałem paliwo, odstawę mleka i serwatki. Kiedy się ożeniłem, zacząłem pracować w PKS.

— Żona namówiła na wyjazd?

— Żona była referentem w urzędzie gminnym, ale z chwilą urodzenia pierwszego dziecka na zawsze przestała być urzędniczką. Zaraz potem miał się żenić mój brat, uznaliśmy więc, że takie siedzenie na kupie może być trochę krępujące. Postanowiliśmy usamodzielnić się i zbudować dom w rodzinnych stronach, ale w okolicach Garwolina nie ma przemysłu i ziemia cholernie droga. Kiedy trafiłem na tę gospodarkę pod Pabianicami, cena wydała mi się tak niska, że dopiero po czasie zorientowałem się, iż przepłaciłem. Szybko dałem zadatek siedemdziesięcioletniej samotnej wdowie, która na ponad trzech hektarach trzymała jedną krowinę, i wróciłem w Siedleckie, żeby zwolnić się z pracy w PKS i wziąć udział w weselu brata.

— A jak ojciec przyjął waszą decyzję?

— Ojciec był dobrym gospodarzem, ale do dziś nie da się przekonać, że można gospodarować jeszcze lepiej. Nie zatrzymywał mnie. Na pożegnanie powiedział, że skoro idę w świat, może mnie spotkać bieda, i dał mi cielną krowę, żebym miał mleko dla dziecka, gdyby ludzie nie chcieli mi sprzedać...

— I pewnie słowa ojca się spełniły?

— To był wstrząs, potężny cios na wytrzeźwienie. U ojca było wszystko, a tutaj nic. Ani płota, ani deski, żeby zbić koryto dla świni. Przychodząc tutaj pięć lat temu, mieliśmy po dwadzieścia trzy lata, półroczne dziecko, metalowe łóżko, cztery krzesła, wózek, kredens, tę krowę, jedyną żywicielkę, którą jakby na pamiątkę trzymam do dziś, oraz zapał do pracy i poczucie dumy, że nareszcie jesteśmy na swoim. Do izb lało się przez dziurawy dach, ziemia tak zapuszczona, że przez trzy lata wywracałem pługiem perz, a łąki musiałem przeorywać, żeby urosła jakaś trawa.

— A wokół obcy ludzie...

— Ja byłem obcy, oni nieufni i podejrzliwi. Jak wypożyczyłem konia do roboty w polu, przez całe lato musiałem odrabiać. Na dodatek ta wdowa, w czasie gdy byłem na weselu u brata, wprowadziła mi lokatorkę, staruszkę, której się spalił dom. Staruszka mnie również by spaliła, bo chodziła do lasu po choinę i tak dymiła, że można było się udusić. Miała wychowanka, biednego pijaczynę, który często przychodził i podpuszczony przez kogoś, albo też jemu samemu pomyliły się strony świata, wykrzykiwał, że wyrżnie tych przybłędów Ukraińców, którzy podstępem wyłudzili gospodarkę od biednej wdowy. Byłem opanowany; kupiłem rower i woziłem na nim z pola zielonkę. Pcham raz rower z zielonką, a ten facet wyciąga nóż i wrzeszczy: „Chciałeś być „bauorem", to zapieprzaj, głupku, a ja i tak ci potem dobiję!" Oparłem rower o drzewko, chapnąłem go za klapy, potrząsnąłem i od tej pory ten facet często u mnie zarabia w polu na gorzałkę...

— Jest dowiedzione, że gdy na trzech hektarach sieje się żytko i sadzi kartofle, trzeba gdzieś dorobić, żeby utrzymać rodzinę. Pan musiał wszystko ciągnąć od podstaw.

— Musiałem iść do pracy. Dostałem się na akcję zimową do MPGK, poznałem trochę ludzi, różne zakłady pracy i wkrótce zostałem przyjęty do Miejskiej Straży Pożarnej w Pabianicach jako kierowca mechanik. Komendant znał moje trudności i wykazał wiele zrozumienia, toteż po wypełnieniu obowiązków służbowych mogłem zrobić w warsztacie coś dla gospodarstwa. Na przykład wyszykowałem sobie bezużyteczny przetrząsacz do siana, teraz są tylko dwa w Tereninie, bo nigdzie nie można dostać. Ale w pierwszej kolejności kupiłem konia. Potem wziąłem na spłaty kosiarkę, siewnik i kopaczkę, a za pożyczone pieniądze nabyłem drugą krowę. Wzięliśmy się za hodowlę świń, sprowadziłem knura zarodowego i udowodniłem sąsiadom, którzy

Dalszy ciąg na str. 8

KRONIKA KULTURALNA

19 stycznia 1979 roku odbył się w Teatrze Wielkim uroczysty koncert z okazji **34 rocznicy wyzwolenia Łodzi.** Na koncert przybyli m. in. I sekretarz KŁ PZPR, przewodniczący Rady Narodowej **Bolesław KOPERSKI** i prezydent m. Łodzi **Józef NIEWIADOMSKI.** Wystąpiły zespoły estradowe Pieśni i Tańca Ludowego Wojska Polskiego **„Eskadra"** i **„Flotylla"**. Organizatorami koncertu byli: ŁK FJN i Urząd Miasta Łodzi.

* * *

Rok 1979 będzie **„Rokiem Archiwów"**. Choć w Łodzi uroczystości z tej okazji odbędą się dopiero jesienią, już teraz — z inicjatywy **Wojewódzkiego Archiwum Państwowego** — została wydana oryginalna widokówka łódzka z reprodukcjami starego i nowego herbu miasta. Warto dodać, że rysunek pierwszego herbu pochodzi z barokowej pieczęci, używanej przez władze miejskie w XVI—XVIII w. Drugi herb, wzorowany na starym, tradycyjnym, obowiązuje od 1934 roku.

* * *

Roli i zadaniom twórców — plastyków w przemyśle poświęcona była specjalna narada, jaka — z inspiracji łódzkiej instancji partyjnej — odbyła się w styczniu br. w gmachu **PWSSP**. Uczelnia ta jest — jak wiadomo — jedyną placówką w kraju przygotowującą artystów — projektantów dla przemysłu lekkiego. Spotkanie przedstawicieli PWSSP oraz zjednoczeń, biur projektowych i ośrodków badawczo-rozwojowych przemysłu lekkiego służyło ustaleniu ściślejszej płaszczyzny współdziałania uczelni z przemysłem. Zgłoszono wiele konkretnych propozycji i postulatów, zmierzających m. in. do zwiększenia wpływu przedstawicieli przemysłu na program kształcenia projektantów, a także do polepszenia warunków pracy projektantów i bardziej racjonalnego wykorzystania ich wiedzy oraz umiejętności w przemyśle.

* * *

Do Włoch wyjechała reprezentacyjna część zbiorów sztuki nowoczesnej, znajdujących się w łódzkim **Muzeum Sztuki.** Będą one eksponowane na wielkiej wystawie sztuki konstruktywistycznej w **Rzymie** i w **Wenecji.** Ekspozycji tej towarzyszą dwie wystawy indywidualne ze zbiorów łódzkiego Muzeum: wystawa obrazów i — po raz pierwszy pokazywana za granicą — kolekcja oryginalnych fotografii autorstwa **Stanisława Ignacego Witkiewicza** oraz wystawa dzieł jedynego żyjącego konstruktywisty polskiego — **Henryka Stażewskiego.**

* * *

Na **VII Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Delhi** jedną z trzech głównych nagród — **„Złotego pawia"** otrzymał film dokumentalny łódzkiego reżysera z WFO **Bogdana Dziworskiego** pt. **„Olimpiady"**. Podczas festiwalu zaprezentowano ok. 200 filmów fabularnych i dokumentalnych z 39 krajów Azji, Afryki, Ameryki i Europy.

* * *

Jak wynika z **„Kalendarza imprez kulturalnych"** ogłoszonego przez **Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,** Łódź będzie w 1979 roku gospodarzem jednej imprezy międzynarodowej: **I Międzynarodowego Biennale Małych Form Plastyki** planowanego na czerwiec przez BWA, oraz organizatorem jedenastu imprez o charakterze ogólnopolskim. Najbliższymi z nich będą organizowane przez **Łódzki Dom Kultury:** w marcu — **III Krajowy Kongres Iluzjonistów** oraz **Dni Kultury Województwa Miejskiego Łódzkiego w Ostrawie (Czechosłowacja),** w kwietniu — **Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego o „Złote Czółenko".**

* * *

Andrzej Hibner z **Łodzi** został zwycięzcą strefowych eliminacji kolejnej edycji **konkursu recytatorskiego im. Zenona Klemensiewicza,** zorganizowanych przez łódzki **Klub Nauczyciela.**

* * *

Zakończyła się **pierwsza olimpiada znajomości języków krajów zachodnich wśród studentów wyższych szkół artystycznych,** zorganizowana przez **RU SZSP** w łódzkiej **Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej.** Miło nam donieść, że w specjalności języków: francuskiego i angielskiego najlepsi okazali się reprezentanci PWSFTViT. Natomiast najlepszymi germanistami byli studenci poznańskiej **Wyższej Szkoły Plastycznej.** Uważamy, że pomysł tej imprezy jest znakomity i godny kontynuacji.

* * *

Jak już informowaliśmy, **80 rocznicę urodzin i 65-lecie pracy twórczej** obchodził w styczniu nestor łódzkich pisarzy **Horacy Safrin.** Z tej okazji był on 25 stycznia gościem tradycyjnego **„Czwartku literackiego"** w klubie **Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych"**

* * *

Wydana dokładnie w momencie rocznicowych obchodów Horacego Safrina jego najnowsza książka **„W arce Noego"** jest jednym z **50 tytułów,** jakie w **1979 roku** zaoferuje czytelnikom **Wydawnictwo Łódzkie.** Wśród ciekawszych pozycji należy wymienić antologię poezji polskiej poświęconej Krajowi Rad, antologię poezji armeńskiej — pierwszą w ramach cyklu zbiorów poezji narodów Związku Radzieckiego, nowe powieści łódzkich pisarzy, m. in. **A. Makowieckiego, T. Giegiera** i **B. Sztajnerta,** wiersze i poematy **W. Broniewskiego,** wybrane dramaty **L. Kruczkowskiego,** zbiory reportaży łódzkich dziennikarzy oraz eseje **Jana Koprowskiego** poświęcone recepcji polskiej literatury za granicą.

* * *

Z galerii plastycznych. Dawno nie spotykaną frekwencją cieszy się położona nieco na uboczu i przez łodzian nie doceniana **Galeria Bałucka.** Blisko 100 widzów odwiedza ją codziennie dla **wystawy malarstwa Jerzego Dudy-Gracza,** pretendującego — z inicjatywy telewizyjnego Magazynu Kulturalnego **„Pegaz"** — do miana **„malarza roku".** Dużym powodzeniem cieszy się również **wystawa grafiki i rysunku Andrzeja Bielawskiego w Salonie Sztuki Współczesnej.** Natomiast okazją do zorganizowania interesującej imprezy kulturalnej stał się **wernisaż Zygmunta Hyżego** w **Międzyzakładowym Domu Kultury „Energetyk".** Poświęcono ją tematowi Łodzi w sztuce: od łódzkich szopek począwszy przez otwarcie wystawy Hyżego po wieczór łódzkich wspomnień, w którym wzięli udział, zaprzysięgli łodzianie": **Roman Kaczmarek, Jan Huszcza, Mieczysław Woźniakowski i autor wystawy...** Natomiast w **Klubie Dziennikarza** zainaugurowano działalność **Galerii Młodych.** Wystawę malarstwa przedstawił **Grzegorz Walas.**

* * *

Z żywą reakcją publiczności spotkała się zainicjowana przez redakcję **„Expressu Ilustrowanego"** wraz z **Teatrem Nowym** tradycja **„Wieczorów rodzinnych"** w tym teatrze. W czasie tych wieczorów liczni czytelnicy „Expressu" oglądali kolejno: **„Zemstę"** Fredry i **„Cień"** Młynarskiego w reżyserii **Kazimierza Dejmka.** Imprezom tym towarzyszy losowanie nagród: bezpłatnych zaproszeń do Teatru Nowego, fotosów aktorów oraz książek o teatrze.

* * *

Wydarzeniem muzycznym stycznia stało się w Łodzi wykonanie jednego z najwybitniejszych dzieł muzyki oratoryjnej — psalmu symfonicznego **Artura Honeggera — „Król Dawid".** W wykonaniu udział wzięli: chór i orkiestra **Państwowej Filharmonii Łódzkiej** pod dyrekcją **Henryka Czyża** oraz soliści — **Stefania Woytowicz, Krystyna Szczepańska** i **Bogdan Paprocki.** Partie mówione recytowali: **Zofia Rysiówna** i **Andrzej Żarnecki.**

* * *

Trwają prace redakcyjne nad przygotowaniem almanachu zawierającego dorobek literacki konkursu o nagrodę **„Rubinowej Hortensji"**, organizowanego **w latach 1966—1978 w Piotrkowie Trybunalskim.** Na prośbę jego organizatora — **Wydziału Kultury i Sztuki UW w Piotrkowie** zwracamy się z apelem do nagrodzonych i wyróżnionych w tym konkursie autorów o nadesłanie swych tekstów, noty biograficznej i fotografii na adres: **Feliks Rajczak, ul. Marii Skłodowskiej 4 m 15, 98-220 Zduńska-Wola.** Apel nasz dotyczy zwłaszcza tych autorów, do których — wobec braku aktualnego adresu — nie dotarło imienne pismo Wydziału Kultury i Sztuki. W antologii planowany jest udział 81 autorów.

* * *

Na przełomie stycznia i lutego odbyło się kolejne posiedzenie **Kolegium Rektorów Miasta Łodzi,** poświęcone sprawom dalszego rozwoju kultury w środowisku studenckim. Przyjęty został „projekt programu humanizacji studiów wyższych w Łodzi", który przewiduje wprowadzenie **wychowania estetycznego dla studentów I r.** (od października 1979 r.). Drugim ważnym kierunkiem działań jest zakończenie remontu i adaptacji pomieszczeń dla **Akademickiego Ośrodka Kultury „Siódemki".** Warto przy tej okazji przypomnieć, że w tej chwili w łódzkim środowisku studenckim działają m. in. **Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe,** organizujące rocznie ok. 100 imprez, w tym dwa festiwale, **Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki „Science Fiction",** dwa **Dyskusyjne Kluby Filmowe,** kluby: **„Art-Forum"** przy al. Kościuszki 93 i **Galeria** w klubie UŁ **„Na Piętrze", Grupa Premierowa** zajmująca się organizacją tradycyjnych już „premier studenckich" w łódzkich placówkach artystycznych, trzy teatry studenckie: **Teatr 77** (od 1 stycznia br. ma charakter profesjonalny), **Teatr „Pstrąg"** i **Teatr „Cytryna".** Ostatnio w Łodzi powstało 5 nowych grup teatralnych: **„1957", Teatr „TUM", „Studio-Teatr", Teatr Politechniki Łódzkiej, Teatr Environment** działający przy nowo utworzonym **Ośrodku Inicjatyw Twórczych** (al. Kościuszki 93), **Teatr w Klubie „Eskulap".** Ten ostatni jest precedensem w Łódzkiej kulturze studenckiej. Tworzą go bowiem studenci **Wydziału Aktorskiego PWSFTViT,** realizujący spektakle poza programem uczelni i bez pomocy pedagogów. Na takiej zasadzie powstał np. świetny spektakl pt. **„Więźniowie"** wg **Athola Fugarta** przygotowany przez **Krzysztofa Kaczmarka** i **Edwarda Zientarę** w ramach aktywnie ostatnio działającego **Koła Naukowego** przy Wydz. Aktorskim PWSFTViT. Poza wymienionymi formami działają w środowisku studenckim Łodzi: cztery kabarety, dwa zespoły jazzowe i dwa chóry akademickie. Nadal jednak sprawą aktualną jest stworzenie odpowiedniej bazy dla rozwoju wielu z tych interesujących form. Studenci liczą w tej mierze na pomoc władz miasta oraz uczelni.

„NIECH KAŻDY SPRZĄTA PRZED SWYMI DRZWIAMI..."

Tak brzmi początek skromnego czterowiersza, którego nie napisał bynajmniej w formie poetyckiego zarządzenia Johann Wolfgang von Goethe, minister księstwa Weimaru, lecz Wielki Olimpijczyk, nie stroniący od takich drobiazgów jak sentencje, aforyzmy czy epigramaty. A sens tego miniaturowego utworu jest jasny: jeśli w mieście i w całej feudalnej krainie zapanować ma porządek, to każdy z poddanych Jego Wysokości winien dbać o własne podwórko.

Studiując w Alma Mater Vindoboniensis germanistykę i nieraz susząc sobie głowę nad łamigłówkami drugiej części „Fausta" — nie rozumiałem, dlaczego u schyłku swych lat Geniusz nad geniuszami zdobył się na taki rymowany komunał, postulujący coś, co się przecież rozumie samo przez się...

Dziś domyślam się, acz nie kartkując w annałach owych lat, że Weimar nawiedziła podówczas żywiołowa klęska w postaci fali mrozów i nieoczekiwanych opadów śniegu, którego nie uprzątnięte zwały piętrzyły się przed poszczególnymi domostwami.

Pomny cytowanego na wstępie wierszyka, nie zdziwiłem się wcale, że również nasze władze — choć niewiązaną mową — zwoliły przypomnieć komu należy o obowiązku utrzymywania podwórek i chodników w należytym porządku.

A spoczywa ten obowiązek na barach, miotłach i łopatach dozorców, którzy od przedwojennego przezwiska „cieć" awansowali niedawno do zaszczytnego miana „gospodarzy domu". Co prawda, współczuwałem im szczerze w czasie śnieżyc i roztopów, ale nikt i nic nie może ich zwolnić od odpowiedzialności za stan powierzonych im, nierzadko kilkusetzibowych posesji. Powinien im przy tym przyświecać budujący przykład krociowych rzesz współobywateli w cywilu i mundurach odśnieżających ochotniczo nieprzejezdne ulice i drogi.

Przysłowie głosi, że dobry przykład czyni cuda. A zły przykład? Ośmielam się twierdzić, iż działa rozbrajająco i zniechęca do uczciwej pracy.

Ażeby nie być gołosłownym, przytoczę tylko dwa fakty:

W najbliższym naszym sąsiedztwie rozprzestrzeniają się wielopiętrowe gmachy Domu Handlowego „Central", do którego w dnie powszednie i przedświąteczne walą, jak na odpust, tysiączne tłumy — a chodnik przed tym handlowym gigantem, nie oczyszczany od wielu dni, zalega warstwa brudnego śniegu. Bezpośrednio przed Nowym Rokiem byłem naocznym świadkiem, jak ciężarówka z towarem wjechała na podworce, zatrzymała się u wnijścia do tego nowoczesnego Sezamu, z samochodu wysiadł kierowca, pośliznął się na oblodzonym i nie posypanym piaskiem betonie, runął jak długi i podniósł się z trudem, tamując krew spływającą po opuchniętym policzku.

Rzecz jasna, że poszkodowany otrzyma kilkutysięczną rekompensatę za „wypadek przy pracy", ale kto ponosi odpowiedzialność za tego rodzaju stan rzeczy? Nie rozumiem, jak przedsiębiorstwo, wykazujące dzień w dzień milionowy utarg, może w ten sposób narażać na szwank — mówiąc ogólnie — zdrowie i całość kończyn swoich cierpliwych klientów?!

I jeszcze jeden kwiatek z tej mocno zaśnieżonej łączki: Nie opodal „Centralu" znajdują się biura Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej — a więc instytucji powołanej do czuwania nad porządkami w skali ogólnołódzkiej. Lecz spróbuj, Czytelniku, wejść na dziedziniec domu, w którym mieści się owa władza nadzorcza, a ugrzęźniesz w zaspach śniegu i topniejącego błota.

Nie są to, niestety, odosobnione przykłady lekceważenia przepisów przez „gospodarzy" i niektóre jednostki handlowo-przemysłowe. Dlatego w pełni doceniam apel nadrzędnych władz.

Rad bym zakończyć dzisiejszy felieton jakąś dowcipną pointą. Jednak na próżno się głowię. Nie wymyślę nic mądrzejszego od czterowiersza nieśmiertelnego Olimpijczyka z Weimaru.

HORACY SAFRIN

LISTY DO REDAKCJI

* * *

Po ukazaniu się w nr 50 „Odgłosów" felietonu autorstwa ĆWIEKA czujemy się w obowiązku przedstawić Redakcji faktyczną potrzebę umieszczenia ogłoszenia nt. nowości twarożkowych w prasie, nie traktując tego jako reklamy pomysł wybity wielkimi czcionkami do przeczytania „lewym okiem", a informację — ogłoszenie o serii pilotażowej twarożków dla oceny konsumenta i zbadania chłonności rynku.

Uważaliśmy, że tylko taka forma podania informacji spełni swoje zadania, tym bardziej, że artykuły o których mowa nie stanowią podstawowych, znanych już i przyjętych przez łódzki rynek twarożków smakowych (truskawkowy, waniliowy) i twarożków bez dodatków (tłusty, chudy). Wykorzystując minimalne zresztą luzy produkcyjne, bez odpowiednich urządzeń do sporządzania ekstraktów mieszanek smakowych, przy braku typowej folii nakrywkowej, podjęliśmy się produkcji nie w celu zalania rynku w poszczególnych dniach tygodnia serkiem dla własnej (organizacyjnej, produkcyjnej, dokumentacyjnej) wygody, a w celu znalezienia odpowiedzi o najbardziej pożądanym na rynku, bez uciekania się do mnożenia strat w postaci przyjmowania nie sprzedanych twarożków.

W ślad za wspomnianym felietonem Ćwieka ukazały się wzmianki w „Słowie Powszechnym", „Głosie Wybrzeża", „Głosie Grudziądzkim" oraz w „Polityce" będące niewątpliwie reklamą naszych Zakładów na terenie całego kraju — szkoda tylko, że przeprowadzona w taki właśnie, tendencyjny i złe zrozumiany sposób.

Ponieważ „Polskie Radio" w przeddzień ukazania się felietonu podało w podobnej formie jak w/w czasopisma swój komentarz jesteśmy przekonani, że przy najmniejszej chęci poznania problemu u źródła przed napisaniem felietonu autor nie musiał by brać naszych Zakładów za wzór złej organizacji produkcji, sprzedaży i reklamy.

Byłbyśmy radzi, aby redaktor Ćwiek złożył wizytę w naszych Zakładach w Łodzi, przy ul. Omiotowej i zechciał poznać blaski i cienie naszego Przedsiębiorstwa.

mgr inż. Krzysztof Wesołowski
Z-ca Dyr. ds. Handlowych

* * *

Przedrukowując w „Odgłosach" mój wiersz o Łodzi, obniżono jego i tak nieszczególną wartość artystyczną, choć jest to tekst z wielu względów mi bliski.

Zamiast „ludzie biegli z biciem serca obliczać" — powinno być: „biegli biciem serca obliczać" boć to nie tylko o domy czy ulice chodziło, ale i o bliskich, przyjaciół, znajomych.

Zamiast „A gwizd syreny był jak hasło: przynominało się warsztatom" — powinno być: „przypominano się warsztatom" (w domyśle: robotnicy przypominali się warsztatom).

Łączę pozdrowienia:

JAN HUSZCZA

Łódź, 20.I. 1979 r.

OCZEKIWANIE I ZAWÓD

Choć w rubryce tej najczęściej omawiam spektakle teatru telewizji, wielokrotnie dawałem już wyraz przekonaniu, że przyszłość produkcji artystycznych TV należy do filmu. Widowiska przygotowywane techniką teatralną i rejestrowane na taśmie magnetowidu nigdy nie osiągają tej precyzji i dopracowania obrazu i montażu, jaki cechuje programy filmowe. Zapotrzebowanie telewizji na filmy fabularne jest olbrzymie, przeliczyć je można na setki godzin projekcji rocznie. Gorzej jest z zaspokajaniem tego zapotrzebowania.

Najprostsze wydawałoby się sięganie do normalnej produkcji filmowej przeznaczonej dla kin. Na świecie produkuje się przecież tak wiele filmów. W praktyce okazuje się jednak, że korzystanie z filmów wielkoekranowych przez telewizję natrafia na liczne przeszkody. Główną stanowią najróżnorodniejsze obostrzenia i utrudnienia, jakimi producenci filmowi obwarowują swoje dzieła. Zanim zgodzą się na prezentację filmu w telewizji, chcą go maksymalnie wyeksploatować w kinach. W efekcie na ekrany telewizorów trafiają filmy bardzo stare, nakręcone przed kilkunastu laty, czy jeszcze dawniej.

Stare filmy mają pewien swój smak, ale w pewnych ograniczonych dozach. Gdy w telewizji panują wszechwładnie, budzą w nas zniecierpliwienie lub znudzenie. Wynika to z faktu, że konwencje filmowe starzeją się bardzo szybko. Ludzie starszego pokolenia łapią się chyba często na tym, że oglądając obecnie film znany sobie sprzed lat, odbierają go znacznie gorzej niż kiedyś. Starzyzna — mówimy z niechęcią, bowiem współczesne kino przyzwyczaiło nas do innych form i treści.

Czy zatem dobrze, że nawet polska produkcja filmowa pokazywana jest w telewizji z circa dziesięcioletnim opóźnieniem? Z pewnością nie. Chciałoby się, by z ekranu częściej przemawiała do nas współczesność i to zarówno w sensie tematycznym, jak i formalnym.

Ta sytuacja uzasadnia konieczność produkowania filmów z przeznaczeniem specjalnie dla telewizji. Nie muszą one wiele różnić się od normalnych filmów kinowych. Dobrze oczywiście, jeżeli realizatorzy uwzględniają podczas produkcji fakt, że film będzie oglądany na małym ekranie, powinien zatem być maksymalnie czytelny, mieć kadry nie przesycone nadmiarem szczegółów. Ale główną zaletą filmu telewizyjnego jest fakt, że został wyprodukowany przez telewizję i że nie ma przeszkód, by wkrótce po ukończeniu trafił na małe ekrany.

Nasza telewizja, chcąc zapewnić sobie odpowiedni napływ filmów, powołała do życia własną wytwórnię filmową „Poltel", a także korzysta z pomocy zespołów filmowych naszej kinematografii. Dzięki temu coraz częściej mamy możność oglądać polskie seriale telewizyjne, niektóre bardzo udane. Natomiast wciąż jeszcze odczuwamy niedosyt fabularnych filmów telewizyjnych nieseryjnych. Poczynając od września ubiegłego roku, mieliśmy — o ile dobrze pamiętam — wszystkiego trzy czy cztery premiery polskich filmów telewizyjnych, jeśli nie liczyć seriali. Nic dziwnego więc, że każda taka premiera budzi duże zainteresowanie.

Może właśnie fakt, że zbyt wiele sobie po polskich filmach telewizyjnych obiecujemy, spowodował, że nadany ostatnio obraz Janusza Zaorskiego „Zaległy urlop" mógł tylko rozczarować. A zapowiadał się ciekawie, przede wszystkim dzięki znakomitej obsadzie ról głównych. Zofia Mrozowska cieszy się od lat zasłużonym uznaniem i sympatią widzów. Jerzy Bińczycki zaś podbił nas wstępnym bojem swą niezapomnianą kreacją roli Bogumiła w „Nocach i dniach".

Zapowiadając premierę „Zaległego urlopu", telewizja określiła film ten jako opowieść o późnej miłości dwojga ludzi. W zestawieniu z nazwiskami głównych wykonawców brzmiało to obiecująco. Cóż, kiedy zapowiedź była zdecydowanie myląca. Miłość stanowiła w tym filmie element marginalny, ledwie zaznaczony szkicowo i nie dający aktorom zbyt wiele materiału do stworzenia bogatych psychologicznie postaci.

Głównym motywem opowieści był problem moralny bohaterki, w obliczu którego znalazła się w swej pracy zawodowej. W dodatku sytuacja, jaką wydumali autorzy filmu, jest mało przekonywająca. Dla przedterminowego wykonania projektu nowego zakładu produkcyjnego całe otoczenie pani Marii (takie imię nosi w filmie Mrozowska; a swoją drogą dziwne, czemu wszyscy wokół są utytułowani, a to dyrektor, a to inżynier, tylko główną bohaterkę wszyscy nazywają „pani Maria"!) wywiera na nią nacisk, by zrezygnowała ze zbadania terenu i ewentualnego wykorzystania istniejącego tam uzbrojenia. Pani Maria jest w tym gronie jedna sprawiedliwa, za co spadają na nią najróżniejsze przykrości. W dodatku zachowuje się tak, jak spadochroniarz zrzucony na tyły wroga. Gdzież to uchowała się taka niedzisiejsza pani, dla której zaskoczeniem są fakty zwykłych świństewek popełnianych przez ludzi? W dodatku Mrozowska wydaje się być przedramatyzowana, „na wyrost" w stosunku do roli.

Nie, nie wyszedł ten film Januszowi Zaorskiemu!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

KOMUNIKAT

Po opublikowaniu artykułu o rewaloryzacji zabytków Krakowa otrzymaliśmy od naszych Czytelników wiele telefonów i pytań na temat form deklarowania pomocy społecznej. Z tego względu podajemy adres kompetentnego organu i numer konta bankowego:

Zarząd Rewaloryzacji Zabytków Krakowa
Kraków, ul. Bracka 13
konto: NPB VII Oddział w Krakowie
nr 35073-6321-189-85

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI

Foto: Archiwum

EDWARD SZUSTER

KAWAŁKI TAMTEGO CZASU

1. SAMOLOTY

Przyleciały dobrze już po południu, ze wschodu, od strony Pilicy, śmigając parami dość nisko nad ziemią. Dziś wiem, że były to samoloty szturmowe — wówczas nie miałem o tym zielonego pojęcia. Stałem na środku drogi i gapiłem się jak mkną ponad wsią i nikną za lasem, gdzieś w kierunku Piotrkowa. Niepodzielnie panowały na szarzejącym już zimowym niebie żaden messerschmidt czy focke-wulff nie odważył się wznieść w powietrze. A iły śmignęły po nieboskłonie i zniknęły. Domyśleliśmy się — mieszkańcy Podlubienia i wszyscy, których tam wówczas zaniosło — że niezadługo powinny wracać i czekaliśmy na skrzyżowaniu wiejskiej ulicy z traktem łączącym Łęczno z odległym Lubieniem. Staliśmy więc na tym skrzyżowaniu, czekali i spoglądali w ciemniejące już niebo, gdy nagle, zza lasu od strony Dąbrowy, wyskoczyła prosto na nas para samolotów i zanim zdołaliśmy się połapać, coś zaterkotało, coś nad nami zaświstało, samoloty zniknęły za nadpilicznym lasem a ze stojącej przy krzyżówce stodoły zaczął się unosić dym. W parę chwil później cała strzecha była w płomieniach, które nic sobie nie robiły z leżącej na dachu grubej pokrywy śniegu. Rzuciliśmy się do ratowania, ale niełatwo jest ugasić płonącą stodołę, pełną wysuszonej słomy upchanej między równie suche deski. Widocznie pilot wziął ludzi skupionych na skrzyżowaniu dróg za hitlerowskich żołnierzy i zrobił to co powinien był zrobić. Pętanie się po polu bitwy to dość ryzykowna zabawa dla cywila.

2. BETY NA ŚNIEGU

Tamta zima to była prawdziwa zima. Śnieg spadł chyba w początku grudnia i co trochę popadywał na nowo. Chodziło się po śniegu, śnieg leżał na dachach i na gałęziach drzew, pola były białe, a gdy świeciło słońce to biel aż w oczy kłuła. Ten ranek był pogodny, więc na zaśnieżonych, wysłonecznionych polach, o jakieś sto metrów za linią podlubieńskich stodół, wyraźnie zarysowała się druga linia wyznaczona przez stosy powynoszonych z chat mebli i gospodarskich statków przywalonych czerwonymi pierzynami i równie czerwonymi poduszkami. Gdybym dziś zobaczył coś takiego, sądziłbym chyba, że mam do czynienia z modelem surrealistycznego obrazu, w którym malarz pozestawiał w sposób nieoczekiwany różne elementy rzeczywistości; wtedy patrzyłem na to bez odrobiny zdumienia, bo widok stojącej na środku bielutkiego pola sieczkarni, otulonej pierzyną pozbawioną powłóczki, wcale nie był dziwny. I sieczkarnia i pierzyna były w polu bezpieczne, gdyby zagroda padła pastwą ognia.

3. STĘKNIĘCIE

Tego ranka znów zebraliśmy się w krzyżówce obok zgliszcz stodoły. Ściągnęła nas tam ciekawość: chcieliśmy wiedzieć czy przyjadą żandarmi, którzy co dnia właśnie ze skrzyżowania zabierali ludzi wyznaczonych przez sołtysa do pracy przy okopach nad Pilicą. Wczorajsze harce samolotów wróżyły, że coś się zaczęło, więc wszyscy byliśmy ciekawi, jak to też będzie z tymi okopami i patrzyliśmy czy od strony Łęczna nie widać podwody, którą przyjeżdżali żandarmi. Staliśmy, czekali, wypatrywali — żandarmów nie było widać.

Przestaliśmy spoglądać na drogę do Łęczna, wpatrywaliśmy się w pola leżące na wzniesieniu oddzielającym Łęczno od Sulejowa i zasłaniającym rozłożony nad Pilicą Sulejów. Nic tam nie było widać; nic a nic: żadnego dymu, żadnego ognia. Opodal Sulejowa coś zdrowo łupnęło, ale co? Sądziliśmy, że hitlerowcy wysadzili most na Pilicy, ale był to tylko domysł. Rozeszliśmy się z tej krzyżówki nie doczekawszy żandarmów ani żadnej wieści. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że istotnie wysadzone zostały oba mosty: drogowy i kolejki wąskotorowej.

Drogowy odbudowano w innym miejscu. Zamiast drewnianego — żelbetowy. Most kolejki do dziś pozostał nie odbudowany; jeszcze do niedawna na środku rzeki sterczał nikomu nie potrzebny filar. Kolejka nie ma już nic do roboty na prawym brzegu rzeki, bo stare wapienniki, jakie tam kiedyś były, nie funkcjonują. Powstały nowe, wzniesione na lewym brzegu Pilicy, opodal Kurnędza.

4. WIEŻYCZKA CZOŁGU

W południe przyszedł wiatr. Jechałem na rowerze drogą z Łęczna do Klementynowa. Dmuchało mi prosto w gębę a droga wznosiła się lekko ku górze. Pedałowałem z wysiłkiem i niespokojnie strzygłem oczyma, bo po polu, skrajem odchodzącego do drogi lasu, brnęło w śniegu kilku niemieckich piechurów. Nie miałem ochoty spotkać się z nimi i sięgać po moje kiepsko podrobione dokumenty, ale musiałem jechać przed siebie, bo zatrzymując się czy zawracając zaciekawiłbym tych wojaków. Naciskałem na pedały bez pośpiechu, licząc na to, że hitlerowcy oddalą się od drogi na tyle, że nie zechcą wracać. Odległość między nimi a drogą powiększała się powoli, bo wlekli się w tym śniegu mozolnie. Spojrzałem na nich raz jeszcze i wtedy usłyszałem ciężki łoskot jakiegoś silnika dobiegający zza wzniesienia, na które się windowałem. Dopiero po chwili ukazała mi się wieżyczka czołgu; kopułka z otwartym włazem, z którego wyglądał żołnierz. Lufa działa skierowana w moją stronę, wahała się w dół i w górę, zgodnie z chybotaniem całej maszyny. Jechaliśmy naprzeciw siebie: ja i czołg. Niepokojący mnie żołnierze gdzieś zniknęli. Czołg wygramolił się na grzbiet wzniesienia i zjeżdżał ku mnie w całej swej okazałości oblepiony żołnierzami. Za pierwszą maszyną jechała druga i trzecia.

Niepewny ośnieżonej i śliskiej drogi zsiadłem z roweru i przystanąłem obok. Jadący na czołgu żołnierze spojrzeli na mnie obojętnie wzrokiem ludzi zmęczonych. Ich wysmolone waciaki nie miały żadnego koloru a uszate czapki były brudne. Dopiero, gdym na jednej z nich dostrzegł niewielką czerwoną gwiazdę, zrozumiałem, że ludzi siedzących na tych maszynach mogę się nie obawiać. Byli to czołgiści z 4 Armii Pancernej generała Leluszenki, która sforsowała Pilicę na południe od Sulejowa, w ciągu pięciu dni dotarła do Prosny i gdzieś koło Ostrzeszowa przekroczyła dawną granicę polsko-niemiecką. Cztery takie szybkie armie dezorganizowały niemiecką obronę między Łowiczem a Częstochową. Wówczas nie miałem o tym żadnego pojęcia, ale nie mogę udawać, że dziś wiem tyle samo, co wiedziałem wtedy. Nie mogę też odtworzyć w sobie tych wrażeń, jakie przeżyłem zrozumiawszy, że mam przed sobą radzieckie czołgi. Nie spodziewałem się ich wcale.

Co prawda wczorajszy ruch w powietrzu, światła nocnych rakiet, zawieszonych na spadochronach gdzieś nad Piotrkowem i dzisiejsze poranne stęknięcie — to wszystko kazało przypuszczać, że coś się szykuje, ale przecież wiedziałem dobrze, że wzdłuż Pilicy biegnie linia budowanych od pół roku umocnień i że lada chwila hitlerowcy je obsadzą. Nie obsadzili, nie zdążyli.

5. KONNY POMNIK ZNUDZENIA

Klementynów zamierzałem minąć możliwie prędko, bo była to wieś zamieszkała przez volksdeutschów, którzy dobrze dali się we znaki sąsiadom. Gdy dojechałem do Klementynowa, zsiadłem jednak z roweru i przystanąłem przy wiejskim sklepie. Od strony Pilicy ciągnął przez zaśnieżone pole nie kończący się sznur wojskowych pojazdów, które przecinały moją drogę i wzdłuż wsi zmierzały w stronę leśnego traktu do Piotrkowa. Sunęło to wojenne samobieżne żelastwo w wyziewach spalin i hałasie motorów, przez który od czasu do czasu można było usłyszeć jakąś niedaleką, nieregularną strzelaninę. Wieś była pusta, nawet dzieci nie wyszły przed domy, by popatrzeć na wojsko.

Kiedy uświadomiłem sobie, że jestem jedynym na drodze gapiem, poczułem się niewyraźnie, ale nie miałem czasu na rozmyślania. Zatrzymał się przy mnie jakiś łazik, a siedzący w nim żołnierze spytali o drogę do Stobnicy. Właśnie w tamtą stronę jechałem. Wskazałem kierunek i spytałem czy można tam bezpiecznie jechać. Zaciekawili się, co mnie tam prowadzi, a gdy usłyszeli, że jadę do żony, ułożyli mój rower na łaziku, upchnęli mnie między siebie i ruszyliśmy z kopyta w stronę odległego lasu i coraz wyraźniejszej strzelaniny. Po kilku minutach zatrzymał nas przy samotnej zagrodzie stojący wąsaty, skośnooki kawalerzysta, który zdawał się spać na swym niewielkim koniku. Patrząc na nas przez szpareczki zmrużonych oczu, wskazał ręką niedaleki las pełen chaotycznej strzelaniny. W drodze do Stobnicy trzeba nam było przez ten las przejechać, więc postaliśmy chwilę, posłuchali, popatrzyli na siebie i wrócili do Klementynowa. Przygarbiony kawalerzysta został na swoim koniku, nieruchomy niby posąg znudzenia. A przecież ulokował się tak, że przed kulą z lasu zasłaniała go murowana obora gajówki.

Z jazdy do Ręczna musiałem zrezygnować. Jeździłbym tam niepotrzebnie, bo ktoś, kto zapewniał, że widział w Ręcznie moją żonę mylił się. Nie było jej w Ręcznie.

6. NOCNI GOŚCIE

Wieczorem poszliśmy do sąsiadów, u których mieszkali wysiedleni z Łodzi. Była kolacja, było sporo bimbru i masa gadania o czołgach radzieckich i o tym, co się tego dnia wydarzyło. Było już dobrze ciemno, gdy usłyszeliśmy stukanie do drzwi. Nasze grono powiększyło się o trzech radzieckich żołnierzy. Pytali, czy mogą przespać się parę godzin, przed dalszą drogą, ale niewiele z tego spania wyszło. Od nich dowiedziałem się o istnieniu w Lublinie Polskiego Rządu Tymczasowego, u nich zobaczyłem wydane przez ten rząd banknoty, oni też na pożegnanie zostawili nam na pamiątkę przepięknie kolorowaną fotografię Stalina w galowym mundurze i przy orderach. Namawialiśmy ich, by zostali do rana — nie chcieli. Koło północy odprowadziliśmy ich wiejską ulicą. Wsiedli na niewielki wozik zaprzężony w jednego konika i pojechali.

Wróciliśmy do izby i na przygotowanych snopkach słomy przespaliśmy resztę zimowej nocy. Rano, kiedyśmy snopki odnosili do stodoły, zastaliśmy klepisko wymoszczone, a w słomie parę brudnych, okrwawionych szmat i magazynek od niemieckiego pistoletu automatycznego. Zrozumieliśmy, że stodoła dała na parę nocnych godzin schronienie jakimś hitlerowskim niedobitkom. Spali oni może już wtedy, gdy w chacie podejmowaliśmy trzech radzieckich piechurów.

7. WĘDRÓWKA MASZYNY DO SZYCIA

Ranek był pogodny. W lesie było cicho, na drogach pusto. Zrozumieliśmy, że z hitlerowcami w naszej okolicy koniec. Ale nie wiedzieliśmy, co się dzieje w Sulejowie czy w Lubieniu. Siedzieliśmy w pokoju i snuli rozmaite hipotezy oczekując aż się sytuacja wyjaśni. Nasze rozmowy przerwała gospodyni przynosząc wieść, że w najbliższej skrzyżowania zagrodzie dwaj „ruscy" sprzedali za butelkę bimbru maszynę do szycia całkiem jeszcze dobrą. Gospodyni wyraźnie miała pretensje do losu za to, że nie jej nastręczył tak wyśmienitą okazję, ale nas ta możliwość kupienia maszyny do szycia nie ciekawiła wcale.

Po kilkunastu minutach rzecz stała się jednak warta uwagi, a nawet śmiechu, gdyż gospodyni przybiegła z nowym komunikatem. Jakiś trzeci „ruski" zabrał nabywcom maszynę, bo była sprzedana nieprawidłowo. Kiedy za następnych kilkanaście minut dowiedzieliśmy się, że tę samą maszynę sprzedali za butelkę bimbru w następnej chałupie ci sami dwaj żołnierze, sprawa zaczęła nas żywo obchodzić. Okazało się bowiem, że ta, całkiem jeszcze zdatna maszyna, co kwadrans mniej więcej zmieniała właściciela i przenosiła się z chałupy do chałupy, nie omijając po drodze żadnej zagrody, ciągle kupowana za butelkę bimbru i ciągle odbierana pod pretekstem nielegalności transakcji. Kiedy wreszcie maszyna przewędrowała przez wszystkie zagrody i odjechała leśną drogą, ucieszyło nas to nawet, gdyż handlowa pomysłowość szwejków ugruntowała w nas przekonanie, że jesteśmy już na dalekich tyłach frontu.

8. NA T—12

Tą literą i tymi cyframi oznaczona jest ta szosa na dzisiejszych mapach, wtedy nie miała żadnego symbolu. Łączy Sulejów z Piotrkowem. Biegła wówczas tak samo jak dziś. Wkroczyłem na nią nazajutrz po wędrówce maszyny do szycia. Wkroczyłem w Przygłowie, przy moście na Luciąży. Pod mostem, nad samą wodą leżało kilkanaście zwłok w mundurach Wehrmachtu. Długa kolumna ludzi ubranych w takie same złachane mundury wlokła się szosą w kierunku Piotrkowa. Eskortowało ją kilku młodziutkich żołnierzy. Bez trudu wyprzedziłem ten kondukt odprowadzający na wieczny spoczynek mit niezwyciężonej Rzeszy.

Za Przygłowem szosa spada w dół i znów wznosi się ku Uszczynowi: tam, jeden po drugim, zaczęły przeganiać mnie czołgi. Na każdym z nich siedziało kilkunastu żołnierzy. Za Uszczynem szosa na krótko wbiega w las, z którego wychodzi na piotrkowski Bugaj. Kiedy doszedłem do pierwszych drzew, znów minęły mnie dwa czołgi pędzące do Piotrkowa. Gdy oddaliły się, z lewej strony wyskoczyła z lasu grupa ludzi. Przebiegli pospiesznie drogę i zniknęli wśród drzew. Kształty czapek, kolory płaszczy i kurtek, a wreszcie broń, jaką ci ludzie trzymali w dłoniach, nie pozwalały wątpić, że są to jacyś hitlerowscy oficerowie: z Wehrmachtu, z Luftwaffe, z SA wreszcie. Nie zauważyli mnie, bo patrzyli w stronę oddalających się czołgów. Przystanąłem niepewny, co czynić, ale widząc nadjeżdżające od strony Uszczyna nowe czołgi, poszedłem dalej. Przez chwilę chciałem zawiadomić czołgistów o hitlerowskich niedobitkach, ale uświadomiłem sobie, że przecież nie zostawią swych maszyn na szosie i nie pobiegną do lasu szukać Herrenvolku. Wiedziałem też, że zimą niedługo wytrzymają w lesie, pozbawieni pomocy ludności. Nie ujdą więc swemu losowi, można sobie nimi głowy nie zawracać. Może to i nie była najmądrzejsza refleksja, ale właśnie wtedy poczułem, że na dobre skończyło się to, co trwało na tej ziemi przeszło tysiąc dni.

DALSZE DZIEJE WIELKIEJ KARIERY

Przed paroma laty Henryk Stanisław Dinter opublikował książkę traktującą o historii Łodzi od jej prapoczątków do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dziś egzemplarze „Dziejów wielkiej kariery" czasem spotyka się na giełdach kolekcjonerów, można książkę ewentualnie pożyczyć w bibliotece — o dostaniu jej na własność trudno marzyć.

Od paru lat też zapowiadano dalszy ciąg owej historii miasta — miałem przeto nadzieję, że Wydawnictwo zdecyduje się na opublikowanie całości. Niestety — stało się inaczej. Nową książkę Dintera wydano osobno, a na dodatek wydano ją w zupełnie innym kształcie niż część pierwsza.

Ale kto by tam zwracał uwagę na takie drobiazgi jak format i oprawa graficzna. Wydawca, co prawda przyznaje w zapowiedzi, że jest to dalszy ciąg opowieści o dziejach i rozwoju Łodzi, ale popełnia zasadniczy błąd w sztuce. Czemu? Czyżby znów osławione „trudności obiektywne"?

Być może. Tak jak zapewne „trudności obiektywne" sprawiły, że wieloletnia „Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej", co jakiś czas zmienia kształt graficzny okładki — a obecnie w ogóle zaczęła się ukazywać oprawiona jak byle kryminał w kartonową okładkę.

Oczywiście — w książce najważniejsze jest słowo, treść, a nie „ubranie". Tylko, że w wypadku książek, które służyć nam mają lata — owe tandetne ubranie obniża wartość całego przedsięwzięcia. Strach pomyśleć co będzie jeśli Henryk Dinter będzie chciał za parę lat wydać trzeci tom swoich dziejów Łodzi. Pewno wówczas książka otrzyma jeszcze inny format i jeszcze inny nakład.

Wróćmy więc do książki Dintera. Tom **„Spod czarnych dymów"** opowiada o historii miasta w latach 1861—1918. Jest to krótki okres, krótszy niż przeciętnie życie jednego człowieka. Dla Łodzi były to jednak czasy o epokowym znaczeniu, najbardziej trudne, a zarazem bardzo ciekawe.

„Spod czarnych dymów" — to książka, która ukazuje nie tylko przeobrażenia, jakie zachodziły w walkach, zmieniające się nastroje, rozpowszechniające się zło i nikczemność — ale najwyższe ofiary, bezprzykładne bohaterstwo i nowoczesną służbę społeczną.

Myślę jednak, że największym walorem książki Dintera jest suma nagromadzonych w niej faktów. Czytając tę opowieść o dawnej Łodzi uświadamiamy sobie, że przecież od lat trzydziestych, na progu których książka się kończy — minęło niewiele więcej niż pół wieku. Jest to czas, który doskonale pamięta dorosłe pokolenie. Nie jest to więc zamierzchła historia, ale epoka bardzo nam bliska...

Spójrzmy więc na tę Łódź — tak przecież bliską, a jednocześnie tak już odległą. Oto miasto, które u schyłku XIX wieku liczyło 60 proc. analfabetów, miasto, którego większość mieszkańców żyło na granicy nędzy. Takiej nędzy, jakie dziś już nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Miasto, w którym — dzieci rozpoczynały pracę w wieku lat sześciu. Szkoły elementarne obejmowały zaledwie jedną piątą łódzkich dzieci — a i to języka polskiego uczono tam dwie godziny... tygodniowo. Dziś mało kto wie co to znaczyło „szkolnictwo elementarne". Otóż była to szkoła czteroletnia.

Henryk Dinter napisał książkę, która powinna znaleźć się w każdej bibliotece, która powinna być dostępna w księgarniach nie w ciągu paru tygodni — jak to się stało — lecz w ciągu paru lat. Niestety, wydano ją w nakładzie 2 tys. egzemplarzy i szerszy rezonans tej publikacji jest raczej mało prawdopodobny.

Niemniej jednak dobrze, że ją wydano — nawet i w tym nakładzie. Wśród pozycji bibliograficznych, pod hasłem „Łódź", książka Dintera stanowi pozycję niezwykle cenną.

Sam autor tak formułuje zadania swojej pracy o Łodzi — kapitalistycznym gigancie przemysłowym, który wyrastał w sposób zgoła nieeuropejski: **„Drogę ku dzisiejszej rzeczywistości, kształtowały dzieje społeczno-gospodarcze, szczególnie zaś ów proces kształtowania ukazuje wyraziście rozwój kapitalistyczny łódzkiego przemysłu. Poznawanie zatem dziejów Łodzi przyczynia się do głębszego rozumienia dnia dzisiejszego."**

I temu właśnie celowi służy opowieść o tym, jak spod czarnych dymów fabryk wyłoniło się współczesne miasto przemysłowe.

JERZY WILMAŃSKI

HENRYK CZARNECKI

LIRYKI

Lubię twoje palce u nóg. Takie małe, niezaradne, głupiutkie. I tak ich strasznie dużo. Chyba aż dziesięć. Nie wiem. Nie liczyłem. Nie było nigdy czasu.

Lubię trzymać cię za ręce, gdy idziemy nocą przez wieś i psy szczekają na swojej filharmonii. I noc ma barwę nieregularną (nie lubię regularności).

Chciałbym cię widzieć, gdy myjesz podłogę. Albo gdy się skaleczysz i przeklinasz. Powiedz: cholera.

Gdyby ci wypadł ząb — jeszcze bardziej bym cię kochał. Byłabyś mi bliższa o tę dziurę w uzębieniu. Albo w rozdartej pończosze. Albo piegowata. Po co ci ta doskonałość?

... a jak wyglądasz wśród rozstajnych dróg? Pod lasem? Na płaszczystej górce? Pod wiatr? Czy dajesz się wkomponować w pola i miedze? Czy umiesz dłonią roztrącać kłosy?

Nogi po wierzchu masz chłodne. Przyjemne w dotyku. Przypominają strumyk. Pewnie dlatego, że też zielony.

... zielone nogi, zielony strumyk, zielony zegar...

I gwiazdy zielone. Wykradziona życiu zielona chwila.

... jesteś jak chwila między dwudziestą czwartą a północą.

jest taka chwila gdzieś na zegarze
cicha i mała
taka stacyjka już zapomniana
na której kiedyś wsiadłem,
wysiadłem...

... coraz trudniej się schronić. Szpary w podłodze zajęte, świerszcz wyprowadził się zza żeberek kaloryfera, w telewizorze dudni i huczy dla dwudziestu od razu milionów.

Chciałbym zostawić sobie maleńką lukę wśród rzeczy konkretnych, kawałek miejsca, gdzie wszystko zdarzyć się może.

Wybieramy się na wycieczkę po strychu. Gdzie zakurzone zegary, księżyce, kalendarze. Ramy od zapomnianych obrazów, na które dzisiaj ludziom brak czasu, szkoda im czasu, żeby przystanąć, wmalować trochę miejsca dokoła, dotknąć do ucha, posłuchać — może i świerszcz za kominem się wtedy odezwie. Pośród tych spraw ogromnych, przytłaczających swoim ciężarem.

W dobie lodówek, telewizorów, coraz mniej miejsca na coś małego jak gest, jak chwila, jak zatrzymanie się w biegu na chwilę.

Nie ma strychów, nie ma skrzypiących schodów, nie ma czasu — co będzie, gdy jeszcze i świerszczy zabraknie?

... chcę iść teraz z tobą wzdłuż wieczoru i trzymać się za ręce. Tak, po prostu iść i trzymać się za ręce. Przez półmrok uliczek i ćwierciszę, która musi być większa od jedności. Przez jakieś: „co mnie to wszystko obchodzi" poza trzymaniem się za ręce.

Jesteś szeptem, pachniesz szeptem — w ściszonej, łagodnej tonacji. W groszki, w warkocze, w rzeczy i sprawy nieokreślone. Każde określenie wymyka się z rąk, pozostaje tylko metaforyczne, które i nic nie oznacza i znaczyć może tak wiele.

Wybierzmy się na poziomki. No to co, że listopad? Czasami przychodzi taka poziomkowa ochota. I wtedy wszędzie ich pełno. W uszach. Pod powiekami. Na opuszkach palców. Wyrastają nawet na włosach. W listopadzie — też. Ale przy dotknięciu zamieniają się w coś nieskończenie małego. W sen o poziomkach. W wiersz o poziomkach. W poziomkowe pragnienie.

Wtedy trzeba wyjechać. Uciec na poziomki. Przeżywać poziomki. Uczyć się poziomek. Uwierzyć w poziomki. Świat jest jeszcze poziomkowy, gdy rosną poziomki.

Istnieją na zasadzie kontrastu. Na przekór grubej golonce z grochem.

Są mniejsze od zera i większe od miliona. Bezmyślne jak bilet tramwajwy i mądrzejsze od wypchanej biblioteki. Nawet księżyc musi podwinąć ogon i uciec przed ich niebezpieczną świeżością.

Wybierzmy się na poziomki. Boso.

Szczęście wymaga intymności. A najbardziej intymnie czuje się człowiek boso. Bez butów staje się nagle bezbronny. A poddając się należy odrzucić wszystko. Na szczęście patrzy się z dołu: niech przygniecie.

Człowiek bez butów czuje się mały. Niedostrzegalny w magazynie świata. Wszyscy szczęśliwi powinni czuć się boso. Nawet w butach.

Boso traci się wszystko co obce. Całą nabytą elegancję. Zakupioną w sklepie godność. Pozostaje własna.

Dlatego ludzie śpią boso.

I są szczęśliwi.

* * *

Chciałbym pójść z tobą w nieskończoność.

Byle tylko nie trwała zbyt długo.

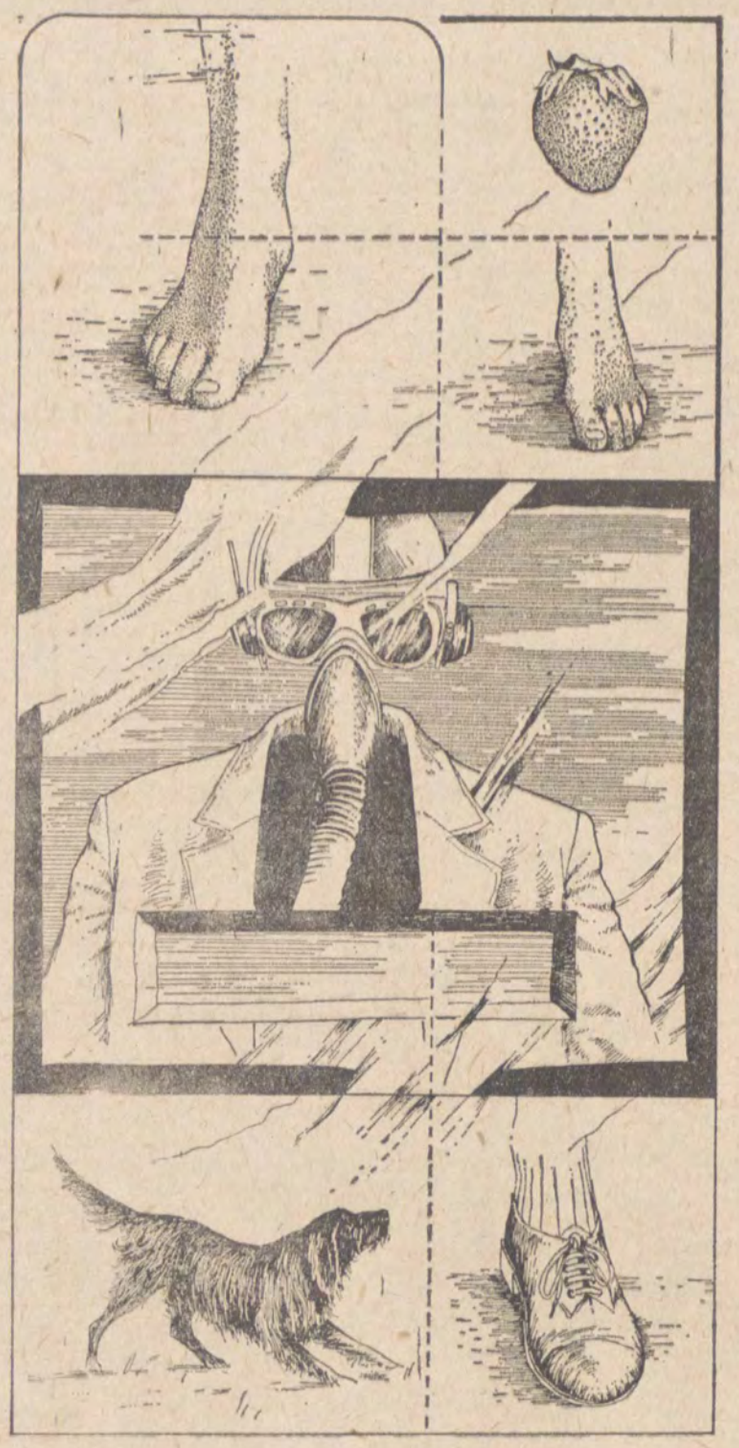

Rys. Janusz Szymański-Glanc

PIES

Każdy powinien mieć psa. Choćby tylko kawałek. Choćby tylko ogon. Zwłaszcza, gdy ludzie warczą i pokazują kły.

Pewnie dlatego, że brak im ogona i nie mają czym przyjaźnie pomerdać.

A pies jest ciepły. Przytulny, aż do samej ziemi. Z góry na dół i od ogona do pyska.

Pies zrobiony jest po to, aby był. A człowiek tak często zastanawia się po co jest...

Psa można zrobić z niczego. Bierze się trochę potrzeb, ciepła ze strychu, gdzie porzucono stare zabawki. Trzeba je tylko odkurzyć, przypomnieć, uśmiechnąć się, chuchnąć, pogłaskać...

Dlatego ma cztery łapy, żeby go było więcej.

I po to jest mały, żeby go łatwiej było można odróżnić od ludzi.

Z psem nie potrzeba zjeść beczki soli, żeby go poznać. Wystarczą kostki po kurczaku. I też się człowiek nie pomyli.

Pomylić się może najwyżej pies.

OJCIEC

Matka pachnie bajkami i niemi, ojciec — klapą marynarki. Ten zapach utrwala się, przyrasta, staje się nieodzownie potrzebny. Odpadnie już w życiu wszystko po kolei, ale strzęp tamtej marynarki zostanie. Z charakterystycznym zapachem, którego zapomnieć nie można.

Ojciec istnieje zawsze. Nawet, gdy go już nie ma. Gdy pojawił się tylko na chwilę, przesunął się obok dzieciństwa. Wtedy do klapy marynarki można dorysować tę resztę, dopowiedzieć go sobie, ulepić od nowa z kolorowej plasteliny, która w małych palcach na poczekaniu przybiera potrzebne kształty. Nie może niczego zabragnąć w świecie, w którym powinno być wszystko. Syn się nie zgodzi na luki. Jeśli istnieją — wypełni je szybko. Jak psiak się położy, będzie pilnował.

Najlepiej, żeby był pilotem. W hełmie ze słuchawkami. Święty Mikołaj przyniesie na gwiazdkę samolot, fotografię samemu już można wyciąć z czasopisma.

A potem — w niego uwierzyć. To już najłatwiej. Do tego nie trzeba nawet nożyczek. Ani ołówka, ni kredki. Skoro przecież go nie ma, może być wszystkim — wystarczy wyciągnąć go z kącika, gdzie leżą zabawki, stworzyć ze starego krawata, który zawieruszył się w szafie, zacisnąć delikatnie powieki, żeby przez sen nie uleciał i już nazajutrz zjawi się w przedszkolu.

— Mój tata jest kierowcą.
— Mój kolejarzem.
— Mój naprawia telewizory.
— A mój jest pilotem!

Teraz aktor musi się wcielić w syna pilota, a któż potrafi, skoro przed chwilą było się psem najprawdziwszym, komórką do wynajęcia? Opowieści już toczą się same: w strzępach, w większych kawałkach, ze słuchawkami lub bez — można już stać się kimś w tej społeczności z ojcami, gdy w domu tylko babskie szmatki, guziki i nici. Żeby chociaż gdzieś kawałek prawdziwej maszynki do golenia, pudełko z obcęgami i młotkiem, męski w przedpokoju bałagan, kawałek kłującej brody na dobranoc, żeby się przyśnili brodaci rycerze... Taki wysterylizowany ze śrubokrętów dom jest mdły jak kasza na mleku. Ktoś w domu powinien się potknąć z hałasem o dywan, wylać szklankę z herbatą na obrus, zadeptać podłogę. Tego wszystkiego mama sama nie zrobi. Z mamą to nawet nóg porządnie przemoczyć nie można. Grzecznie poukładane serwetki, wazonik z kwiatami, prosto, czysto i symetrycznie, a tu trzeba coś basem, mocno, tubalnie. Dopiero to wszystko do kupy — z basem i kwiatkami — tworzy sens. Kogoś silnego musi się przecież potrzymać za rękę, gdy wiatr zrywa dachy, gdy koleś oko podbije.

— Poczekaj, tylko przyjdzie mój tatuś...

Ponieważ jednak nie przyjdzie, trzeba samemu uregulować rachuki. Za podbite oko i coś jeszcze dla kolesia na zapas. Żeby mu się odechciało na przyszłość. Bo dwa razy jednym ojciem straszyć nie można na próżno.

Trzeba go także kiedyś pokazać. No to co, że nie ma go w domu? Ale jest na fotografii. W hełmie ze słuchawkami.

— To właśnie mój tata, widzisz?

Nawet kłamać nie musi, bo zdążył w niego uwierzyć. Świat chcenia jeszcze szeroko zachodzi na świat rzeczywisty, sen miesza się z jawą — w tym wieku śpi się jeszcze dwanaście godzin i łatwo pomylić granicę między snem, a tym co istnieje naprawdę. Tylko mamie nie trzeba nic mówić. Mogłaby coś zepsuć, zrzucić na ziemię.

Dziecko ma dwie nogi, dwie ręce, dwoje oczu — musi mieć także dwoje rodziców. Choćby na fotografii, której nie wolno mu zniszczyć.

Dopiero w szkole — prawdziwe książki, prawdziwy zeszyt, do kąta trzeba odłożyć zabawki. Czas teraźniejszy z ojcem trzeba wymienić na przeszły. Żeby się z czymś nie wysypać: często ktoś wpada z kolegów, mama otwiera, wciąż tylko mama i mama, na stole pudełko z niemi, guziki, naparstek, głaskanie po włosach. A trzeba, żeby ktoś szturchnął w żebro, uścisnął w dłoniach, aż kości zatrzeszczą, huknął basem do ucha.

— A ten pilot, to kto?
— Mój ojciec.

Tatusia wymienił na ojca: bardziej po mesku.

— Fajny.

— No... Zablokowało mu sterу. Wyskoczyć nie mógł, bo leciał nisko.

Krótko, bez cackań, basowo. Ukłuło coś w sercu, gdy po raz pierwszy go grzebał, ale potem już przywykł i bez wrażenia wyciągał ojca spod rozbitego kadłuba. Trudno. Też musi ojciec coś zrobić dla niego, skoro nie może pójść z synem w niedzielę na spacer, żeby chłopaki widzieli, ani mu przynieść choinki na święta.

TERESA PRZETAKIEWICZ-de POURBAIX

DEBIUT

MOJE CREDO

Ja dwudziestoletnia
kiedy mówię o przemijaniu —
oto liść
samotny aż po horyzont
i słońce cierpkie
i wiatr boli każdym podmuchem
ziemi złożył pierwszą ofiarę
zamyka się krajobraz...
Ja dwudziestoletnia
kiedy myślę o cierpieniu —
to ludzką myślą wskrzeszone
wysuszyło szkarłatnie i gorzko
łzy tysięcy Chrystusów w koronach cierniowych
pod ubogim hełmem
a Herod zza drutów błogosławił
popioły...
więc jak mam ocalić wiarę
ja dwudziestoletnia
z oczami otwartymi na miłość
i obietnicę

O ŚWICIE

O świcie
ocierasz z grzbietów koni sny
twoja dłoń jest bogata w pięć palców
i prawdziwa

leniwie
przechodzą przez drewniane wrota
w logicznym chaosie nieba
wiążą się barwy, zapachy i sny

gdy nagle
w galopie słońca splątanego z grzywą
kopyta jak dzwony weselne
i łby tańczące drzewom i ptakom
koni nieokiełznanych
w rzemiennej sieci wędzidła

przez chwilę widziałeś powietrze —
zachłyśnięte już stępują

SŁOWA I KSZTAŁTY

W poezji
kwitnącej jak mak czerwony
i zbawiającej miłość obietnicą słowa
takich milczeń nie dotkniesz

bo można przecież mówić
o ogrodach
rozzuchwalonych kręgłością jabłek
i przesyconych cierpkim zapachem wczesnej
jesieni

o niepokoju zagubionym w odlotach ptaków
i o zmierzchu
odbitym w pożółkłych kolorach liści

i można też
zaklinać niewprawnymi palcami powietrze
w poszukiwaniu zarysów twoich ramion
i twarzy

ale czy zdążę
przed minutą wyznań
od siebie prosto w twoje wargi
powiedzieć —
kocham

ZBIGNIEW NOSAL

PRZEMOWY MISTRZA JOPKIEWICZA

Tu pan masz trzy moje obrazy. To praczki na gembarzewskim brodzie jakiś kilometr za Skaryszewem. Podkasały się, uklękły nad wodą i piorą. Tak było. Sam — pamiętam — woziłem tam furą kobiety z pościelą, szmatami i kijankami, więc za nimi wóz. Ta zaś naga kobieta, co się jej głowa własna w kocią już przemienia i co tego kasztanka izabelowatego tarmosi, a i tamte inne baby w środku stajni między końmi, to zmory. Tu zaś, sam pan wiesz — topielice.

o zmorach

Ogierami, kobyłami ojciec handlował. Zmory przychodziły nocą do stajni, pletły koniom grzywy i ogony. Cholera, co się rano poszło, wszystko pochochrane, spienione, poskręcane w warkocze. W nocy się na zmianę pilnowało, zaglądało, bez skutku.

Przyszedł do ojca taki, co uroki odmawiał, węglami konie, dymem okadzał, mówi: „Jasiu, już do was nie przyjdą". Gdzie tam — przyszły na drugą noc.

Pytam: tato, a kto to jest zmora? A to widzisz Antosiu tak — jak matka urodzi sześć córek, to już siódma jest zmorą. Za mąż nie wyjdzie, panna, tylko w nocy do koni przychodzi, z końmi się bawi. Taka... siódma córka z urodzenia.

Tak tu ludzie wierzyli. Dziś jeszcze spotka pan młodych ludzi, którzy wierzą w zmorę.

Później w wojsku, jak służyłem, w Wilnie, rotmistrz Bobkiewicz zmory mi wytłumaczył. Podoficerem byłem, zapytałem, czy są zmory co konie duszą? On wyjął tablicę, przekrój budowy konia i mówi: zaraz ci synku wytłumaczę, jak to jest ze zmorami. No i wiem. Fałszywa budowa konia. Serce, płuca koń ma bardzo wielkie. Czterdzieści dwa litry krwi. Musi mieć wielkie. Żołądek bardzo mały, jelita znów wielkie. Koń zimą najedzony — a naje się, bo to chłopy zimą karmią — jeśli jest przodem niższy, albo źle stoi, męczy się, poci. Jelita naciskają na przeponę, wywołują duszności. Koń cały mokry, kładzie się, łbem trze. Sam się pochochra.

Przyjechałem, opowiadam ojcu, że zmór nie ma.

— Co mi będziesz pieprzył. Jak Kowalski Ignac złapał jedną, to się cholera przedzierzgnęła w żabę, czy tam coś. Bił i nie mógł zabić. Ona ci się nawet w kocicę przemieni, albo w co. Nie ma mowy.

o topielicach

Topielice, widzę, pan zna. Wyglądają jak myszy, jak żaby. Z płetwami, błonami między palcami rąk. Jak się człowiek topi, ona przyciśnie go do dna i już nie puści. Takie tu namalowałem, nie widać dobrze, bo pod wodą. Jeden student z Akademii chciał kupić ten obrazek. Mówił, że bardzo dobry. Nie sprzedałem.

o rozumieniu sztuki

Było pięciu z telewizji z Warszawy. Jeszcze nie miałem olejnych tylko obrazki na papierkach. Był taki ładny las dębowy i najstarszy z tych panów najlepiej się znał. Spojrzał na mnie i pyta: „nie będzie panu żal się z tym rozstać?" Wziął ten obrazek. Podarowałem i żal mi było. Skąd on wiedział?

znowu o zmorach

Ojca uczę, a ja — okaże się — w zmorę wierzę. Spałem po jakiejś zabawie na stryszku. Idzie kot. Słoma trzeszczy — szus, szus. Skrada się do mnie. A psik! — krzyknąłem z całej siły. A psik! Chcę podnieść rękę, wołać. Nic, trup. Rano wstałem taki spocony, zmęczony. Wstydzę się przyznać do ojca. Ale powiedziałem mu.

— Synu zmora była u ciebie. Nie chodź spać na górę, bo cię cholera udusi. Połóż się koło mnie na łóżku, a gdyby — w razie — przyszła, będziesz czuł, uszczypnij mnie.

Położyłem się na wznak, śpię, a ona idzie. Ojca szczypię, bo czuję, że już mnie za nogi łapie, przyciska. Zerwał się, pierzynę na podłogę, kij w ręce. Zaczął szukać — nic, nie ma.

Z aptekarzem dobrze żyłem. Sprowadził się tu z Odessy pan Kalicki, w Żytomierzu urodzony i kupił aptekę. Bardzośmy dobrze żyli, teraz mu jeszcze świeczki na cmentarzu palę. Bardzo społeczny człowiek. Trzysta tomów kupił dla biblioteki miejskiej, przed wojną dla orkiestry wszystkie instrumenty. Bezdzietni byli. Żona jego, córka generała rosyjskiego, skończyła Akademię Sztuk Plastycznych. Ona chleb w tuszu pomaczała i na serwetkach, na ręcznikach piękne rzeczy umiała robić. Poszedłem ja do niego i mówię: „Panie magistrze, tak i tak, zmora".

— Antosiu, nie wierzcie w te zmory — z rosyjska zaciągał. — Wy słaby na serce. Serce dokucza. Nie ma zmór. Dam kropelki.

Kropelki dał, setkę i lemoniady popić. Miał fabrykę lemoniady.

skaryszewska mowa

My tutaj do Mazurów, południowego Mazowsza jeszcze należymy. Mowa nasza jest gruba, twarda. Mazur, mówią, ślepy się rodzi, jak pies. Dopiero na dziewiąty dzień przegląda na oczy. A w ogóle, wie pan, dziadkowie nasi z szablami do orki chodzili.

o pochodzeniu

Ojciec, już pan wie. Falkiewicz jestem po kądzieli. Mogłem mieć dwanaście lat, pojechaliśmy na wieś do babci Falkiewiczowej. Dziewięćdziesiąt sześć lat babcia żyła, szesnaście dzieci urodziła, ośmioro się wychowało. Matka moja była najstarsza. Falkiewicze to była sławna rodzina w iłżeckim. Do dziś chłopy mówią: wójtostwo. Dziadek dwadzieścia sześć lat wójtem był. Jak go chłopy wójtem za cara wybrały, to go zdjąć nie dały

o koniach i kobietach

A wie pan, jak jest z końmi? W niedzielę z Makowa chłopi przyjeżdżają do kościoła. Nigdzie nie ma postoju dla furmanek w Skaryszewie. Gdzie chłopisko stanie, każdy wygania, bo przed posesją konie brudzą. Ja wychodzę: „chłopaki, zajeżdżajta tu na podwórze. Stawajcie przede mną". Potem w oknie sobie stanę, a jak ciepło — wyjdę, krzesło, i panie, mogę się dzień i noc na konie przyglądać, tak je lubię. Nie ma pan pojęcia. O, głowę mi potłukły, rękę mi połamały, a za drabiną w stajni sypiałem. Konie i kobiety — to są dwie rzeczy na świecie.

Wuja miałem, to się znów całe życie nie ożenił. Miał blisko dziewięćdziesiąt lat, kiedy umarł. Hrabia go przezywali, bo mój ojciec był Jan Jopkiewicz i tamten Jan Jopkiewicz. Ojciec był Jopkiewicz Jasio, a tamten Jopek — Hrabia, bo nosek miał cieniutki, matkę z Chociszewskim spokrewnioną. Na mnie? Czerwony Jopek. Ale wujo...

Miał siedemdziesiątkę, ja już byłem żonaty, pytam: „Wuju, dlaczego się wuj nie ożenił?" On powiada: „Konie nie dały mi się ożenić. Nie wiesz dlaczego?".

o „wstępach"

„Wstępy" po pierwszej niedzieli postu, wstępnej, wypadają. Te jarmarki Władysław IV nadał. Ojciec mi opowiadał, że jak dziadek pobudował dom i stajnię, to po dwóch latach koszty budowy, wszystko się zwróciło. Tak zarabiali. Przyjeżdżał, powiedzmy, Michał Popichin, przypędzał dwa tygodnie przed jarmarkiem stepowe konie. Wychudzone, że strach, a dwa tygodnie postały, to ze stajni jednego dwóch chłopów nie mogło wyprowadzić.

Ja jeszcze pamiętam, do Skaryszewa z Włoch, z Belgii kupcy przyjeżdżali i do kopalni dwieście, trzysta koni taki brał.

Jak zapamiętałem, to jarmark był tak: w poniedziałek — w niedzielę po południu już handlowali, ale mniej — cały dzień, we wtorek i środę cały, w środę wozami, uprzężami, koszami.

Na Skaryszewiaków mówiono — koniokrady. Nikt tu koni nie kradł. Handlować — tak, handlowali. Ojciec, wujo, stryjo — wszystko handlarze końmi.

Ja to płakałem, panie, bo jak ojciec handlował końmi — do Sienna ze Skaryszewa to jakieś ze czterdzieści kilometrów — mróz w zimie, zawierucha, nosa nie wyściubi, a on mnie w kożuch patulił, w siano wsadził i wiózł, żebym konie pilnował, przeprowadzał. Kupił dwie, trzy sztuki i do domu.

Raz pamiętam, w Zwoleniu byliśmy, kupili z Hrabią ogiera. Oni na wódkę, na rozgrzewkę, a ja z batem przy koniach, żeby nie wierzgały. Zmarzłem. Tam płakałem.

wreszcie o malowaniu

Zacząłem malować, dwa lata będzie. Zdałem ziemię za rentę — około ośmiu hektarów miałem, hodowałem bydło: byczki, jałówki, hodowałem świnie. Gospodarzyłem dobrze, bo nawet i dyplomy mi dawali, zboże kontraktowałem. A ziemia słaba, różna. Trójki tylko hektar. Kiedy jednak podupadłem na zdrowiu — sześćdziesiąt sześć roków mi idzie, a mam i tę wieńcową chorobę — oddałem ziemię. Druga moja żona poszła do przetwórni, do Makowa. Pracuje. Zostałem sam. No, z synem.

Chodzę po ulicy, tu wyjdę, tam wyjdę, trochę się i wstydzę, bo przecież człowiek ma i ambicję swoją. Wałęsać się? Siadam czytać, poczytam dwie stronice — śpię. Źle się czuję. Wziąłem ołówek. Myślę sobie — do szkoły chodziłem, umiałem rysować, chwalili, to se będę rysował. Nie będzie się przykrzyć. Narysowałem konia, krowę, człowieka — mego sąsiada. Wychodzi.

Przyszedł syn, on tu mieszka po sąsiedzku, pracuje na Podkanowie w Radomiu, zobaczył — później farbki szkolne sobie kupiłem, rysunek podmalowałem — chłopak zobaczył i powiada: „Tata, namaluj mi landszaft, krajobraz, Strzyżynę". To pod Hutą, tam mieliśmy łąkę, siedem stąd kilometrów.

Ja ten krajobraz znam — las, łąki, Huta. To na takich piachach, na wzgórku te domy, a tu się konie pasają.

Trzy konie mu namalowałem na trawie. Pierwsze olejne farby, to nawet syn mi kupił, płótna przyniósł kawałek. Razem nacągnęliśmy. Ale ja na płótnie nigdy nie robiłem.

Napisałem obrazek, poszedłem spać. Rano wstałem i tak dalej, patrzę: cholera jasna — obrazka nie ma! Poszedł na drugą stronę płótna. Uciekła gdzieś Strzyżyna.

Jak to robią, żeby się trzymało na wierzchu?

Akurat byli wtenczas w Skaryszewie ci z warszawskiej telewizji — bramy fotografowali, stare domy. Wyszedłem popatrzeć. Podeszli do mnie pogadać. Przyznałem się, że maluję. Jeden młodszy, pan redaktor na niego mówili, powiedział mi jak się gruntuje: „weź pan odrobinę stolarskiego kleju, troszeczkę kredy, troszkę pokostu i z tego trzeba zrobić podkład".

To się ucieszyłem! Klej mam, bo przecież stolarz jestem, ten stół, szafę, łóżko, to ja sam robił. Nawet dobry stolarz byłem. Jak przyjechał poważny klient i chciał stół owal lub elipsę, inni stolarze nie umieli zrysować. Szło się do mnie. Ja na kasetce, na sztukę, to z forniru nawet widoczek ułożyłem.

Zagruntowałem sobie płótna i zacząłem malować, co tam człowiekowi do głowy przyszło. Te wspomnienia młodości. Najpierw powtórzyłem synowi Strzyżynę, która uciekła, a potem — widział pan u dyrektora Rosińskiego w Muzeum? — kolędników, nasze skaryszewskie pastwisko. A mieliśmy, proszę pana, w Skaryszewie sto sześćdziesiąt hektarów wspólnego pastwiska. Sześć lat miałem, trzy konie tam musiałem paść.

To namalowałem, potem żniwa, inne obrządki, topielice panu znane i te tu zmory, których nie sprzedam. Na razie.

o sąsiadach

Nie przyznawałem się, wstydziłem przyznać. Podpatrzyli. Wysłuchałem latem przez otwarte okno na siebie. Powiada jeden do drugiego:

— Co ton Jopkiewicz Antoś teraz robi?

A ten drugi mówi:

— Maluje.

— Co maluje?

— Jak to, co? Obrazki.

— Zgłupiał, cholera, na starość!

Usłyszałem, nie gniewam się.

opinia żony

Jak zacząłem malować i namalowałem tę kobyłę z tą nagą babą, tom żonie nie pokazał. Zobaczyła w niedzielę, załamała ręce.

— Kto to słyszał, stary człowiek? Przecież ty, cholera, do spowiedzi idź, przecie diabeł cię opętał. Kto to słyszał? Diabła ma w sobie. Umyśli se pieron coś, przecie te myśli od Pana Boga nie są tylko od diabła toto jest.

Poszła między ludzi opowiedzieć, że diabła mam w sobie. To nie jest diabeł, panie.

o wierze

W ogóle zmory nikt nie widział i diabła też. Aptekarz Kalicki, kiedy żona mu umarła, brał kaszy, miodu, co dzień na wieczór chodził na jej grób. I wina kieliszek też tam wylał. Pytam go, czy ona zjada? Tak, bo na drugi dzień nie ma nic. A to pastuszki zjadały. Wierzył, nie wierzył. Nosił.

o ludziach

Każdy człowiek ma w sobie trochę dobrego, trochę złego. W jednym będzie lepszy, to w drugim gorszy. Anioły są w niebie, na ziemi tylko ludzie.

o patriotyźmie

Na wojnie byłem w trzydziestym dziewiątym, do niewoli mnie wzięli pod Rawą Ruską, ale w Dębicy uciekłem. Przyszedłem do domu na Wszystkich Świętych. Powiedział mi jeden w czasie wojny, żem nie patriota, bo do AK nie chcę przystąpić. Powiedziałem: „Jest termometr do mierzenia gorączki? Jest. Zrób termometr do mierzenia miłości ojczyzny. Zmierzymy kto większy patriota". Przykucnął. Ich szef był na służbie niemieckiej. Z łóżek ich, jak jajka z gniazda Niemcy wyciągali, bo zdradził. Bardzo ten mój agitator był przemądrzały.

o wierze ojców

Niemcy doszli do Moskwy, miałem trzydzieści lat. Mówię do ojca: „Tata, czy my przepadniemy? Gdzie one zaszły?" Ojciec był twardy, spojrzał na mnie, a wejrzenie miał srogie, powiada: „Wypluń to słowo, ciarachu. Twój dziadek pod Czachowskim w 863 był, wszy mu plecy zjadły. A po tych kamieniach na ulicy to różne wojska chodziły — ruskie, pruskie i austryjackie i nas nie zmogły, a ty głupoty pleciesz".

o wyzwoleniu

Jest styczeń 45 rok. Mam w domu ciężko chorego ojca, żona w ciąży z drugim dzieckiem. Pranie bielizny. Rozwieszamy na strychu mokre pranie, żona mówi: idź narżnąć sieczki. Schodzę ze strychu, rąbnęło, pocisk uderzył w szyczyt dachu. Dach się wali, okno wylata z futryną, kot przy nogach żony zabity, jej nic. Wyszła cało. Odprowadziłem żonę do jej rodziców, do schronu w ziemi. Ojca obwiązałem pierzyną i sznurkiem, jak dziecko, żebym mógł łatwiej wynieść, w razie pożaru. Wieczorem Ruscy przyszli. Powiedziałem ojcu. „Nie mów, nie ma". Zobaczył, mówi: teraz spokojnie umrę bom doczekał wolności.

o głupocie

Przewodniczącym Gromadzkiej Rady byłem, jak „Igła" tu krążył. Ludzie bali się, przyjąłem. Ktoś musi rządzić. Inna sprawa, gdy „Igła" blisko kołował, w domu się nie spało. Potem, kiedy w skaryszewskim lesie pułkownika Wnukowskiego zastrzelili, połapali ich. Był tu u nas sąd pokazowy. I proszę pana, co się robi? Pseudonim „Mikołajczyk" jeden miał, z Wilczynej bidota. Panie, trzy morgi piachu, cholera, szóstej klasy, i on w Akowce poszedł, uważe pan. Wnukowskiego zabili.

Sąd jest. Panie, płakać się nad nimi chciało. Ciemne ludzie. Poszedł nie pod ten adres, gdzie trzeba. Przyszła władza, co go chce wyciągnąć z nędzy, żeby był człowiekiem, ten się, cholera, bije. Zasądzili go na wyrok śmierci. Matka wyszła, włosy drze kobita, rozpacza — chłopaka zastrzelą. Doszedłem do niej, mówię:

— Matko nie płaczcie, nie zabiją wam chłopaka, nie zastrzelą.

— A skąd pan wie?

— Do Bieruta pójdzie pismo — mówię — a Bierut nie taki, żeby kazał waszego chłopaka, głuptasa zastrzelić. To jest człowiek mądry i daruje mu. Zobaczy kto on i daruje.

— Żeby pana słowa święte, ale zabiją.

Nieprawda. Dostał dożywocie, potem znieśli mu. Osiem lat tylko siedział. Pracowite chłopisko. Warszawę odbudowywał, murował. Murarkę podłapał. Fach. Panie, domek swój ma w Radomiu, dzieci. Cieszy się, dobrze mu jest.

W porządku. Głupiego za co bić?

A „Igłę" to zabił jego własny kolega. Mierota. Kropnął go, kolega. Poszedł do UB, że tu i tu „Igła" zastrzelony, tak i tak. Miał se, że będzie mu darowane. Kto daruje śpiącego zastrzelić?

o bólu

Bez bólu na świecie nic się nie rodzi. Człowiek się rodzi, ustrój się rodzi. Matkę boli, jak rodzi dziecko, a społeczeństwo odczuwa ból jak ustrój się rodzi. Muszą być jakieś ofiary, bóle.

znowu o ludziach

Ludzie kłamią. Co inne myślą, co inne mówią. Do kościoła chodzą, a kradną. Mówią od okazji, bo tak trzeba mówić. U mnie, co w sercu i na języku. Mówię prawdę i za to mnie nie lubią, bo prawda kłuje.

o ojczystym zagonie

Przyszedł do mnie jeden, wstydliwy, prosi żeby mu namalować krajobraz z krówkami. Mówię mu: rozumiem. Nie ma się czego krępować.

Prawda. Każdy Polak, nawet w Warszawie urodzony i wychowany, sentyment do ojczystego zagona każdy ma. Nie wierzę, żeby był Polak, który nie lubi lasu, pola, łąki.

W zimie mróz, wiatr, chłodno, a na ścianie obrazek taki ciepły ma, to mu się od razu ciepło robi na sercu i o wiośnie myśli.

jeszcze raz o sąsiadach

Teraz obmawiają mnie. Piniądze, mówią, bierze za obrazki. Pytają „Ile ci dają?"

Panie, ludzie nie są inteligentni. Mnie chował ojciec — matka mi umarła trzy lata miałem. Ojciec prosty człowiek, ale był mądry, zapowiedział mi: chcesz być dobrym człowiekiem nie pytaj się nigdy nikogo ile zarabia, bo to jest chamstwo. Zresztą...

o ewangelii według Mateusza

Mateusz ewangelista to był, wie pan kto? Sekwestrator dzisiejszy. Chodził, podatki ściągał przymusowo. To jest człowiek najgorzej nie lubiany w społeczności. Mówi: „Panie, mnie tak nie lubią. Ja chcę być Twoim uczniem i być zbawiony".

— Przyjmuję cię.

— Ale ja się z kolegami chcę pożegnać.

Tak stoi w piśmie świętym — pożegnać się. Wezwał wszystkich łotrów, panie, takich, jak to się dziś mówi, co piją, kurwią się. Nastawiał wódki. I Chrystus usiadł pośrodku nich i pije z nimi. Bawią się. A rabinowi żydowskiemu, tak ja dziś by księdzu, donieśli, że tam ten co nową naukę głosi, ze złodziejami, kurwami siedzi. Przyszły te rabiny z brodami, mądre, uczone w piśmie:

— Jesteś syn Boży, a wiesz z kim siedzisz przy stole?

— Wiem.

— No, to jak to jest?

Chrystus im mówi tak:

— Teraz wy mi odpowiedzcie na pytanie, czy zdrowemu człowiekowi lekarstwo jest potrzebne? Czy zdrowy szpitala potrzebuje?

— No, nie.

— To ja nie dla was przyszedłem, bo wyście sprawiedliwi i dobrzy tylko dla nich, dla tych łotrów, kurwów i złodziejów, żeby ich poprawić...

o malowaniu urzeczonym

Wstanę rano, napalę w piecu, przejdę się — siadam do malowania. Żeby dobrze się malowało i kiedy dobrze się namaluje? Wtedy, gdy człowiek dostanie tak, jakby urzeknięcie, uważa pan. Na przykład dzień, dwa sobie chodzę, no, gapię się, i naraz zobaczę coś. Wtedy.

Byłem w lesie, po południu trzecia godzina. Bardzo pogodny dzień był. Wychodzę na polanę i nagle ten las. No, urzekło mnie. Lato, słońce, wyraźna ziemia, drzewa, konary. Zapatrzyłem się. Jak byłem mały też się gapiłem tak na świat, na chmury, drzewa, konie, ludzi, wszystko mi się ładne widziało. Nawet dziobatych po ospie podziwiałem, bo mi się widzieli ładne. Oberwałem od ojca nie raz. Bronowaliśmy. Ojciec siadł odpocząć, ja bronuję, naraz podnoszę głowę: chmury lecą. Stanąłem, patrzę. Ojciec przyłożył parę batów: czego się gapisz?

Mnie się chmury przedstawiały tak rozmaicie. Jak konie pasłem, położyłem się, to mi się tak przedstawiało, panie, jakby okręty jakieś, jak ludzie olbrzymie, bałwany. Jeszcze dzisiaj, uważa pan, do ustępu — za przeproszeniem — pójdę, chłopski mam ustęp, przez szparę w drzwiach na ziemię popatrzę, paprochy mi się tam w różne sceny przedstawiają. Nieraz widzę krowy, ludzi, konie z tych paprochów. Przedstawia mi się, że wziąłbym kija i o, o, o — narysował to wszystko kilkoma ruchami.

Czas przy malowaniu prędko leci, człowiek zapomina o świecie i w ogóle, nie jadł, nie pił, nie spałby — tak to ciągnie, jak pijaka do wódki.

Chcieć, to ludzi dużo chce malować, pisać by dużo ludzi chciało, tylko nie wszyscy mogą. Chcieć, to nie móc. To za mało. Na przykład wywołać z pamięci figurę. Wezmę farby na pędzelek, kręcę, patrzę, koluję i widzę ją po chwili, wiem jak się będzie układało.

Maluję wtedy, gdy to przyjdzie do mnie. Mam takie urzeczenie w ręce i w głowie, jakby nitką silną powiązane.

MNIE TEŻ CHODZIŁOBY O POZIOM ŻYCIA UMYSŁOWEGO

W ostatnim numerze „Odgłosów" z ub. r. ukazał się art. J. Rzymowskiego „«Osnowa» wznowiona", informujący o zawartości almanachu „Osnowa. Sztuka tworzenia", jaki niedawno znalazł się na półkach księgarskich wydany nakładem łódzkiej oficyny w opracowaniu Jerzego Poradeckiego. Artykuł to, jak się wydaje, tym cenniejszy, że nie ogranicza się do „oschłej sprawozdawczości", próbując również formułować o poszczególnych pracach tego almanachu sądy oceniające — a tym z kolei daleko od zdawkowości czy chęci rozdawania ich autorom cenzurek w postaci „pochwał" czy „nagan". Jerzy Rzymowski jest zresztą nie od dziś zatroskany poziomem „publicznej wymiany myśli na tematy istotne dla artysty, badacza kultury, czy — najogólniej mówiąc — każdego nietuzinkowego inteligenta interesującego się sztuką, historią, filozofią, ideologią etc", — jak może o tym świadczyć chociażby prowadzony przez niego dział krytyki literackiej na łamach „Odgłosów". Toteż trudno nie zgodzić się z innymi jego słowami, tymi mianowicie, w których stwierdza, że pustka, jaka się wytworzyła po ukazaniu się w roku 1971 ostatniego, siedemnastego z kolei tomu „Osnowy", „łódzkiego almanachu literackiego wydawanego od 1963 r." — „zaciążyła ujemnie na życiu kulturalnym Łodzi". I to zaciążyła do tego stopnia, że: „Nie mogło ujawnić się, a tym samym zaistnieć w szerszej skali społecznej, życie umysłowe środowisk artystycznych i naukowych, wtłoczone w ramy instytucji i zamkniętych związków profesjonalnych. Nie istniały (też — dop. A. B.) możliwości oswajania młodych adeptów literatury, sztuki i krytyki z klimatem dyskusji intelektualnej, ośmielenie ich do refleksji nad swą pracą, sytuacją uprawianej dziedziny, czy choćby bieżącymi lekturami, wyrabianie samego nawyku refleksji i podsycania ambicji do wznoszenia myśli na coraz to wyższy poziom".

Wszystko to niewątpliwie słuszne stwierdzenia — i sądzę, że dobrze by się stało, gdyby czy to sam artykuł Rzymowskiego, czy przede wszystkim fakt ukazania się wznowionej „Osnowy" doprowadziły do szerszej wymiany myśli wśród zainteresowanych nie tylko „sprawami kulturalnymi Łodzi", ale w ogóle sprawami kultury, rozumianej „bezprzymiotnikowo". Zanim to jednak nastąpi, pozwolę sobie zabrać głos w jednej kwestii szczegółowej.

Otóż art. J. Rzymowskiego, niezależnie od celnych i błyskotliwych nieraz spostrzeżeń, zawiera też sporo uproszczeń; jest w moim odczuciu tworem zbyt „hybrydalnym", pragnącym łączyć cechy artykułu publicystycznego z rzeczowo wyważonym omówieniem recenzyjnym. Prowadzi to w konsekwencji do takich rezultatów, że tam, gdzie Rzymowskiemu — recenzentowi nie staje argumentów intelektualnych, pojawia się Rzymowski - publicysta, posiłkujący się — nazwijmy to oględnie — łatwą moralistyką bądź poetyką „dopisywania intencji". Tym samym — przykładowo — Artur Sandauer występuje u niego jako ten, który — jak ongiś Sokrates — „psuje młodzież": „Naturalnie to nie kłopot Sadauera, że część jego wniosków odczytywana będzie w sposób wulgarny, strach jednak pomyśleć, ile szkód można wyrządzić np. młodym ludziom uczącym się o Gombrowiczu, jeśli przyjmą oni jako oczywistość i rzeczywistość pokrewieństwo duchowe autora «Ferdydurke» z najstraszniejszą ideologią zbrodni"; Jerzy Jarmołowski natomiast stanie jako „trefniś" (czytaj: „błazen"): „że przy zdrowym rechotaniu boki tylko zrywać i brawo bić trefnisiowi Jarmołowskiemu", który atoli uprawia — jak jednocześnie czytamy — „manierystyczną dezynwolturę i konceptową pseudomoralistykę"; a Stanisław Fijałkowski wraz z niżej podpisanym zostaną postawieni jako ci, nad których „tekstami unosi się aura tęsknoty do absolutnej wolności" — dobrze, że chociaż dodaje się: „(wolności) w nadawaniu sensu wypowiedziom artystycznym" — i „uwznioślanie nijakości", tudzież „tęsknota za tym, by książka była talią kart", co oczywiście „poniża pisarza, czytelnika zaś anarchizuje" (wszystkie podkr. moje — A. B).

Moja praca zresztą („Poetycki operacjonizm — co to takiego jest?") budzi najwięcej zastrzeżeń u recenzenta „Odgłosów"; nie zamierzam jednak z Rzymowskim polemizować — przynajmniej na płaszczyźnie przez niego zakreślonej, gdyż podobna polemika wymagałaby zbyt wielu sprostowań i odsyłaczy bądź to do jego określeń, bądź to do sformułowań i twierdzeń występujących u mnie. Sądzę ponadto, że przeprowadzony przez recenzenta wywód nie tyle dotyczy oceny mojej pracy, ile wyrażonej poprzez nią mojej postawy, której oczywista — ze swojego punktu widzenia, z punktu widzenia jakby diametralnie przeciwnego do mojego — nie jest w stanie zaakceptować... i słusznie — bo to przecież nie jego postawa. Innymi słowy — wydaje mi się, że ostatecznie rzecz nie dotyczyłaby tego, kto ma rację, ile tego, na czym polegają różnice w podejściu do spraw tak podstawowych, jak rozumienie swoistości dzieła — utworu (poetyckiego, literackiego czy szerzej: dzieła artystycznego), sensu uprawianych procedur „twórczych" bądź „interpretacyjnych" i pojawiających się w związku z nimi pożytków (względnie strat) w obrębie kultury, wreszcie także kulturowego rozumienia roli kogoś, kogo nazywamy tradycyjnie „twórcą", w odróżnieniu od „nie-twórcy", nazywanego tradycyjnie i pejoratywnie „odbiorcą" (zwykle rozumianego jako „biernego uczestnika kultury"); bo dopiero właśnie tak pomyślana konfrontacja może przynieść najwięcej pożytku dla każdej ze spierających się stron.

Pragnąłbym tedy krótko (w trzech zasadniczych punktach) scharakteryzować Czytelnikom „Odgłosów" własną postawę odnoszącą się do wyszczególnionych przed chwilą zagadnień, i to nie korzystając już z pośrednictwa krytyka — który nb. okazał się pośrednikiem przynajmniej „niebezinteresownym", żeby nie powiedzieć pośrednikiem „złej wiary" czy choćby tylko „wątpliwej obojętności" — wykorzystując natomiast jego punkt widzenia dla celów porównawczych.

A zatem:

(1) Rzymowski zdaje się być zwolennikiem modelu kultury monosemantycznej, tj. takiej kultury, w której każdy przekaz jest tak programowany, by zachowania wszystkich pod jego wpływem odbywały się w sposób identyczny; w szczególności w systemie takim każdej strukturze nadanej może być przyporządkowany tylko jeden sposób jej rozumienia. Podczas gdy u podstawy mojego podejścia leżałby model kultury polisemantycznej, tj. takiej, w obrębie której zachodzące komunikowanie nie jest tak jedno-jednoznacznie przyporządkowane odbiorowi — szczególnie gdy chodzi o dziedziny działań artystycznych, których specyfiką jest to, że istniejące w kulturze systemy językowe — jak np. język naturalny danego społeczeństwa — wykorzystywane są w nich, w tych działaniach, do budowy systemów nowych, tzw. wtórnych systemów semiotycznych albo modelujących, rządzących się nieco innym ustrukturowaniem elementów w obrębie nowej — powoływanej dopiero przez twórcę — struktury systemu. Ten właśnie moment decyduje m. in. o wystąpieniu takiego zjawiska, że np. — przy skrajnym postawieniu zagadnienia — te same słowa jakiegoś języka użyte przez poetę X oznaczają co innego niż użyte przez użytkownika języka w sensie komunikowania potocznego, ale ponadto oznaczają one również coś innego w porównaniu z użyciem ich, tych samych, przez poetę Y, Z, itd. Co więcej: zakresy znaczeniowe elementów składowych wypowiedzi w systemie poety X — czy poety Y, Z, itd. — aczkolwiek wiemy o nich, że są inne niż w języku naturalnym, to jednak „nie widzimy" tego ich zmienionego zakresu bezpośrednio, nie jest on nam dany jawnie, lecz w uwikłaniu; i nie wiemy też od razu, jakiego rodzaju konsekwencje stan taki pociągnie za sobą w zakresie pojawiającego się dopiero sensu wypowiedzi. Inaczej mówiąc każdy akt twórczy — aby mógł być tak nazwany — prowadzi do niejawnej modyfikacji seansów już w obrębie kultury ustabilizowanych, powodując zjawisko „rozmazania" tego, co wydawało się dotychczas „oczywiste", „jednoznaczne", „oswojone" czy „dobrze rozpoznane". Prowadzi też do tego że i sam twórca, jako tego zjawiska sprawca, znajdzie się ze swoim komunikatem w sytuacji „dwuznacznej" — może nie zostać „odebrany" w zgodzie ze swymi „zamiarami" i w niejasności swych „intencji"; a nawet więcej: onże, ów twórca, poddając się „logice" swych „zamiarów" czy „intencji", jednocześnie przecież poddaje się „logice" poszukiwań nowych struktur w powoływanym przez siebie systemie, będąc jej świadomy tylko do pewnego stopnia, nigdy zaś całkowicie — pojawiający się bowiem, choć przez niego powoływany, system od pewnego momentu rządzi się już własnymi zasadami systemowymi, według których powstający utwór musi zostać ukończony. Jest takie pojęcie w cybernetyce, które dobrze oddaje intencje, o jakie nam tu chodzi; myślę mianowicie o tzw. układzie ergodycznym, którego zachowanie się — w miarę upływu czasu od momentu uruchomienia układu — jest coraz mniej zależne od stanu układu „na wejściach", tj. od „programu wyjściowego", uruchamiającego układ, a więc — w naszym przypadku — np. od „zamiarów", „intencji" itp.

Wszystko to, co powiedzieliśmy, prowadzi do sytuacji, którą należy przedstawić następująco (jeżeli chodzi o rozumienie procesu komunikowania artystycznego): Oto twórca występuje z pewnego rodzaju „wizją", która w trakcie realizacji prowadzi do powołania określonej „struktury" (jest to tzw. „struktura nadana"), z kolei struktura ta, chcąc być „odebrana", i to odebrana sensownie, musi być poddana interpretacji, „wydobyta", a ponieważ żaden tego rodzaju proces nie odbywa się w kanale „bez szumów" (tego rodzaju kanały w ogóle nie istnieją), „struktura nadana" zostanie tak czy inaczej poddana „przekodowaniu"; w efekcie końcowym „odbiorca", kontaktując się z „dziełem", nie kontaktuje się z nim w bezpośredniości, lecz w ten sposób, że ogląda „strukturę nadaną" dzieła poprzez wyprodukowaną przez siebie — ale i jakoś pod wpływem „dzieła" — jego, tego dzieła, „strukturę odebraną".

Tak ja to widzę — w modelu kultury, o jaką mi chodzi. Chyba że upierałby się ktoś przy przypadku komunikowania realizowanego w odmiennym modelu kultury — np. w modelu monosemantycznym kultury; ale wtedy wszystko jest o wiele prostsze i łatwiej można przejść do moralizowania.

(2) Rzymowski jest zwolennikiem odłączania rozważań o „kodzie nadawania" (tzn. o kodzie, gdzie udział „intencji" twórcy jest dominujący)) od rozważań o „kodzie odbioru" (tzn. o kodzie, gdzie dominuje udział „interesu" odbiorcy). Podczas gdy dla mnie ważne jest również to, co dzieje się w odbiorze, gdyż — paradoksalnie — uważam, że proces powstawania dzieła bynajmniej nie ustaje w momencie ukończenia dzieła przez twórcę. „Odbiór" dzieła jest dla mnie procesem tak samo doniosłym — jeśli chodzi o ostateczną „zawartość" dzieła — jak jego „powstawanie". To, co dzieje się w tzw. odbiorze dzieła, powinno być „wkalkulowane" w specyfikę jego istnienia; jeśli nie jest, jeśli podobne zjawisko nie zachodzi, z konieczności mówimy o czymś innym, inaczej rozumiejąc to samo słowo: „dzieło". Dlatego też i obrona przed manipulowaniem dziełem — jakiej podjął się recenzent „Odgłosów" w swoim imieniu — w moim ujęciu przybrać musi odmienną postać. Powiedziałbym tak: skoro ktoś decyduje się na tego rodzaju manipulację, która niszczy dzieło w jego tożsamości, staje się nie tylko twórcą tej manipulacji, ale i twórcą dzieła, za postać którego (np. ową „wymanipulowaną") będzie musiał być odpowiedzialny i to w nierówno większym stopniu niż twórca dzieła poddanego owym manipulacjom. Odpowiedzialność tę, jak wiemy, daje się dość dokładnie wymierzać, toteż nie czyniłbym z samego zjawiska manipulowania problemu teoretycznego. A powracając jeszcze do postulatu rozdzielania rozważań osobno na część „sztuka tworzenia" i osobno na część „sztuka odbioru", zwróciłbym uwagę mojemu oponentowi, że tego rodzaju żądanie prowadzi do ograniczeń perspektywy rozważań już dziś w humanistyce niedopuszczalnej. Mógłbym powiedzieć jak on, że to pachnie psychologizmem; i jest faktycznie cofnięciem się w stanie krytycznej świadomości o co najmniej kilkanaście lat — biorąc pod uwagę tylko postępy semiotyki — jeśli nie o kilkadziesiąt (zważywszy na rozprawę z psychologizmem, jakiej dokonali już w początkach wieku fenomenologowie).

(3) Różnimy się też z Rzymowskim zasadniczo w traktowaniu odbiorcy. Jemu chodzi o odbiorcę biernego, którego trzeba stale pouczać, jak powinien zachowywać się, aby cokolwiek mógł uszczknąć z wiedzy tajemnej, która zawsze będzie go przerastać, albo jak powinien się „ustawić", by się czasem „nie wygłupić" (gdy się „ustawi" dobrze, będzie mógł być np. nazwany „człowiekiem kulturalnym"; gdy źle — tj. nie tak, jak się go poucza — np. „profanem"). Mnie natomiast chodziłoby o to, aby odbiorca poczuł się odpowiedzialny za dzieło tak, jakby to on sam je zbudował, wpisując w nie również własne doświadczenia, swą aktywność i wrażliwość. „Twórca" i „odbiorca" w tym rozumieniu mają być partnerami, a dzieło — pośrednikiem, miejscem i świadkiem ich niepowtarzalnego spotkania; spotkania partnerskiego.

• • •

W końcu chciałbym wytłumaczyć się z intencji, jakie pragnąłem zawrzeć w tytule tego artykułu. A wytłumaczyć się dlatego, ponieważ posłużyłem się w nim dość popularną i stereotypową zbitką (jaką zresztą podpowiedział mi autor art. z „Odgłosów") — „poziom życia umysłowego"; posłużyłem się, ulegając razem z nim bezwiednie magii tego określenia, magii polegającej na tym, że jeżeli powiemy cokolwiek o „poziomie" czegokolwiek, to zaraz wszyscy jesteśmy jakoś usatysfakcjonowani, spodziewając się niejako automatycznie „zmiany", np. „podniesienia poziomu" itp. Ale tak naprawdę, to gdy chodzi o tzw. poziom życia umysłowego to i tak każdy ów poziom ma, jaki ma. Może by więc warto było zabiegać o co innego: np. o stan świadomości (intelektualnej, artystycznej, społecznej, itd.). Bo jeśli w tym zakresie coś się podniesie — to przynajmniej zaczynamy mieć więcej rozterek, wątpliwości, pytań... A o to przecież chodzi w życiu. Także — czy może przede wszystkim — w życiu umysłowym.

ANDRZEJ BISKUPSKI

W następnym numerze zamieścimy wypowiedź polemiczną Jerzego Rzymowskiego.

KOMIKS OBJAZDOWY

Popularność tego artysty dorównuje nieomal sławie satyryków z ostatnich kolumn czołowych tygodników, Mieczki i Krauzego. Wiele jego prac pamięta się i komentuje, jak odcinki masowych seriali telewizyjnych. Kształtująca — nie w przenośni bynajmniej — opinie „Polityka" udzieliła mu ostatnio błogosławieństwa: graj tak dalej! Łatwo zgadnąć, że chodzi o Jerzego Dudę — Gracza. Wybór nowych prac, po sukcesie w Warszawie, prezentuje obecnie łódzkiej publiczności galeria BWA na Starym Rynku; wystawa (co warto zauważyć) ma w założeniu organizatorów charakter „objazdowy".

O źródłach popularności Dudy — Gracza można dowiedzieć się sumując choćby to co o nim dotąd napisano, a mianowicie: uprawia malarską publicystykę, jest demaskatorskim satyrykiem, obnaża i demistyfikuje różne sentymenty. Prostemu stylowi wypowiedzi towarzyszy refleksja bezbłędnie dotykająca sedna problemu. Tematyki swoich prac szuka w antropologicznie, społecznie i wiarygodnie „polskiej" rzeczywistości; umie ją znakomicie podpatrywać i karykaturować. Publiczność galerii, najprościej mówiąc, lubi Dudę — Gracza za to, co wyliczono powyżej. Ale głównie chyba dlatego, że dla kontrastu z licznymi kolegami ma styl od razu wpadający w oko i potrafi — w dobrym guście — bulwersować. Myślę, że takimi zaletami darzy artystów sama Natura.

Niektórzy z krytyków widzą na jego obrazach syntezę Boscha, Daumiera i Linkego. Inni twierdzą, iż dlatego rzeczywistość jawi się Dudzie — Graczowi tak plebejska, sztuczna i jarmarczna bo pochodzi z Częstochowy. Zapewne prawda, jak to bywa, leży gdzieś pośrodku.

Bohaterowie i bohaterki obrazów są jednymi z nas, to nie ulega wątpliwości. Występują na nich, jak na zdjęciach odpustowego fotografa, odświętnie sztywni lub na odwrót: podglądani w sytuacjach prywatnych, na „luzie". Małżonkowie w niedzielnym wydaniu, na tle domku z ogródkiem, uszminkowana piękność retro w otoczeniu domowych bibelotów i mopsa nazywa się tu „domową rusałką" w odróżnieniu od „rusałki turystycznej" odpoczywającej ciężko na sośnie i wylewającej zza modnej podkoszulki nadmiary wdzięku. Jest raj — lumpenproletariacki lupanar, pamiątka Pierwszej Komunii, koncert jednego artysty dla jednego widza. Jest także buchająca alkoholowym odorem, pędząca na fuchę trójka (z Dürera czy Maksa Gierymskiego) hydraulików. Wreszcie — wielki finał (z Degasa) na którym gruzełkowato pomarszczony starzec kłania się publiczności wespół z nieskromnymi Zuzannami. Na niewielkiej objętościowo wystawie całe panoptikum motywów raz z klasyki, raz z kuchennej makatki, kiedy indziej z pierwszej strony ilustrowanego tygodnika. Obrazki Dudy-Gracza same układają się w komiks o nas, których groteskowości nie umiemy — pozbawieni zmysłu obserwacji — bez pomocy dostrzec.

„Celem jego obrazów nie jest tania dydaktyka społeczna. By wychowywać ludzi, trzeba by dysponować znacznie większym arsenałem środków niż pędzel i farba. Słuszniej będzie określić jego działanie jako samoobronę". Cytat ten, autorstwa malarza Henryka Wańka, pożyczyłem z katalogu wystawy łódzkiej w 1975 r. dlatego, iż „samoobrona" Dudy-Gracza nadal jest kluczem do zrozumienia tych prac. W odróżnieniu od nas — konsumentów sztuki — artysta wobec ataku ze strony Rzeczywistości jest w sytuacji o tyle lepszej, że może nie tylko przestraszyć się ale i namalować to, co go straszy. Pozornie środek ciężkości komiksu Dudy – Gracza przypada na czystą satyrę, toteż chętnie postacie bohaterów umieszcza się w jednym rzędzie obok sołtysa Kierdziołka, chłopa co „żywemu nie przepuści", Panów Tureckiego czy Sułka — bowiem i tutaj główną rolę gra zaściankowa plebejskość i drobnomieszczańska kołtuneria. Obraz ma tę jeszcze dodatkową przewagę, że pozwala obejrzeć własne odbicie w krzywym zwierciadle. Pozostaje tylko odpowiedzieć na pytanie: jaki jest prawdziwy sens tej zabawy?

W porównaniu do obrazów z poprzednich lat, na których przewijały się postacie równie charakterystyczne i śmieszne, rysowane starannie ciepłymi kolorami — nowy zestaw pokazuje inne nieco akcenty. Przede wszystkim sama malarska robota jest bardziej szkicowa, pozbawiona dawnej precyzji. Wzrasta natomiast u Dudy rola autentycznych rekwizytów, dodatków, aplikacji. Cyzelowane podpisy do obrazów wskazują grupę doniesienia: jest nią gotyk czy renesans, szerocki nurt plebejskiej sztuki, której główną zaletą była komunikatywność. Anonimowi, a z czasem znani i wielcy twórcy nowożytnej sztuki traktowali groteskową materialność ludzkiego grzechu na obrazach jako swoiste „memento". Tyle, że w założeniu marność ludzkiego gatunku miała u nich szansę oczyszczenia i poprawy.

Mam wrażenie, jakby wizja Dudy — Gracza była daleko mniej optymistyczna. „Samoobrona" przybiera u niego postać nieco złośliwego nabijania się z rzeczywistości, która jest drugą naturą tak bohaterów na obrazach, jak widzów i na koniec — samego twórcy. Wiemy o tym, aż nadto dobrze i dlatego tym niechętniej śmiejemy z samych siebie.

ANDRZEJ MAJER

TADEUSZ GICGIER

MOTYW BIAŁOWIESKI

Przed kilkunastu laty, w jednym ze starych białowieskich dębów odnaleziono ukryte tam dokumenty z czasów powstania styczniowego. Stało się to przypadkiem, bo powierzona drzewu tajemnica była zamaskowana znakomicie: wywiercony otwór zatkano korą, która z czasem porosła mchem. Ci, którzy natrafili na schowek, przez ciekawość rozwijali papiery tak gwałtownie, że je prawie zupełnie zniszczyli. Zostały tylko szczątki cennych dokumentów. Traf chciał, że odkrycia dokonano w roku 1963, w setną rocznicę powstania.

Ukryte w drzewie dokumenty to jeden z przyczynków do tego, czym była Puszcza Białowieska w historii naszego kraju. A czym była — czym jest — w naszej literaturze?

Foto: L. Włodkowski

RODOWÓD „AD ASTRA"

„8 czerwca 1899. Czcigodna pani potrafi ocenić, jak trudnym jest dla mnie list niniejszy, i dlatego zechce mi laskawie wybaczyć, że unikam wielkiej stylizacji, która by mi się prawdopodobnie nie powiodła, i że prośbę mą zanoszę w słowach możliwie prostych i zwięzłych.

Tej wiosny (...) poznałem dwa Jej dzieła: „Dwa bieguny" i „Melancholików". Następnie... dowiedziałem się okolicznościowo, że Czcigodna Pani zamierza udać się tego lata do Wiesbadenu, a stamtąd do Szwajcarii lub Zakopanego. Wkrótce potem, z początkiem maja po bezwiednym skojarzeniu się pojęć i wrażeń powstał we mnie naraz pomysł do dzisiejszego kroku. A powstał tak stanowczo, żem się z nim natychmiast zrósł duchowo i zżył niebawem tak całkowicie, iż zmartwiłbym się niesłychanie, gdyby się nie dał urzeczywistnić. Chodzi o wspólną pracę, o książkę, która miałaby być dziełem sztuki, a nie traktatem, chociaż cała jej treść byłaby dwoista. Nie śmiem zajmować tu Czcigodnej Pani pobieżnym chociażby zarysem owej treści, dodam tylko, iż rzeczy takiej nie było dotąd u nas ani zapewne w literaturze powszechnej. Będą to dwa żywioły. Ja dam niecierpliwe wybuchy młodości; obok walki ognia i wody — popiół naukowych analiz i wyciągnięty z nich piołun zwątpień. Pani da wytrawny miód mądrego i ciepłego serca i cichy balsam życiowego doświadczenia.

Oto powody, dla których popełniłem tę niesłychaną niegrzeczność, że narzucając się osobie tej miary przemilczam zrazu moje rodowe nazwisko. Ale mam przecież nadzieję, że Łaskawa Pani czytając te słowa przeczuje intuicją, iż stosunek autorski ze mną nie ubliżyłby Jej... Polecam się tedy jej dobrej woli..."

Jest to fragment listu skierowanego do ELIZY ORZESZKOWEJ. Pod listem figurował podpis: „Leon Płoszowski", List był intrygujący, tym niemniej Orzeszkowa nie od razu nań odpisała. Jej odpowiedź z Wiesbadenu opatrzona jest datą 29 czerwca 1899 roku.

„Szanowny Panie. Silny słabemu, syty głodnemu nie uwierzy: Czy Pan uwierzy, że ja w tej chwili do żadnej pracy umysłowej zdolną nie jestem. Zawsze tak było, żem w lecie nie pisała. Pora moja: od października do kwietnia; potem — muza odlatuje i ani za skraj szaty pochwycić jej nie mogę. Było tak zawsze, w dniach zdrowia ciała i pogody duszy. Cóż teraz? O duszy nie powiem ani pół słowa, bo cóż dusza czyjakolwiek, kogokolwiek obchodzić może, a towar niepotrzebny na rynek wynosić wstyd, bo niemądrze. Ale ciało — rzecz wiadoma i kuracja wiesbadeńska — rzecz nieznośna, nużące i idiotyzujące. Więc gdybyśmy się i zjechali, choćby w samym raju ziemskim, ja teraz nie pracowałabym na wspólkę z Panem. Ale w zasadzie pomysł takiej wspólki bardzo mi się podoba. Tylko znowu nie wiem, czy nie uczynię Panu zawodu i czy mię Pan znajdzie tak „miecznie" spokojną i niebiesko pogodną — jak o tym Pan pisze. Jednak spróbować można. Aby spróbować, aby nawet wiedzieć, czy warto próbować, trzeba przede wszystkim jasnej świadomości tego, co Pan zamierza. Jaki temat? Jaki rodzaj literacki? Jaka treść? Jaka forma? Niech mi to Pan jak najobszerniej i, o ile podobna, najrychlej opisze, abym tu jeszcze w Wiesbadenie przeczytać i zastanowić się mogła i nade wszystko doświadczyć, czy mię to dotknie, czy nie dotknie, czy pobudzi struny do grania, czy pozostawi je niemymi.

Bo od tego cała możność roboty zależy. Gdy harfa wewnętrzna milczy, żadne bicze nie zmuszą do powstania myśli i wyobraźni. Jeśli wynik będzie pomyślny dla pracy wspólnej, napiszę o tym Panu, zjedziemy się w Interlaken, pomówimy obszernie i potem współpracować będziemy, ja w Grodnie, Pan tam, gdzie mieszka stale, przez pocztę. W przeciwnym wypadku, jeżeli pomysł nie dosięgnie mojej sfery wrażliwości, wszystko na nic.

Niezawodnie, że wolałabym wiedzieć, kto czyni mi zaszczyt wzywania mię do pracy wspólnej, i niedobrze rozumiem brak ufności w moją dyskrecję. Mógłżeby Pan podejrzewać mię o lekkomyślność wielomówną? Doprawdy, umiem być i studnią, i grobem. Ale jeżeli nie, to nie. Ory-

Ujęty odpowiedzią Orzeszkowej ginalność postępków i sytuacji miewa niekiedy swój powab".

nadawca listu „odsłania przyłbicę". Okazuje się, że jest nim **Tadeusz Garbowski**, krakowianin, trzydziestoletni przyrodnik, filozof i poeta. W następnym liście przedstawia obszerny szkic zamierzonego utworu i przystaje na propozycję spotkania w Szwajcarii, w Interlaken, dla szczegółowego omówienia projektu wspólnej pracy. A oto odpowiedź Orzeszkowej:

„6 lipca 1899, Wiesbaden, Villa Roos.

Szanowny Panie. Z uwagą najwyższą i najgłębszą przeczytałam po razy kilka szkic mi przysłany. Pomysł piękny i głęboki. Partia Leona Płoszowskiego przedstawia motywy, które wspaniale rozwijać można. Lecz partia Elizy Orzeszkowej nie jest dla mnie wyraźną. Role pocieszycielek, nawrócicielek itd. przedstawiają szkopuły, którymi są: naiwność, banalność, płytkość — słowem: śmieszność. Zależy to zresztą najwięcej od natchnienia, nastroju indywidualnego i rodzaju talentu. Otóż muszę panu powiedzieć, po pierwsze: że pracę tę wykonać wspólnie z Panem chciałabym, bo temat i pomysł sam przypada mi do smaku; po wtóre: że bardzo wątpię, czy ją wykonać potrafię. Indywidualny nastrój mój nie jest wcale optymistycznym, daleką jestem od pogody i spokoju, których bym innym udzielać mogła, owszem potrzebowałabym raczej ich od innych dla siebie zaczerpnąć, co dziwić nie powinno gdy się pomyśli, że przebyłam długie życie pracy wytężonej i myśli samotnej w najcięższych warunkach politycznych i okolicznościach osobistych, wśród których tysiąc dusz innych zapadłoby w otchłanie, ja zaś o tyle je zwyciężyłam, żem nie przestała mieszkać w strefie ideału i mierzyć wszystko miarą ideału co także nie przyczynia się do napełniania serca i myśli miodem. Więc trudno by mi było przez długość książki roztaczać białe i rzężące skrzydła Anioła pociechy. Następnie dialog, rozprawa, poemat prozą — nie mój rodzaj. Jeżeli mam jaki talent, to dramatyczny. Aby doświadczyć magicznego tknięcia twórczości, potrzebuję mieć przed sobą — sytuację i akcję, akcję rozmaitą, z tłem malowniczym i plastyką figur. W pomyśle Pana tło jest, lecz plastyka niemożliwa, akcja żadna. Swoją drogą w tym rodzaju może być rzecz piękna i wielka, ale rodzaj nie mój, więc nie potrafię.

(...) Pomimo to, cóż stracimy na tym, jeżeli się zjedziemy i poznamy? Wszak Pan i bez tego — o ile z listów rozumiem — byłby w Szwajcarii. Więc jeżeli i nie będziemy pisać wspólnie, to z rozmowy, z rozmów wyniknąć może korzyść jaka lub choćby przyjemność".

Zwróćmy uwagę na stopień pisarskiej samowiedzy Orzeszkowej, rysujący się wyraźnie w liście, a także, rzecz znamienna w przypadku pisarstwa o znamionach moralitetu, na obawę popadnięcia w dydaktyzm. Warunki polityczne, o których wspomina autorka listu, są powszechnie znane. „Okoliczności osobiste" — mniej.

Myślę, że biografia Orzeszkowej jest biografią kobiety, która miałaby wszelkie dane po temu, by zostać bohaterką najbardziej wyrafinowanej, współczesnej powieści psychodogicznej. Mająca dopiero nastąpić jej znajomość z Garbowskim to jeden z mniej znaczących epizodów. Przedtem jednak była miłość, wielka i dramatyczna: miłość do żonatego mężczyzny, który, przez wzgląd na chorobę żony, nie decydował się odejść od niej. Natomiast Orzeszkowa zdecydowała się na ten związek, na wszystkie jego udręki, niepomna swej ambicji, wzięła na siebie całą rzekomą hańbę tej miłości. Przypomnijmy, że dzieło to się w ubiegłym wieku, i to w niedużej mieścinie, jaką było Grodno.

Coś z tej trudnej biografii przeniknęło do książek pisarki, skoro zdarza się, że niektórzy szukają w nich oparcia i to oparcie znajdują. Tak było z Marią Dąbrowską w okresie jej depresji psychicznej podczas ostatniej wojny.

Wróćmy jednak do rodowodu „Ad astra". Orzeszkowa przyjeżdża do Interlaken i tu następuje poznanie z Garbowskim. Atencja, z jaką odnosi on się do pisarki, jego urok osobisty i młodość (Orzeszkowa zbliża się już wtedy do sześćdziesiątki) — sprawiają, że autorka „Nad Niemnem" nawiązuje z Garbowskim bliższą korespondencję. Zarazem dojrzewa w niej zamysł wspólnej książki. 28 września 1899 roku pisze do Grabowskiego:

„Pomysł do Ad astra, im więcej o nim myślę, tym więcej mi się podoba, wzrasta, nabiera kolorytu i wyrazistości. Wszak nie zapomniał Pan, że ma to być dwugłos, nie powieść, i na tym zależeć ma oryginalność formy. W monologach myślowych, w listach, na jednym punkcie utworu w dialogu dwa głosy: męski i niewieści, zupełnie odmiennymi tonami. Ktoś powiedział, że pospolicie kobieta myśli sercem, a mężczyzna czuje rozumem. Głos Seweryny, nieraz mądry, przecieka przez serce płomienne, nawet przeczulone, z niego biorąc moc i głębię, lecz także miękkość i słodycz. Głos Tadeusza, twardszy w stylu, surowszy w analizie, bije z rozumu, który jak płomień pochodni wśród wichru chwieje się w podmuchach zwątpień stanowiących sam oddech rozumu, a tamujący oddech serca. Oboje mają w sobie dramat lecz nad jej wewnętrznym krzykiem i zgiełkiem jaśnieją dwie gwiazdy: wiara i miłość, które na jego niebie zasnuły grube obłoki sceptycyzmu naukowego, roztargnień światowych i oschłych stosunków rodzinnych.

A teraz tło dla tych dwóch głosów także podwójne: natura szwajcarska i polska z tym wszystkim, co w obu jest najpiękniejszego; sposób też życia; światowy, napełniony nauką na przemian z użyciem i wiejski, nalany po brzegi ciszą, skupieniem aż do wytężenia, wyciągniętymi ku ideałom władzami myślenia i czucia.

Wszystko to razem w partii swojej traktować zamierzam na sposób zupełnie inny, niż się traktuje powieści. Realizm usuwam — o ile podobna — przed fantazją, która w postaci snów czy wizji niech maluje obrazy choćby nie naśladujące wiernie natury, lecz plastycznie i dokładnie odzwierciedlające to, czego mają być symbolem. Myślę o szerokim używaniu symbolu z możliwym unikaniem niejasności, która mu najczęściej towarzyszy. Powinno to być przeźrocze tkane we wzory urozmaicone i fantazyjne, lecz tak cienkie i przepojone światłem, aby zza niego nie tylko wyraźnie, lecz plastycznie można było widzieć dramat i — zamkniętą w nim filozoficzno-społeczną myśl.

Gdyby to wszystko udało się tak zrobić, jak zrobionym być powinno, mogłaby wyjść rzecz wspaniała. Nowa w formie i wspaniała w treści. Ale... właśnie dla nowości i dlatego, że mam sprzymierzeńca, że jeżeli zawiodę, to nie tylko sama siebie, nie mam dotąd dość energii, aby zacząć. Myślę, obmyślam, waham się, czasem tak, czasem inaczej mi się zdaje, ale już kosztowałoby mię dużo, gdybym wyrzec się musiała próby. Spróbuję i próbę dokonaną Panu przyślę, może już wkrótce".

12 października tego roku Orzeszkowa donosi z Grodna Garbowskiemu:

„Zaszłam pisać „Ad astra", idzie mi to dla przyczyn różnych powoli, ale zajmuje myśl, czas i już unosić zaczyna. Proszę o wiadomość, czy Pan już jest w Krakowie i czy adres nie zmieniony, abym na pewno, wprawdzie za dwa jeszcze tygodnie, przesłać mogła rękopis. Wtedy także odpowiem obszernie na pytania tyczące się utworu i bardzo dużo o nim napiszę. Z kilku urywków otrzymanych trudno mi uczynić wnioski pewne, oprócz tego, że styl ich, różniąc się bardzo z moim, właśnie przez to wybornie potrzebie artystycznej odpowiada. W dwugłosie każdy głos powinien mieć inne brzmienie. O wszystkim tym rozpiszę się przy wysyłaniu swego rękopisu".

W dwa tygodnie później Orzeszkowa pisze:

„Drogi Panie. Wysyłam rękopis. Nie wiem, czy i o ile podoba się Panu; może też to, co się nie podoba, da się poprawić i ulepszyć; niech mi Pan zakomunikuje wszystkie uwagi, jakie tylko przyjdą na myśl, a ja ze swej strony, co tylko potrafię uczynię.

Teraz na Pana kolej przysłać mi rozdział II pt. W Interlaken i odpowiedź na list Seweryny. Bo tak umyśliłam, że pomiędzy listami i w samych listach będą opisy z jednej strony natury litewskiej najspecjalniej Puszczy, z drugiej strony szwajcarskiej, specjalnie Alp. Same już te tła przeciwstawione sobie, przepyszne, będą miały nowość i wartość dużą. W ogóle trzymamy w ręku jeden z najpotężniejszych środków artystycznych, mianowicie: kontrast. Trzeba go wyzyskać, uwydatnić w krajobrazach, w duszach i w głosach. Dwie różne natury, dwie różne dusze, dwa różne głosy".

Należy podziwiać znakomite rozeznanie teoretyczno-literackie Orzeszkowej, które, niestety, nie dało w tym wypadku pożądanego rezultatu. W cytowanym liście udziela ona szeregu rad Garbowskiemu, jak powinien podejść do pisanych przez siebie partii książki. Praca została więc wspólnie podjęta. Nie postępowała ona jednak łatwo, o czym Orzeszkowa wspomina w liście do **Erazma Piltza**, redaktora czasopisma „Kraj".

„Aby z przemilczenia mego nie powstało jakie nieporozumienie powiedzieć muszę, że mam rozpoczętą powieść „Ad astra" większych rozmiarów, lecz piszę ją w warunkach zupełnie wyjątkowych, bo nie sama jedna, lecz na wspólkę z kimś za granicą mieszkającym, a ów współpracownik mój życzy sobie dla swoich osobistych przyczyn, które uwzględnić muszę, drukować ją w warszawskiej gazecie „Słowo". Że też i ja związana jestem ze „Słowem" przyrzeczeniami po wielokroć już dawanymi, więc tę powieść dwuimienną tam drukować będziemy, jeżeli w dodatku napiszemy ją kiedykolwiek, bo takie pisanie we dwoje posiada niedogodności ogromne i sprowadza zwłoki nieskończone. Jeżeli kiedy utwór ten z piórem podwójnym skończonym będzie, mam nadzieję, że co najmniej posiądzie zaletę oryginalności, ale kiedy i czy to nastąpi — pytanie, na które odpowie czas, chyba za rok".

Przewidywania Orzeszkowej były i tak nazbyt optymistyczne. Wspólna książka została zakończona dopiero w dwa lata później, to jest w początkach roku 1902, wydana zaś po raz pierwszy w roku 1904.

Garbowski wystąpił tym razem na tytułowej stronie książki pod pseudonimem **„Juliusz Romski"**. Plon „romansu literackiego", powieść **„Ad astra"**, jest jak wiadomo dialogiem między dwojgiem oddalonych od siebie przestrzenią ludzi, zarazem zaś — między lodowcami Szwajcarii i Puszczą Białowieską. Orzeszkowa wcieliła się właśnie w ów głos Puszczy, w której często przebywała szukając wytchnienia, uciekając od powikłań życiowych — i której motyw wielokrotnie powraca w jej twórczości.

(c.d.n.)

Dalszy ciąg ze str. 1

NIE JESTEM GORSZY

nie hodowali trzody, uważając że za dużo pożera ziemniaków, iż można uzyskać takie same przyrosty wagowe karmiąc świnie miażdżonymi na „sąku" burakami pastewnymi. Te świnie nieźle nas podciągnęły...

— I tak szybko dorobił się Pan samochodu?

— Ta syrenka utknęła pod lasem i przyciągnęli ją do mnie na podwórze koniem. Właściciel oświadczył, że nie będzie już jeździć, ma tego dosyć i najchętniej by sprzedał. Bez targu kupiłem za... dziesięć tysięcy. Miesiąc robiłem przy niej, dołożyłem trochę grosza, ale się opłaciło. Jeżdżę do oporu, i to ciężko załadowaną nawozami lub paszą z geesu. Wożę też najstarszą córkę do „zerówki" w Bychlewie. Musi chodzić jako jedyna z Terenina, a tam błoto, pięć kilometrów drogi. Jak sucho, żona wozi córkę na rowerze.

— Nie uważa Pan, że SKR zamiast uprawiać źle ziemię, powinny zająć się rzetelnym wykonywaniem usług dla rolników?

— SKR, chcąc nadrobić braki w gospodarce ziemią i hodowli, zawierając korzystne umowy na wykonywanie usług transportowych z różnymi przedsiębiorstwami, chłop zaś zostaje na końcu. A na samym końcu jest chłoporobotnik, który najbardziej potrzebuje pomocy, bo sam sobie maszyn nie kupi.

— Chłoporobotnik pracuje na półtorej renty.

— Ale cholernie ciężko, na dwóch prz. musowych etatach!

— Rolnik uważa, że też może iść na dozorcę nocnego, a z ziemią jakoś tam będzie. Mogą powstać nowe szeregi dwuzawodowych.

— Nie sądzę, żeby nam to groziło. Praca na roli staje się coraz korzystniejsza.

— W mieście mówią, że chłoporobotnik jest kiepskim pracownikiem, na wsi twierdzą, że to lichy gospodarz.

— Jak majster w fabryce nie dopilnuje, to tak jest. A na wsi też jest ktoś odpowiedzialny za dopuszczanie do takiego stanu.

— Ma Pan przykłady?

— Proszę bardzo! Dwoje ludzi z miasta kupiło ziemię na wsi i nie

Foto: W. Parys

pracują. Byle gdzieś cielaczka wykombinować, zabić i wywieźć do miasta. Są zameldowani w mieście, tutaj siedzą bez zameldowania. Postawili budę z blachy i papieru, światło przeciągnęli od sąsiada i mówią, że dupy na polu wypinać nie będą. Wszystko się wali, gmina śle decyzje na rozbiórkę, a oni, gdy my kosimy żyto, opalają się na łące. Ludzi to denerwuje. Albo jest taki rolnik, który kosi owies w końcu października, a żyto sieje po dwudziestym listopada. Wielu wzięło by tę ziemię i zagospodarowało, ale niech gmina wywłaszczy tego faceta. A w ogóle to są dwa rodzaje chłoporobotników. Pierwsi pracują dobrze na wsi i w fabryce. Chłoporobotnik pod miastem pierwszy wprowadza do gospodarstwa nowoczesność i daje więcej żywności niż chłop na dalekiej wsi, bo uprawia warzywa pod folię, produkuje drób i pieczarki. Taki jest źródłem utrzymania dla rodziny i daje produkcję tym w mieście. Drudzy natomiast łapią się dwóch możliwości: siedzieć na wsi, dorabiać i kupić mieszkanie w mieście. Siedzieć tu i tu, wisieć. Przeorać pole, żeby się nie przyczepiali, kląć i ludzi psuć. A po co kontraktacja, a po co więcej, jak i tak w sklepie nie kupi.

— Których jest więcej?

— Tych dobrych! Chłoporobotnik wynosi z domu rodzinnego zamiłowanie do pracy, rzetelność i obowiązkowość. Takie jest prawo, gdy pracuje się na swoim, i on te cechy przenosi gdzie indziej, także do fabryki. Jeżeli na ulicy przed fabryką rosną róże, to pielęgnacją powinno się zająć MPKG. Ale to przed naszą fabryką, zróbmy sami. Chłoporobotnik pójdzie pielić, pamięta przynieść liści, żeby krzaki obsypać na zimę, a miastowy nie umie wziąć haczki do ręki. Czeka. To nie moje, mówi, co mnie to obchodzi, ja takiej szkoły nie kończyłem. Gdy w Straży jest alarm, to ten ze wsi zrywa się już na błysk światła, bo nauczył się czuwać w gospodarstwie. Inny śpi, w łóżko trzeba kopnąć, żeby wyskoczył. Przy pożarze na wsi strażak, który jest chłopem, ratuje najlepiej, bo jego serce boli, jemu szkoda zmarnować tego, co się urodziło. W Rydzynach u Wąsowskiego paliła się stodoła ze zbiorami. Kilku naszych starało się uratować porozciągane zboże, a ci z Łodzi chrzanią w ucho! Pozalewali, byle zrobić swoje i w nogi.

— Pan zalicza się do tych dobrych?

— Na mnie w Straży i we wsi nikt złego słowa nie powie. Na wsi nie jestem gorszy, a może nawet lepszy. Najpierw wybierałem szlam z sadzawki, żeby użyźnić ziemię, a w zeszłym roku z 4,20 ha tylko państwu sprzedałem za 155.300 zł. Wiele rzeczy sąsiadom udowodniłem. Koń na 4 ha zjada dużo ziarna, a mógłby obrobić 20 ha. Ale może być opłacalny. Ja mam klacz, która dała mi dwa konie po 30 tys. złotych, i można nią pracować aż do wyźrebienia, tylko ostrożnie. A do ciężkich prac sprzęgam się z koniem sąsiada. Sąsiedzi zaczęli się wzorować na mnie. Nie wiedzieli na przykład, że można sobie dobrze poradzić z paszą. Ot, choćby zasiać buraki, mieć przez dwa miesiące zielonkę z liści, trochę kiszonki, a okopowe swoją drogą. Albo zasiać jesienią żyto, w maju zrobić z tego kiszonkę, a na tym samym miejscu wsadzić kartofle. Albo wsadzić po żniwach kapustę pastewną tam, gdzie rosło zboże. U nas teraz cholerne błoto, ale latem musiałem przywozić wodę z miasta. Dlatego pierwszy we wsi wykopałem studnię głębinową. Sam zrobiłem sobie betoniarkę. Pierwszy kupiłem parnik elektryczny. Przygotuję parnik, idę do pracy, a żona tylko zadaje karmę.

— Świecąc przykładem został Pan radnym gminy Pabianice.

— Należę do POP w Straży, żona zaś do organizacji terenowej w Hermanowie. Ona miała być radną, ale akurat urodziła dziecko i wybrano mnie. To nie jest słodkie, ale ja się w to wciągam, bo to również moje sprawy, chociaż nie zawsze wszystko można powiedzieć. A na zebraniu krzyk, żeby radni powiedzieli, co zrobili dla wsi. Najwięcej upominają się ci, co najmniej państwu dają. Ja wszystkiego nie załatwię, bo są niedociągnięcia, służba rolna też nie zawsze operatywna. Są różne hamulce. Ostatnio tym, co doją dojarkami, zaniżono cenę mleka o 75 gr na litrze. Czystość dobra, tłuszcz dobry, więc znaleźli jakieś bakterie. Były we wsiach rozprowadzone przez SKR rozrzutniki do nawozów które można było za opłatą wypożyczyć u sołtysa, ale gdzieś zniknęły. Teraz w geesie nawozu azotowego w czystym składniku nie sprzedadzą. Do 500 kg azotowego pchają na siłę tonę soli i superfosfatu. Czy chłoporobotnik albo stary, schorowany rolnik rozsieje ręką tonę nawozu? Dzieci pchają się pięć kilometrów przez błoto do szkoły w Bychlewie. Tej drogi chyba nie zrobią, ale ma pójść przez

ABONAMENT DO ZBIOROWEJ KUCHNI

„Gastronomia", „zakłady zbiorowego żywienia", „produkcja gastronomiczna" — oto pojęcia, które używa się w „Społem", kiedy mówi się o działalności barów i restauracji. Co się za tym wszystkim kryje? Jakie jest „zaplecze" łódzkiej gastronomii, którego klient nie widzi, z którym się nie styka, a które decyduje o tym, co znajdzie się na jego talerzu? Z jakimi problemami i trudnościami borykają się ludzie, od których zależy pełny talerz w barze czy restauracji? Aby znaleźć odpowiedź na te pytania poprosiłam o rozmowę dyrektora Zakładu Otwartej Sieci Gastronomicznej w „Społem" — CZESŁAWA FILLERA i zastępcę dyrektora — FRANCISZKA WAWRZYNIAKA. Zadałam im na początek proste pytanie: — GDZIE W ŁODZI MOŻNA SZYBKO i SMACZNIE ZJEŚĆ O KAŻDEJ PORZE?

F. WAWRZYNIAK: — Wszędzie. W każdym barze szybkiej obsługi czy barze mlecznym.

— Jest pan optymistą.

F. WAWRZYNIAK: — Szybko można zjeść na przykład w „Balatonie", „Rekordzie", „Rarytasie", „Kęsie". W barach mlecznych „Wzorowy", „Reprezentacyjny", „Zachęta", „Zielony".

— Wymienił Pan przede wszystkim bary w Śródmieściu, a poza tym zupełnie nie rozumiem, dlaczego bar „Wzorowy" nazywa się „Wzorowy" skoro jest on daleki od wzoru.

C. FILLER: — Można do tego dodać również, że „Reprezentacyjny" nie jest wcale reprezentacyjny. Z tego nie wynika, że my nie wiemy, jak powinien wyglądać wzorowy bar mleczny, czy jak powinien wyglądać bar reprezentacyjny. Zresztą taki wzorowy bar powstanie niedługo w budowanym kombinacie gastronomicznym u zbiegu ulicy Piotrkowskiej i Głównej.

„Reprezentacyjny" mieści się w starym budynku i tam już nic nie można zmienić. Można ten bar remontować, odświeżać, wstawiać nowe wyposażenie, ale powiększyć go nie można.

— Można zmienić jego nazwę.

C. FILLER: — Ale bar jako taki zostanie. I problem zostanie, bo większość naszych barów mlecznych mieści się w starych budynkach, gdzie już niewiele można zrobić. Nie można w starych budynkach ani instalować nowych urządzeń, ani mechanizować pracy, gdyż na przeszkodzie temu stoi ciasnota pomieszczeń i ograniczona moc instalacji elektrycznych.

— Ciągle mówimy w zasadzie o barach położonych w centrum miasta. A są przecież i inne. Ile w ogóle mamy barów w Łodzi?

F. WAWRZYNIAK: — Barów mlecznych mamy 26, a barów szybkiej obsługi — 24. A dlaczego mówimy ciągle o centrum miasta? Bo taki jest jego układ. Całe życie handlowe koncentruje się właśnie w centrum. Naszym obowiązkiem jest więc właśnie w centrum zapewnić ludziom posiłek.

C. FILLER: — Nie można gastronomii odrywać od reszty handlu. Trzeba na te sprawy patrzeć łącznie. Są one z sobą wzajemnie powiązane.

F. WAWRZYNIAK: — Potwierdza to analiza obrotów. Największe obroty mają właśnie bary i restauracje w centrum. Pozostałe daleko im ustępują.

— Czy to znaczy, że nowe bary trzeba budować głównie w centrum miasta?

F. WAWRZYNIAK: — Budujemy i poza centrum. Na przykład powstaje nowy bar na Widzewie — Wschód. Budujemy na Retkini.

C. FILLER: — Według naszych założeń w barach szybkiej obsługi, w barach mlecznych i jadłodajniach powinno w najbliższym czasie przybyć 600 miejsc. I to nie tylko w centrum.

— Co to znaczy „w najbliższym czasie"? Nie może Pan powiedzieć konkretnie, kiedy?

C. FILLER: — Nasze przedsiębiorstwo prowadzi bary i restauracje. Buduje je kto inny. Na początku roku trudno nam powiedzieć, jak ze swoich zadań wywiążą się budowlani. Wiemy, jaki jest plan budowy nowych barów na 1979 rok, ale coś z tego może przejść poślizgiem na rok 1980 i nic tu nie poradzimy.

F. WAWRZYNIAK: — Wiemy lepiej, jakie będziemy przeprowadzali remonty i jakie bary będziemy modernizowali. Zaplanowaliśmy w 34 barach remonty. Ale też może się zdarzyć, jak to miało miejsce w „Bankowym", że już po przystąpieniu do remontu, jego zakres okazał się znacznie większy niż planowaliśmy. I to dotyczy wszystkich starych budynków, które poddaje się remontom.

— Ostatnio wiele się mówi o „gastronomii osiedlowej". Co Panowie o tym sądzą? Jesteście Panowie za czy przeciw tej idei?

F. WAWRZYNIAK: — Jesteśmy za, ale mamy wątpliwości co do rozmiarów osiedlowej gastronomii.

— Czy jest jej za dużo, czy są to zbyt duże lokale jak na osiedlowe potrzeby?

C. FILLER: — Rzecz nie w tym. Są one przede wszystkim umieszczone w typowych pawilonach, gdzie znajdują się sklepy, warsztaty usługowe. Z jednej strony to dobrze, bo ludzie przychodzą po zakupy. Tylko, że to nie jest autentyczne centrum osiedla, w którym byłyby nie tylko sklepy i punkty usługowe, ale i instytucje kulturalne, administracyjne, gdzie rację bytu miałyby bary i kawiarnie.

F. WAWRZYNIAK: — Brak takiego centrum w osiedlu wyraźnie odbija się na obrotach baru, a jeszcze bardziej na obrotach kawiarni. Jest na przykład na rogu ulicy Przybyszewskiego i Przędzalnianej „Duet". Mamy poważne wątpliwości, czy tam potrzebny był w ogóle bar i kawiarnia. Wskazują na to obroty, jakie „Duet" osiąga, a są one bardzo niskie.

— Czy to znaczy, że założenia były błędne?

C. FILLER: — Tak nie można powiedzieć. Jest tam przecież spore już osiedle i wydawało się, że potrzebna będzie tam i kawiarnia, i bar.

— Ale życie temu zaprzeczyło. Dlaczego?

F. WAWRZYNIAK: — Albo taki „Michaś" na Franciszkańskiej 107. Gdybyśmy tam nie żywili junaków OHP, to i bar nie miałby tam racji bytu, bo kawiarnia nie ma na pewno. Natomiast w Pabianicach jest taki sam pawilon „Juvenia". I tam zdaje on dobrze egzamin.

C. FILLER: — Mnie się wydaje, że jest to zjawisko nieco szersze. „Juvenia" w Pabianicach dlatego zdaje egzamin, że spełnia rolę baru miejskiego, a nie tylko osiedlowego. Gastronomii nie można bowiem wyizolować z całokształtu życia miejskiego. Bary czy restauracje muszą być usytuowane w takich miejscach, gdzie jest duży ruch, gdzie ludzie mogliby szybko dostać coś do jedzenia w przerwie między różnymi swoimi sprawami. Nie każdemu opłaca się jechać do osiedla na posiłek, skoro musi jeszcze zostać w centrum bo załatwia zakupy, albo wybiera się po pracy do kina.

— Poza tym ludzie muszą się do pewnych lokali przyzwyczaić.

F. WAWRZYNIAK: — Bezwzględnie. Mamy zresztą na to przykład. Pod koniec 1977 roku otworzyliśmy bar „Tempo" przy ulicy Łagiewnickiej. Założyliśmy, że powinien on osiągać 300 tysięcy złotych obrotu miesięcznie. Ale na początek osiągnął 150 tysięcy złotych. Gdzieś w połowie roku doszedł do 200 tysięcy, a dopiero pod koniec 1978 roku doszedł do założonej wielkości obrotów.

Ale w barze tym jest ruch tylko przez jakieś dwie godziny, między, godziną 13 a 15, a czasami ruch jest do 16.

— I tak jest chyba nie tylko w tym barze?

C. FILLER: — Podobnie jest w innych.

— W centrum również. Kolejki można zobaczyć właśnie w porach obiadowych. I to jest naturalne?

Karolew asfaltowa droga do lasu, myślę więc, że uda mi się wywalczyć jej przedłużenie nad lasem, do Terenina. Gałęzie żeśmy już wycinali, potem się wyszlakuje. Nie jest słodko. Siano leży na polu, a na sesję trzeba jechać...

— Nieprawdopodobne, żeby można się z tym wszystkim wyrobić.

— Ale możliwe. Praca na trzy zmiany, po osiem godzin, to tylko dziechciarstwo, za gospodarkę nie ma się co brać. Ja pracuję dwadzieścia cztery godziny i czterdzieści osiem mam wolne. Jeśli nie ma alarmu, to mam prawo spać od 22,00 do 6,00 rano. Przyjeżdżam do domu o 8,30, żona już powyprowadza bydło, oprzątnie, a ja jem śniadanie i idę w pole. Gazetki nie czytam na tapczanie, telewizji też nie oglądam. Jak jest alarm, to idę w pole nie wyspany, bo muszę. Wszystko, co mam, zawdzięczam pracy. Dzieci zostają same w domu, żona w szpitalu rodzi trzecie, a ja do pierwszej w nocy stoję w kolejce po cegłę w Teodorach. Takie jest życie.

— Gdyby spytać sąsiadów, kto więcej pracuje w gospodarstwie, to co by powiedzieli?

— Że żona. Ale efekty mojej pracy są bardziej widoczne. Pracy kobiety na wsi nie uczy się, chociaż jest naprawdę ogromna. Szlag mnie trafia, że nie ma niektórych urządzeń i maszyn. Dlaczego kobieta musi iść przetrząsać siano widłami, kiedy powinna zająć się dziećmi i gotować obiad. Ale moja żona nie zostaje tylko ze względu na troje małych dzieci. Jest tak, że w gospodarstwie nawet we śnie trzeba myśleć. Dwóch rolników karmi zwierzęta tą samą paszą w tych samych ilościach, a wyniki w przyszłości są różne. Kobieta w domu dopatrzy jak trzeba, wszystko zrobi o swoim czasie, nie przekarmi, to wyniki lepsze. Kobieta ma dużo cierpliwości i samozaparcia. Maciora nie chciała przyjąć prosiąt. Zagryzała. Żona cierpliwie trzymała 11 prosiąt za siatką, wiązała maciorę, ostrożnie podpuszczała małe do cycków i pilnowała, żeby się napiły mleka. Odchowała te prosięta. Trzeba też robić „małe spółki", żyć w zgodzie z sąsiadami. Kiedy jestem w pracy i przyjdą szczepienia, albo wycielenia, nie muszę się martwić, bo mężczyźni pomogą.

— Nagromadził Pan trochę materiałów budowlanych.

— Tak jest, za ciężko zarobione pieniądze. I na wiosnę rozpocznę budowę obory specjalistycznej, w której stanie 22 sztuki bydła: 16 krów dojnych i 6 sztuk jałowizny. Kosztorys opiewa na milion. Miałem dać 25 proc. własnego wkładu, a inni przejmując podupadłe gospodarstwo, dawali 10 proc. wkładu. Zbuntowałem się, bo ja musiałem kupić podupadłe gospodarstwo, nie przejąć. No, i już mi uruchamiają kredyt na lepszych warunkach. W tym roku dokupiłem hektar ziemi, wiosną uzyskam dzierżawę, która z przyległościami obejmie 2,60 ha. Ale żeby utrzymać taką oborę, będą musiał mieć około 18 ha. Kartę gospodarstwa specjalistycznego mam założoną.

— I co dalej?

— Jak to co? Budowa, więcej krów, więcej ziemi, nie myślę więc zarywać w pracy. Wykorzystam urlop, a potem podziękuję i zwolnię się.

— A niektóre głowy martwiły się, jak zlikwidować chłoporobotników.

— Sami się zlikwidują! Ode mnie jeden starszy kierowca dokupił łąki i hoduje bydło. Fuks z Żytowic przejął gospodarstwo po rodzicach i też się zwolnił. Powraca zainteresowanie ziemią, a chłoporobotnik jest pazerny na ziemię i zawsze siedzi w nim ta tęsknota, żeby nie być zależnym od szefów. Wrócą na gospodarstwa, trzeba im tylko pomóc, nie utrudniać.

— Jest przepis, który mówi, że kto pracuje poza rolnictwem, nie może ukończyć kursu dającego uprawnienia rolnicze.

— I bardzo dobrze! Bo jest wielu cwaniaków, którzy chcieliby mieć uprawnienia, żeby kupić małą działkę, postawić odrapany kiosk i dziechcić, psuć krajobraz i ludzi wnerwiać. Mądry naczelnik gminy zawsze wyczuje sytuację i będzie wiedział, jak postąpić. Jeżeli chłoporobotnik ma przejąć gospodarstwo po rodzicach i rokuje nadzieje na dobrego rolnika, to na pewno uzyska uprawnienia.

— Tak, jak Pan.

— Jasne! Ale czy długo pozostanę wyjątkiem? Ludzie będą wracać na ziemię, byleby tylko fabryki nie stanęły.

— Panie Audrzeju. Tyle lat ciężkiej pracy, tyle kłopotów i wyrzeczeń. Dlaczego?

— Bo ja wiem? Na pewno ambicja. „Przybłęda", który woził na rowerze zielonkę dla krowy, stanie się właścicielem najlepszego, jedynego we wsi gospodarstwa specjalistycznego. No, i to marzenie o samodzielności, które mnie przywiodło w obce strony. Tak naprawdę to ja się usamodzielnię dopiero wtedy, gdy rzucę pracę w Straży. A poza tym to jest tak, że trzeba uczestniczyć w zamykaniu tego życiowego koła. Człowiek wychodzi z biedy, haruje, idzie w górę i kiedy już się dorobi, trzeba umierać. Ale to zdobyte zostanie dla moich córek i im będzie już lepiej...

Rozmawiał:
RYSZARD BINKOWSKI

Foto: M Zajdler

O MARZENIACH, PRACY I SZCZĘŚCIU...

Rozmowa z TERESĄ MAY-CZYŻOWSKĄ

Niemal dokładnie rok temu czytelnicy naszego pisma zaszczytny tytuł „Łodzianki roku 1977" przyznali wybitnej śpiewaczce, znanej melomanom solistce Teatru Wielkiego w Łodzi TERESIE MAY-CZYŻOWSKIEJ. Ubiegłoroczna laureatka plebiscytu „Odgłosów" w roku bieżącym została laureatką Nagrody Miasta Łodzi.

— Ta nagroda ma dla mnie szczególną wartość i wyjątkowe wręcz znaczenie. — Mówi Teresa May-Czyżowska. — Nie jest ona tylko kolejną z nagród, jakimi mogę się poszczycić Tamte bowiem, będąc nagrodami stricte artystycznymi przyjmowałam z zadowoleniem jako ocenę umiejętności warsztatowych mojego zawodu, umiejętności, które mimo, iż ulotne są zjawiska artystyczne, także mogą być wymierne. Nagroda miasta Łodzi jest czymś innym, czymś naprawdę wspaniałym. Nazwałam ją (niezwykle wzruszona, więc trochę „po babsku") moim własnym mianem, jakie dla niej znalazłam, nazwałam ją „wzajemnością uczuć". Nie urodziłam się w tym mieście, ale moje związki z Łodzią mnie samej wydają się silniejsze niż te, jakie mogą łączyć nas z miejscem przyjścia na świat. Tutaj śpiewam od lat, tutaj znalazłam najwspanialszą atmosferę dla mojej pracy, tutaj wreszcie mam swoją publiczność, jedyną i tak dla mnie życzliwą, że jej serdeczność wręcz dodaje skrzydeł, każe sięgać po coraz trudniejsze zadania i wykonywać je coraz lepiej. Nie umiałabym pracować w innym mieście, naprawdę. To co robię, mogę robić tylko tutaj. W gruncie rzeczy dla każdego z nas nic nie przedstawia większej wartości niż własny dom, a ja tylko w Łodzi jestem u siebie. Pewnie zapyta pani, czy nic nęcą mnie wojaże? Nęcą, ale tylko te krótkie, takie „artystyczne wycieczki", po których największą radością jest radość powrotu do siebie, do swoich. Do swojego teatru, do swojej publiczności, bo tylko z nią wiąże nas nić prawdziwego porozumienia. Ja wiem, inni robią kariery, gdzieś daleko, za morzami. Są nawet ludzie, dla których ilością tych zamorskich podróży mierzy się talent, wartość artysty. Nie podejmuję dyskusji z takim poglądem. Nie warto, szkoda czasu. Śpiewam tu i teraz i to jest najwspanialsza realizacja mojego największego marzenia. Ja jestem po prostu szczęśliwa. Spełniło się! Czy może być coś milszego, proszę tylko pomyśleć.

— To rzeczywiście wspaniałe. Z każdego sukcesu cieszyliśmy się razem z Panią. Obserwujemy stały rozwój Pani talentu, każda operowa partia w Pani wykonaniu jest zawsze najwyższego lotu kreacja artystyczną, każda następna jest zawsze jeszcze lepsza niż poprzednia. Widać stale wspinanie się w górę. Czy do następnych marzeń?

— Oczywiście! Nikt z nas nie potrafi się chyba bez nich obejść. Dla mnie nie są one zresztą ukojeniem, ale bodźcem. Ta nazbyt chyba wysoka, pełna komplementów ocena zawarta w pani pytaniu, jest dla mnie niezwykle miła. Nie ukrywam radości z pochlebnych ocen, z jakimi spotykam się w mojej pracy. Ale pytana o nie, nie potrafię w żadnej z rozmów ominąć tematu pracy. Nic nie cieszy nas bardziej, niż fakt, że jest ona dostrzegana, a jeśli ceniona — to znowu szczęście. Nagrodę Miasta Łodzi, tę „wzajemność uczuć", która utwierdza mnie w przekonaniu o słuszności dokonanego kiedyś wyboru, o właściwym kierunku drogi, którą idę, przyjmuję także jako ocenę bardzo ciężkiego czasem wysiłku i mozolnej pracy. Cieszę się, że ta praca oceniona została tak wysoko. Nie muszę chyba dodawać jak bardzo ta nagroda miasta, które wybrałam zobowiązuje mnie do dalszej pracy. Nie chciałabym traktować jej jako zamknięcie etapu. Publiczność czeka na następne partie. Jestem świadoma jaj żądań, oczekiwań, wiem, że nie mogę nikogo zawieść. Pracuję więc bez ustanku, proszę, niech pani to napisze... Efekty naszych działań niemal ze zmrokiem odchodzą w przeszłość, w jakiś dzień wczorajszy. Nagrody jakie otrzymujemy za efekty, są dla nas samych także nagrodami za gotowość i ich bezpośrednim skutkiem jest zawsze to uskrzydlenie z jakim realizujemy następne zadania.

— Gratulując Pani serdecznie Nagrody naszego miasta spytam jeszcze tylko o to co wydarzyło się w Pani życiu artystycznym w czasie tego roku, który minął od naszego plebiscytu i dnia, w którym została Pani jego laureatką?

— W naszej łódzkiej inscenizacji „Wolnego strzelca" zaśpiewałam partię Agaty. Wraz z krakowską orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji wystąpiłam we Włoszech. Śpiewałam tam w „Niemieckim Requiem" Brahmsa i w oratorium Schumanna pt „Raj i Peri".

— A w najbliższych planach...

— Elżbietą w „Don Carlosie" Verdiego dla łódzkiej publiczności, w łódzkim Teatrze Wielkim. I może nagrania płytowe w „Polskich Nagraniach". Mówię „może" bojąc się zapeszyć, może nawet już to kiedyś zrobiłam, bo od momentu złożenia przeze mnie materiału repertuarowego na dwie pełne płyty, a było to półtora roku temu... A może lepiej jednak o tym nie mówmy bo znów zapeszę, a to miała być rozmowa o szczęściu...

— „Odgłosy" życzą go Pani z całego serca. Może trochę szczęścia będą mieli także melomani jeśli zdarzy im się jednak dostać (oby jak najszybciej) Pani płytę. Dzieląc z Panią radość tych marzeń, które się już zrealizowały, życzymy spełnienia wszystkich następnych i raz jeszcze serdecznie gratulujemy Nagrody Miasta Łodzi.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

C. FILLER: — To nie jest naturalne, bo nie powinno być w ogóle kolejek. Pora obiadowa jest dla wszystkich taka sama, ale gdyby bary dysponowały dostateczną ilością miejsc, to nie byłoby kolejek. Chcemy, aby tak właśnie było, nie jest to jednak takie proste.

— Z tego, co do tej pory mówiliśmy, nie wynika, że idea gastronomii w osiedlu jest taka łatwa do realizacji, jakby się to z pozoru wydawało.

C. FILLER: — W naszym przekonaniu powinna ona być adresowana do tych ludzi, którzy przez cały dzień pozostają w osiedlu. Uważamy, że jest tam gastronomia potrzebna, ale mała gastronomia, uzupełniająca. I dlatego będziemy zakładali w osiedlach jadłodajnie domowe, które będą oferowały klientom dwa, trzy zestawy dań obiadowych, śniadań i kolacji.

F. WAWRZYNIAK: — Aby bar mógł właściwie funkcjonować musi osiągać pewne minimum obrotów. Taki sam bar w centrum ma trzy, cztery razy wyższe obroty niż w osiedlu.

— Mówi się obecnie wiele o tym, że rodzina powinna spotykać się przy wspólnym stole. Dla rodziny, w której wszyscy pracują, a dzieci uczą się nie jest to łatwe, bo pani domu nie ma zbyt wiele czasu. Czy wobec tego gastronomia nie byłaby w stanie zapewnić rodzinom taki wspólny stół, przy którym się wszyscy spotykają o określonej porze?

C. FILLER: — Może i w jakimś stopniu już to robi. Służą temu obiady abonamentowe. Nie mówimy tu oczywiście o restauracjach „Orbisu", ale z naszych tylko „Kaskada" nie sprzedaje obiadów abonamentowych. Poza tym każdy może sobie taki obiad kupić i to w wybranej restauracji czy barze.

F. WAWRZYNIAK: — Około 30 procent obrotów barów i restauracji to właśnie obiady abonamentowe. Klient ma prawo wybrać sobie taki bar czy restaurację, w której będzie mu najwygodniej spotykać się całą rodziną.

C. FILLER: — Pracownicy socjalni zajmujący się załatwianiem obiadów abonamentowych dla pracowników swoich przedsiębiorstw są obowiązani spełnić ich życzenie, ale zdarza się tak, że tego nie robią, bo to kłopotliwe.

F. WAWRZYNIAK: — Winę za to usiłowano zrzucić na gastronomię, że niby my domagaliśmy się, aby kupowano abonamenty w tych a nie innych barach czy restauracjach, ale to nieprawda.

Foto: W. Parys

— Brzmi to zachęcająco, ale jest inny szkopuł. Jadłospis. W zasadzie nie ma potrzeby zaglądania do karty potraw, bo i tak wiadomo, co się w niej znajdzie. Na przykład, dlaczego bary zapałały taką miłością do mrożonek? Przecież każda gospodyni jest w stanie zrobić obiad z mrożonek bez większego trudu, jeśli tylko mrożonki dostanie. Klient nie przepada specjalnie za mrożonkami.

F. WAWRZYNIAK: — To nie jest miłość do mrożonek, to jest konieczność. My sobie zdajemy sprawę z tego, że niektóre mrożonki nie są jeszcze najlepsze, że nie smakują tak, jak powinny, ale jesteśmy zmuszeni do kupowania i podawania klientom.

— Co was do tego zmusza?

— C. FILLER: — Brak ludzi. Praca w barach nie jest lekka. Wiele barów, szczególnie w starym budownictwie, ale i te nowsze też, nie posiadają takich warunków, jakie powinny być. Stara doświadczona kadra już się wykrusza, a ze szkół gastronomicznych mało absolwentów przychodzi do nas do pracy. Część z nich też szybko odchodzi. I to nie dlatego, że w barach są złe płace. Decydują warunki pracy. W barach pracuje się na dwie zmiany, często w niedzielę i święta. W barach pracują kobiety, a kobiety — wiadomo — mają rodziny, dzieci, nie zawsze jest z kim te dzieci zostawić.

F. WAWRZYNIAK: — My nawet występujemy pod adresem Chłodni Składowych z postulatem, aby produkowano mrożonki przeznaczone wyłącznie dla gastronomii, aby były specjalnie pakowane i aby był większy ich wybór. To nie znaczy, że w barach nie robi się pierogów, różnych klusek i innych potraw. Tylko, że robi się tego mało, bo nie ma kto robić.

— Mówiło się swego czasu, o tym, że większe bary lepiej wyposażone będą dowoziły potrawy do mniejszych.

C. FILLER: — My musimy przystosowywać się do istniejącej sytuacji. Tak zwane kuchnie-matki są nadal potrzebne. Gotowe potrawy dowozi się już od dawna, ale to znów wiąże się w transportem. Potrzebna nam jest na przykład centralna obieralnia ziemniaków. Potrzeby w ogóle są duże. Radzimy sobie, jak możemy, ale nasze możliwości też są ograniczone.

— Ile zdaniem Panów duży bar powinien mieć potraw w jadłospisie, aby klient mógł być zadowolony?

C. FILLER: — Około trzydziestu.

— Czy to jest obecnie możliwe?

F. WAWRZYNIAK: — Nie wszędzie i to z bardzo różnych powodów.

— Czy wobec tego nie rośnie rola „małej gastronomii"?

F. WAWRZYNIAK: — I dlatego staramy się ją rozwijać. Chcemy w tym roku otworzyć sporą ilość plackarni, smażalni i innych małych barów, które specjalizowałyby się w jednym, dwu daniach.

— Czy będą to smażalnie na wolnym powietrzu?

F. WAWRZYNIAK: — Nie. Pod dachem.

C. FILLER: — Tylko, że jest to działalność uzupełniająca. Są potrzebne małe bary, ale i potrzeba też rozbudowywania dużych barów szybkiej obsługi. Rośnie bowiem zapotrzebowanie na posiłki podawane w barach.

— Z tego, co do tej pory mówiliśmy wynika, że duże bary powinny być budowane w centrum, a małe na osiedlach. Czy Panowie przyjmują taki kierunek działania?

F. WAWRZYNIAK: — Tak to planujemy.

— Czy są ajenci w barach?

F. WAWRZYNIAK: — Mamy ajentów w barach. Na przykład ajent prowadzi bar „Rekord", ajent prowadzi bar „Dąbrowa". Kolejki w barze „Rekord" wychodzące w porze obiadowej aż na ulicę świadczą że klientom ta działalność odpowiada. A nie jest ona łatwa. Trzeba to lubić, trzeba chcieć dać ludziom dobre potrawy. My zresztą nadzorujemy działalność agentów w gastronomii. I jak do tej pory obie strony są zadowolone.

— Klienci również.

C. FILLER: — Ale to jest tylko działalność uzupełniająca. Istota postępu w gastronomii leży gdzie indziej.

Staramy się we wszelki nam dostępny sposób rozwijać gastronomię. W ciągu 5 lat obroty wzrosły o 100 proc. Jeśli nawet weźmiemy pod uwagę, że zmieniły się też ceny, choć w barach mlecznych są one na nie zmienionym poziomie, to i tak wniosek z tego prosty, że karmimy więcej osób niż dawniej. I będziemy do tego dążyli dalej. Jako pierwsi w kraju wprowadziliśmy obiady abonamentowe dla ludzi pracujących. Dzięki tym obiadom, które w połowie opłaca klient a w połowie jego zakład pracy, zastępujemy blisko 40 stołówek.

Tam, gdzie to jest możliwe i na ile to jest możliwe, mechanizujemy pracę. Ściągamy z zagranicy wszelkie nowości techniczne i demonstrujemy je w Łodzi. Chcemy rozwijać nadal małą gastronomię. Proponujemy pracę w gastronomii na pół etatu. Mamy pełną świadomość, z jakimi boryka się nasza gastronomia i szukamy najlepszych sposobów do ich przezwyciężenia. Nie jest to łatwe, ale musimy się z tymi kłopotami uporać, aby zapewnić łodzianom i tym, którzy do Łodzi przyjeżdżają dobre i smaczne wyżywienie. Taki jest cel naszego działania, naszej codziennej pracy.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

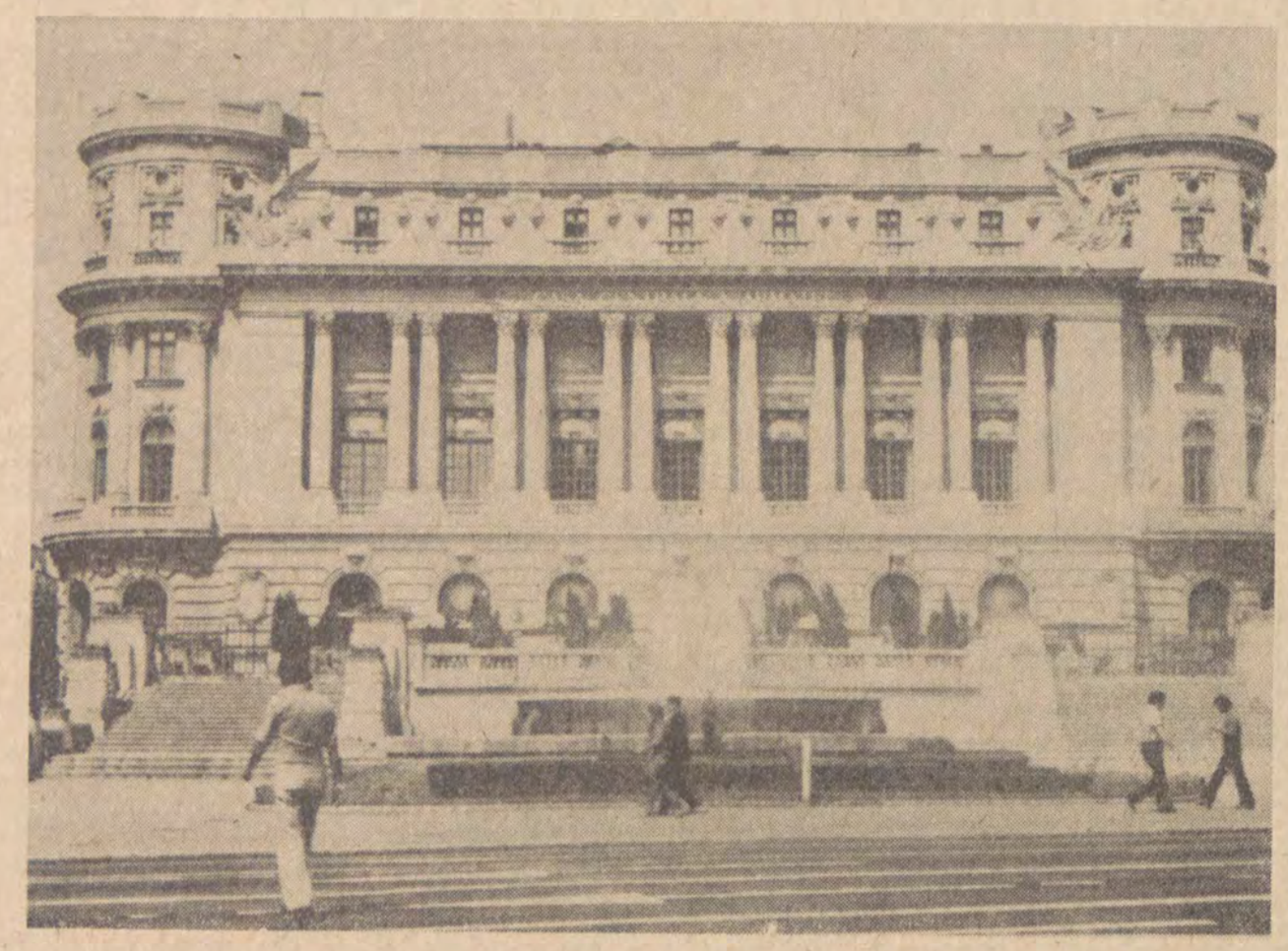

Foto: Archiwum

MUŚNIĘCIE RUMUNII

Dalszy ciąg ze str. 1

„Straszny dwór" czyli „Conacul cu stafii" (znaczy to dosłownie „Dwór ze strachami") przyjmie się w Bukareszcie. Ion Petrica, jeden z tłumaczy libretta zapewnił mnie, że dobrze. Mówił doskonale po polsku i okazało się, że tak dobrze naszego języka można nauczyć się tylko w Polsce.

Jako jedyny, bądź co bądź, dziennikarz z Polski z obowiązku kronikarskiego odpisuję z programu obsadę premierowego spektaklu: **Miecznik (Emil Iurascu), Hanna (Elena Grigorescu), Jadwiga (Iulia Marpozan), Pan Damazy (Marcel Angelescu), Stefan (Florin Diaconescu), Zbigniew (Gheorghe Crasnaru), Cześnikowa (Iulia Buciuceanu), Maciej (Nicolae Urziceanu), Skoluba (Ioan Hvorov), Marta (Valeria Savu), Grześ (Cristian Mihailescu).**

2.

Hotel „Dorobanti" położony jest niemal w historycznym centrum Bukaresztu, na obszarze, który to miasto zajmowało w wieku XVIII. Było wtedy stolicą Wołoszczyzny, zanim stało się symbolem zjednoczonej Rumunii.

Okna mego pokoju wychodzą na mały skwer przy ulicy Kosmonautów (do niedawna ta mała uliczka nazywała się zapewne inaczej). Z dziesiątego piętra widzę potężny dźwig, który zamyka perspektywę Calea Dorobantilor.

Widok dźwigów budowlanych w dzisiejszych miastach nie jest niczym osobliwym, ale mnie jednak dziwnie zaciekawia ten samotny kran pośród secesyjno-eklektycznych domów. Czy to ślad marcowego trzęsienia ziemi, które dwa lata temu spadło na Bukareszt pociągając za sobą setki śmiertelnych ofiar? Gazety doniosły właśnie, że i dzisiaj przez Bałkany przebiegły lekkie podziemne wstrząsy, ale tego rodzaju wiadomość nie robi na nikim większego wrażenia.

Moja tłumaczka Aura opowiada, że była akurat w kuchni, kiedy nadciągnęła fala sejsmiczna. Żyrandol rozkołysał się. Gdy meble wysunęły się na środek zrozumiała, że to żywioł groźniejszy niż harce sąsiadów. Odruch ucieczki. Na schodach spotkała innych lokatorów. Każdy panicznie omijał windę. Dopiero po jakiejś chwili zdała sobie sprawę, że to trzęsienie ziemi. Było już właściwie po wszystkim, ale nikt nie miał odwagi wracać do domu. Mimo chłodu wiosenne niebo zdawało się pewniejszym schronieniem niż dach, który w każdej chwili mógł zwalić się na głowę.

Tamtego dnia zginęli pod gruzami Anatol Baconsky, Mihai Gafita, Alexandru Ivasiuc, Mihai Petroveanu i Voronica Porumbacu. Nazwiska, które nic albo prawie nic nie mówią przeciętnie oczytanemu Polakowi, chociaż należą do czołówki współczesnej literatury rumuńskiej. Oto miara naszych zaniedbań spowodowanych barierą języka. Szczególnie przejmuje śmierć Ivasiuca, który zadebiutował dwanaście lat temu i zginął mając ledwie czterdzieści cztery lata.

W pobliżu Bulwaru Republiki, w uliczkach starej uniwersyteckiej dzielnicy, dostrzegłem domy jakby przecięte na pół, ze śladami kiejowej farby. Nie był to wszakże widok z Lesage'a, o którym nieświadomie marzy każdy pisarz. Domy nosiły ślady życia, ale były martwe. Trwające kilkanaście sekund wstrząsy podziemne zostawiły rany, które nie zabliźniają się tak szybko.

Związek Literatów (Uniunea scriitorilor) w tymczasowej siedzibie przy Alei Zwycięstwa, gdzie w eklektycznym pałacyku przypominającym wystrojem nieco łódzki Spatif znalazło schronienie kilka stowarzyszeń twórczych i instytucji kulturalnych. Przyjmuje mnie sekretarz generalny Ion Hobana informując z uśmiechem, że jestem pierwszym zagranicznym pisarzem, którego gości w tym roku. To oczywiście przypadek niewart nawet wzmianki gdyby nie to, że wymiana z Polską w ogóle nie jest tak częsta. Kiedy Hobana zastanawia się jak ułożyć program mego pobytu, abym zobaczył jak najwięcej, przerzucam niemiecką wersję informatora „Rumuńskie książki". I czuję jak zazdrość wykrzywia mi uśmiech. Znajduję tam na przykład zapowiedź dwujęzycznego rumuńsko-francuskiego wydania wierszy Tudora Arghezi oraz antologii „Uduchowione słowa" w wersji rumuńsko-hiszpańskiej. Oraz innych wersji językowych: rosyjskiej, niemieckiej, włoskiej, angielskiej, szwedzkiej książek poetyckich autorów rumuńskich. Nasza Agencja Autorska mogłaby się wiele nauczyć od rumuńskich wydawców, którzy wiedzą jak swoją literaturę wprowadzić na światowy rynek. A trzeba dodać, że i szata graficzna tych pozycji może się ubiegać o prymat światowy.

3.

Trzęsienie ziemi najwięcej szkód wyrządziło starym budynkom, które pamiętały inny kataklizm sprzed blisko czterdziestu lat. Nic dziwnego, że najbardziej zagrożone okazały się zbiory muzealne, których część niedostępna jest dla publiczności. Za radą Iona Hobany odwiedzam Muzeum Kolekcji Sztuki, stanowiące oddział Galerii Narodowej. Powstało ono z różnych zbiorów prywatnych wskazując zarazem na różnorodne zainteresowania ich właścicieli.

Dwa odkrycia: Luchian i Iser, które pozwalają zrozumieć Rumunię, a przynajmniej przybliżyć ją na tyle, aby przestała przeszkadzać bariera języka.

Więc Stefan Luchian (czytaj: Lukian) kolorysta i postimpresjonista, obsesyjny malarz chryzantem, wsi, praczek. Malarz przeszłego świata jak w wierszu Luciana Blagi:

„Wszystko jakże zmienione!
Wszystkie domy są mniejsze
od tych, które chowa wspomnienie.
Inaczej o ściany światło uderza, o
brzeg inaczej woda.
Otwierają się drzwi i wychodzi
zdziwienie". *)

I Iosif Iser, malarz ruchu. Na jego obrazach nagie kobiety zdają się prażyć w słońcu, od którego faluje powietrze. A może to po prostu trzepotliwa nieśmiałość bałkańskich dziewcząt? Tancerki. Cyganki. Coś z atmosfery wierszy Federica Garcia Lorki.

Już inaczej patrzę teraz na zakopane w śniegu bukareszteńskie ulice. Studzienki ściekowe zamarzły i trzeba przeskakiwać przez grząskie kałuże ni to bryi, ni mętnej wody, która zalega uliczny asfalt. Czy nie z takich doświadczeń Iser potrafił uchwycić i utrwalić ruch, który rozsadza jego obrazy i szkice?

Trzeba zbłądzić do parku Cismigiu przypominającego warszawskie Łazienki, aby odczuć urok tego zimowego — nietypowego Bukaresztu. Latem panuje tu gwar, czynne są bary i restauracje. Teraz nogi grzęzną w miękkim, skrzypiącym puchu. Bukareszt od pierwszej chwili wydał mi się miastem pomników: to pozostałość monarchii, bo socjalizm chętniej wznosi zakłady przemysłowe, choć oczywiście nie wyrzeka się także monumentów. W parku Cismigiu natrafiłem na „rotundę biustów", z których można nauczyć się historii literatury rumuńskiej. Z postumentów spoglądali na mnie i Vasile Alecsandri, i Ion Luca Caragiale i oczywiście Mihai Eminescu. I pomyślałem sobie, że naród, który takim szacunkiem otacza swoich pisarzy, sam zasługuje na szacunek.

4.

Zdanie, którego nie można zapomnieć. Zdanie, którego nie można zrozumieć, jeśli nie było się choć trochę w Rumunii i przełamując barierę języka nie porozmawiało ze zwykłymi ludźmi. W roku 1939 Stanisław Czernik, który wraz z innymi polskimi wygnańcami znalazł się w Slatinie zanotował w prowadzonym z dnia na dzień brulionie: „Kiedyś ten lud pokoju, poniżany przez drapieżne „rycerstwo", zostanie wywyższony w nagrodę za odwieczny, uparcie strzeżony, wśród najgorszych warunków zachowywany instynkt humanistyczny". **)

Ten instynkt humanistyczny nie zaginął. Udowodnił mi to nieświadomie Mihai Nicolaescu i jego kuzyn Corneliu. Przypadkowa znajomość zawarta w barze przy piwie, która przekształciła się w obustronną sympatię. Rumuni chętnie odwołują się do Daków wskazując na starożytność swego pochodzenia, ale w ich temperamencie jest coś niesłychanie słowiańskigo, czego nie da się chyba wytłumaczyć samymi wpływami prawosławia.

Mihai pracuje w służbie zdrowia, jest, o ile dobrze zrozumiałem, technikiem-balneologiem. Latem dorabia sobie jako kelner na czarnomorskim wybrzeżu. Przy okazji cała rodzina spędza bezpłatnie urlop, a Mihai ogromnie kocha swoje dzieci, ma dwie dziewczynki. Jego żona Marieta pracuje w cenrtalnym telegrafie.

Przed laty Mihai studiował medycynę. Podczas ćwiczeń w laboratorium rozerwała się retorta i uszkodziła mu wzrok. Mihaiowi groziła nawet zupełna ślepota, ale przed tym najgorszym uchronili go odescy lekarze, których pieczy powierzono go po wypadku. Oczywiście trzeba było przerwać studia, do których już nie powrócił: obowiązki rodzinne. Rodzina wynagradza mu tamtą niezawinioną porażkę studencką.

Mihai nie uznaje wina uzyskiwanego metodami przemysłowymi. Tylko wino domowe daje pojęcie o tym, co pija się w Rumunii. Mimo to poszliśmy do restauracji „Perła", gdzie występuje popularny piosenkarz Tudor Heica, który nawet przysiadł się do naszego stolika, gdy się dowiedział, że przyjechałem z Polski. Po zakończeniu pracy w telegrafie zjawiła się także Marieta. Poprosiłem ją do tańca. W Rumunii podobnie jak w Polsce przyjęte jest całowanie kobiet w rękę.

Kiedy urywałem się Aurorze, moim przewodnikiem po Bukareszcie stawał się Mihai. Parokrotnie uległem zawstydzeniu, kiedy jednym tchem recytował mi tytuły polskich książek tłumaczonych na rumuński. Nie potrafiłem mu się zrewanżować tym samym nawet w piątej części, chociaż przed wyjazdem próbowałem przyswoić sobie compendium wiedzy o Rumunii. Jeśli tego pierwiastka humanistycznego, o którym pisał Czernik nie zabiło w ludziach miasto, to jakże cudowna musi być rumuńska wieś. Ta wieś, o której Lucian Blaga napisał:

„Ja wierzę, że wieczność urodziła
się na wsi.
Tutaj myśl każda bardziej jest
powolna,
serce wolniej uderza,
I jakby nie w twojej piersi,
lecz gdzieś głęboko pod ziemią". *)**

Zima nie jest najlepszą porą do przebywania na wsi, ale pod wpływem wiersza Blagi zapragnąłem nagle znaleźć się poza Bukaresztem, poza murami wielkiego miasta.

5.

Droga na lotnisko Baneasa. Szosa Kiseleff, która przechodzi w międzynarodowy trakt E-15 do Ploeszti. Aura wskazuje mi bukareszteński Łuk Triumfalny poświęcony pamięci ofiar i rumuńskim zwycięstwom w I wojnie światowej. Nie wiem dlaczego przypomniał mi się natychmiast Michał Waleczny (Mihai Viteazul), tragiczny hospodar wołoski, który rozbiwszy Turków próbował zjednoczyć pod swym berłem Siedmiogród, Mołdawię i Wołoszczyznę. Udało się to dopiero księciu Cuzie, który przez unię personalną połączył Wołoszczyznę i Multany kładąc podwaliny pod niezależne państwo rumuńskie. Michał Waleczny przegrał, gdyż nie uzyskał polskiego poparcia. Kiedy Cuza ogłaszał Bukareszt stolicą Rumunii, Polska już nie istniała.

Może ze względu na ranną porę Baneasa wydało mi się senne. Odwoływano kolejno loty, gdyż nad Rumunią rozciągała się mgła, ale nasz kierunek okazał się szczęśliwy. Wprawdzie minęło jeszcze trochę czasu, zanim zajęliśmy miejsca w niemal pustym An-24 „Taromu", lecz po chwili samolot zaczął kołować i niemal niepostrzeżenie wzbił się w powietrze. Otworzyłem swoje notatki i przeczytałem:

„Jassy, miasto stołeczne księstwa Mołdawii czyli Multan (dziś zjednoczonego z księstwem Wołoskim), b. rezydencyja hospodara, metropolity mołdawskiego, wyższych dygnitarzy i konsulów europejskich. Zbudowane nieregularnie, na wzgórzu oblanym przez rzekę Bachluję, która bardziej do szeregu jezior, aniżeli do rzeki jest podobną. Jassy podobnie jak Bukareszt, zajmują ogromną przestrzeń ziemi, gdyż domy otoczone są rozległymi ogrodami. Widok miasta w ogólności jest dość piękny; nowe budowle odznaczają się smakiem i schludnością, której w dawnych zabudowaniach nie postrzegamy. Jest w nim kilka szerokich i długich ulic; w niektórych dzielnicach bruk zastąpił dawne pokrycie drewniane".

Taki opis Jassów podaje „Encyklopedia" Orgelbranda z roku 1863, a więc z okresu, w którym żył Eminescu. Podaje ona dalej, że „Jassy posiadają 43 kościoły, 26 monasterów, 6.000 przeszło domów, 29.000 mieszkańców płci obojga, liceum, seminarium itd."

Oderwałem się od tych notatek i uprzytomniłem sobie, że samolot przenosi mnie tylko w przestrzeni, ale nie w czasie, którego nie da się zawrócić.

Wylądowaliśmy ciężko, po rozlicznych manewrach. W takich chwilach, kiedy żołądek nieproszony podchodzi pod gardło, wspominam zawsze z rozczuleniem polskich pilotów. Niech to wystarczy za reklamę LOT-u.

Kiedy minąłem przypominający zabawkę budynek dworca lotniczego dostrzegłem stojącego obok autobusu Daniela Dimitriu, który przed miesiącem bawił u nas w Łodzi. Ucałowaliśmy się z dubeltówki na oczach zdumionej Aury, która w pierwszej chwili nie mogła zrozumieć naszej wylewności.

— Wszystko w porządku? — zapytał Daniel po rosyjsku.

— W porządku — powiedziałem.

I oczekującą na nas dacią wjechaliśmy między pierwsze, na pewno pamiętające czasy Eminescu, barwne domki przedmieścia.

(d.c.n.)

KONRAD FREJDLICH

*) „Wieś rodzinna", przełożył Zbigniew Szuperski.

**) „Ucieczka za Czeremosz", Warszawa 1957.

***) „Duch wsi", przełożył Zbigniew Szuperski.

„KANADA"

„Bilet powrotny", nowy film matrymonialno-filmowego tandemu, czyli Ewy i Czesława Petelskich budzi uczucie niejakiego zakłopotania. Z jednej strony bowiem reżyserska para odkryła temat o kapitalnych możliwościach poznawczych i artystycznych. Aż dziw bierze, iż film o tym problemie nie powstał u nas wcześniej. Chodzi o sprawę polskiej emigracji zarobkowej, sprawę, która nie ma już takich rozmiarów statystycznych jak przed wojną czy jeszcze wcześniej, ale nadal uporczywie tkwi w sferze społecznej świadomości. Z drugiej strony film jest zrobiony niemiłosiernie ciężką ręką, co skutecznie osłabia jego interesujący zamysł.

Tymczasem nasza krytyka zgodnym chórem „Bilet powrotny" chwali w ślad za Nagrodą Główną na ostatnim gdańskim festiwalu.

O cóż jednak chodzi tym razem? Przyjrzyjmy się bliżej filmowi. Petelscy w ślad za opowiadaniem Jerzego Stefana Stawińskiego pt. „I będzie miał swój dom" przedstawiają historię dramatycznego losu wieśniaczki, młodej wdowy, żyjącej na dzisiejszej wsi, która wyjeżdża na zaproszenie krewnych do Kanady, aby tam zarobić na postawienie domu dla jedynaka, którego „ciągnie" do miasta. Motyw chłopskiej emigracji posiada starą, bo jeszcze pozytywistyczną tradycję w polskiej literaturze. Teraz jednak nie chodzi już o życiową konieczność, o przysłowiowe „za chlebem", to oczywiste, lecz o konsumpcyjny głód, o chłopską (i nie tylko chłopską) pazerność, która dla garści „zielonych" żadnej pracy się nie boi (i nie wstydzi).

W Kanadzie bohaterka filmu trafia w środowisko polonusów syte i dostatnie, „ale czegoś smutne". Dorobili się ciężką, pionierską harówą luksusu, od którego naszej kondotierce oczy z orbit wyłażą, ale jednocześnie spać po nocach nie mogą z nostalgii, słuchając potępieńczego jak wyrzut sumienia wycia kojotów. Ona jednak nie przyjechała na stałe, zabiera się od razu do wydzierania głazów z karczowiska, by zarobione pieniądze wysyłać drżącymi rękami synalkowi, na budowę wymarzonego domu w Polsce. Cel uświęca środki. Więc wychodzi za mąż — mimo awersji — za francuskiego starego kawalera z sąsiedniej farmy i podczas jego dłuższej nieobecności decyduje się ukraść wspólne oszczędności i wysłać do Polski. W ślad za pieniędzmi wyjechać nie może, bo zatrzymuje ją gospodarskie sumienie — nie wydojone krowy ryczą w oborze. Tymczasem mąż wraca, odkrywa brak szmalu i dokonuje okrutnej vendetty, którą przypieczętowuje samobójstwem z powodu erotycznych kompleksów. Pogodna na ogół anegdota wkracza w posępny horror. Potomkini Wawrzona Toporka na inwalidzkim wózku wraca do ojczyzny, gdzie miast wyśnionej willi wita ją marnotrawny syn, który za matczyne dolary zapisał się do play-boyów.

Otóż ta historia mogłaby się stać zwierciadłem zaskakująco popularnej w narodzie mentalności zdegradowanej do chęci zysku i nastawionej na styl życia pozbawiony wszelkich duchowych aspiracji. Niestety, tak się nie stało. Etyczny sens tego zdarzenia ujawnia się z trudem, jest przez widza mozolnie wydobywany — niczym owe głazy na karczowisku — spośród splotów fabuły, które grzeszą natrętnym dydaktyzmem (zwłaszcza sposób rozegrania pointy), spośród nieporadnie zainscenizowanych sytuacji, spośród rezonerskich dialogów i takichże aktorskich reakcji. A propos — wszyscy podkreślają ponoć znakomitą kreację Anny Seniuk. Ogromnie lubię i cenię tę prawdziwie utalentowaną aktorkę, ale tę akurat rolę trudno mi zaliczyć do jej sukcesów. Przede wszystkim została źle obsadzona, jest zbyt młoda na matkę dojrzałego syna, a ponadto repertuar „typowo chłopskich" zachowań i cech w jej wykonaniu na kanadyjską milę trąci falsyfikatem. Pozostaje jej przede wszystkim gra rubensowskimi kształtami ciała co Petelscy z lubością eksponują a tergo, aby uzyskać efekt podniecającej prześności. Dobrą kreację stworzył bez wątpienia Henryk Bąk. Jako zgorzkniały pionier jest wiarygodny i jego kreacja decyduje o prawdziwości pejzażu kanadyjskiej cywilizacji.

Zastanawiam się, co się stało pp. Petelskim, autorom dobrych, a nawet bardzo dobrych filmów, które wyznaczały początek ich kariery, że przypomnę choćby „Bazę ludzi umarłych" czy „Ogniomistrza Kalenia", filmy skutecznie opierające się działaniu czasu. Potem zaczęli robić dzieła historyczne z pocztu królów i uczonych polskich, wzrok im stężał, popadli w styl monumentalny i muzealny i — jak świadczy ich ostatnie dzieło — kompletnie stracili kontakt ze stylem współczesnego kina.

W ten sposób nie po raz pierwszy i ostatni zresztą został zmarnowany Przez naszych artystów filmowych ważny społecznie i interesujący temat.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

GOMBROWICZOWSKI MROŻEK

Utwór sceniczny w trzech aktach pt. „Krawiec" napisał Sławomir Mrożek w roku 1964, wkrótce po publikacji „Tanga", a prawdopodobnie jeszcze przed triumfalnym pochodem na scenach polskich i obcych tego — uznawanego do dzisiaj za najlepszy — dramatu. Trzynaście lat minęło, zanim autor zdecydował się na opublikowanie „Krawca". W międzyczasie napisał wiele innych sztuk, które krytyka ustawicznie porównywała z „Tangiem", a porównania te zwykle wypadały na niekorzyść utworów, jakie po „Tangu" powstały. W odniesieniu do niektórych z nich krytycy formułowali co najwyżej ocenę: „najlepszy dramat po „Tangu", a jeszcze częściej mówiono o „obniżeniu lotów" najsłynniejszego chyba polskiego dramaturga współczesnego.

Kiedy ukazała się „Rzeźnia" (która notabene miała być w zamierzeniu autorskim słuchowiskiem radiowym), Jan Błoński pisał, że jest to **„najlepsza sztuka, którą Mrożek napisał od czasów „Tanga".** Wystawienie jej w warszawskim Teatrze Dramatycznym przez Jerzego Jarockiego zdawało się potwierdzać tę ocenę. Przy okazji publikacji „Krawca" Konstanty Puzyna pisał, że dramat ten wydaje mu **się „jedną z najlepszych sztuk, jakie napisał Mrożek między „Tangiem" a „Emigrantami".** Być może kiedyś historia literatury i teatru zweryfikuje te oceny, wykazując na przykład, że najlepszą sztuką Mrożka jest jego debiut dramatyczny pt. „Policja", ale to będzie możliwe dopiero wówczas, gdy wykroczy ona — wraz z krytyką literacką i teatralną — poza metody koniunkturalnego myślenia, co wydaje się zresztą mało możliwe, jeśli wierzyć przewidywaniom zawartym w diagnozach współczesnych futurologów, przynajmniej tych, którzy nie próbują tworzyć utopijnych wizji społeczeństwa szczęśliwego, ku któremu niby ewolucja ludzkości — tudzież poszczególnych narodów — zmierza. Na szczęście to, co najwyżej bywa oceniane w historii literatury, związane było z pesymistycznymi raczej, niż optymistycznymi wizjami świata; nawet w „Boskiej komedii" Dantego najwyżej ocenia się jej część pierwszą. Może raczej należałoby w tym miejscu powiedzieć nie „na szczęście", ale „niestety". Sformułowanie pierwsze odnosi się jednak do trafności diagnozy stawianej światu przez artystów; eksklamacja, zaczynająca się od „niestety" musiałaby raczej odsyłać do przedmiotu, który poddawany jest w dziełach tej diagnozie.

Sławomir Mrożek, którego należy uznać za niezwykle przenikliwego diagnostę współczesnego świata, czyni zwycięzcami w tym świecie takie postacie, jak Edek, Rzeźnik czy Krawiec. W „Policji" finalny okrzyk „Niech żyje wolność!!" wydaje Prowokator. Dlatego też, niestety, diagnoza nie należy do zbyt optymistycznych. Tym lepiej dla dzieła, tym gorzej dla świata. Na szczęście w utworach Mrożka istnieje jeszcze humor, „dowcip wyobraźni logicznej" — jak pisał jeden z jego krytyków. Na szczęście dla współczesnego odbiorcy, który lubi bawić się losami innych, lecz mniej jest zachwycony, gdy mu się przedstawia na scenie obraz jego samego. Dzisiaj słynne gogolowskie: „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!" witane jest jeszcze jednym wybuchem śmiechu na widowni. Podobnie, kiedy w „Rzeźni" Skrzypek zmienia się w Rzeźnika, czy kiedy barbarzyńcy w „Krawcu" zmieniają skóry na marynarki, zapominając uzupełnić strój spodniami. To dziwne jak dla dzisiejszej publiczności przedstawiona na scenie sytuacja metaforyczna, którą tak często w swoich parabolicznych groteskach posługuje się Mrożek, pozostaje jedynie sytuacją sceniczną, bez możliwości wykroczenia poza samą scenę. Jak gdyby metafora — wbrew swojej istocie — nie posiadała podwójnego sensu, jak gdyby parabola nie miała drugiego układu odniesienia. „Ma za krótkie nóżki" — powiedziałby Mrożek. Ale czy jest to winą jej samej, czy również winą wspólnych nam dzisiaj metod odbioru wykształcanych przez kulturę typu „telewizyjnego", narzucającą nam jednoznaczność przedstawianych sytuacji i zdarzeń? Powierzchowność naszego odbioru dzieł artystycznych oraz płytkość przejawiająca się w stosunkach międzyludzkich, a więc to, co tworzy kulturę naszą dzisiejszą — stanęły u podstaw interpretowania kultury i cywilizacji współczesnej jako pewnej formy, w którą zostaliśmy wtłoczeni (a raczej sami się wtłoczyliśmy, formy, którą można przedstawić w postaci kostiumu czy stroju, w jaki jesteśmy ubrani. Mowa tutaj o dwóch polskich utworach powstałych w połowie lat sześćdziesiątych: „Operetce" Gombrowicza i „Krawcu" Mrożka, w których autorzy posłużyli się tym samym pomysłem. Niezależnie — jak się zdaje — od siebie, choć (jeśli już doszukiwać się zależności czy wpływów) patronuje im dramaturgia Jeana Geneta („Balkon", „Murzyni"). Z tym, że wyższość twórcy francuskiego polega na tym, że metafory swojej nie ograniczył jedynie do obrazu scenicznego, lecz obejmuje nią również widownię, stwarzając w swoich dziełach całościową, totalną wizję świata.

Że taka wizja nie istnieje w „Krawcu" i w „Operetce" pisze sam Mrożek, dostrzegając słabości obu dramatów i jednocześnie wyjaśniając przyczyny ich powstania: **„Cała ta koncepcja utożsamienia kultury ze strojem, powierzchnią, formą, choć efektowna literacko, ma krótkie nóżki. (...) Kultura najpierw była namiętnością, co najmniej namiętnością, która przybiera formę. A więc czymś znacznie żywszym, poważniejszym, z większych głębin, a więc mniej zależnym od tradycji i epok, niż tylko forma".** I wreszcie: **„Kultura może stać się tylko strojem i formą, ale to znaczy, że nie jest już kulturą, tylko jej zwłokami".**

Oczywiście, można i należy tak odczytywać „Krawca", choć sam materiał, jakim jest tekst dramatu, musiałby być odczytany z wyobraźnią przekraczającą jego dosłowne znaczenia. Jeśli wierzyć Mrożkowi, to jego intencje nieco minęły się z samą realizacją zanotowaną w utworze. Współczesny teatr przyzwyczaił nas jednak do tego, by inscenizacja stawała się odczytywaniem nie tylko inscenizowanego tekstu, ale i wszelkich konotacji, do jakich może on odsyłać.

Niestety, inscenizacja w Teatrze Jaracza nie potrafiła się do nich odwołać. Odczytanie „Krawca" jest tutaj jednowymiarowe, zgodne raczej z literą niż z duchem tekstu. Aktorzy wypowiadają tekst, jakby nie wierząc w jego nośność znaczeniową, w jego metaforyczny sens. Krawiec w interpretacji **Macieja Małka** jest raczej dobrze prosperującym rzemieślnikiem, dodającym sobie splendoru popijaniem koniaku wobec Wielkiej Klienteli, zamiast być Wielkim Reżyserem inscenizującym spektakl w świecie „zwłok kultury". **Jerzy Przybylski** (Klient) i **Wirgiliusz Gryń** (Onucy) wykorzystują swój świetny warsztat aktorski bardziej dla rozśmieszenia publiczności (co zresztą nie zawsze im się udaje), niż dla stworzenia przekonujących intelektualnie postaci. Scenografia **Łucji Kossakowskiej** dokładnie stara się zrealizować wskazówki autora zawarte w didaskaliach dramatu, prócz jednej, może najważniejszej dla wymowy dzieła, że ogromne lustro ma być tak ustawione, iż „kto będzie się w tym niby lustrze przeglądał, ten stanie twarzą wprost do widowni". A cały spektakl ujęty jest w powolnym nużącym rytmie, jaki nadał mu reżyser, **Jan Maciejowski**, który lepiej chyba się czuje w inscenizacjach klasyki, niż w interpretacjach utworów współczesnych.

Nie wróżę spektaklowi „Krawca" wielkiego powodzenia wśród publiczności, mającej na świeżo w pamięci wystawienie dramatu o podobnej tematyce — „Operetki" Gombrowicza.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Teatr im. S. Jaracza. Sławomir Mrożek: Krawiec, Reżyseria — **Jan Maciejowski.** Scenografia — **Łucja Kossakowska.** Premiera 10 stycznia, 1979.

POSZUKIWANIE KLUCZA

Publicystyczna i literacka aktywność Włodzimierza Sokorskiego wyraźnie ożywiła się w ostatnich latach. Po czterdziestoletniej przerwie opublikował w roku 1976 powieść „Piotr", niedawno ukazał się w PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej nowy jego utwór — „Kroki".

Autor „Ludzi i spraw" znany jest przede wszystkim jako działacz kulturalny, ale to stereotypowe określenie nie wyczerpuje bujnej biografii, był przecież żołnierzem, politykiem, piastował odpowiedzialne funkcje państwowe. Wspominam o tym nie tylko dla zwykłych informacyjnych celów. Chodzi o coś więcej. Oto Włodzimierz Sokorski wykorzystał wypływające z pełnionych przezeń różnych funkcji doświadczenia dla stworzenia interesującej powieści. Okazję do jej powstania stanowi 35 rocznica PRL.

Sokorski posłużył się zupełnie prostym pomysłem fabularnym: znany pisarz otrzymuje od ministra kultury i sztuki propozycję napisania scenariusza do filmu opartego na autentycznych ludzkich życiorysach. Film powinien w sposób niebanalny zaprezentować polską przeszłość i polską teraźniejszość. Ma być artystyczną formą uczczenia trzydziestopięciolecia.

Jan waha się, ale tylko przez moment. Jego niepewność wynika z pisarskiej rozterki: czy podoła ambitnemu zamierzeniu, czy nie stworzy obrazu propagandowego, w którym nie zmieści się prawdziwe życie, ludzkie sukcesy i dramaty? Pokusa stworzenia syntetycznej wizji życia współczesnych Polaków okazuje się jednak silniejsza. Zwycięża potrzeba pokazania syntetycznej prawdy o polskim losie, o „polskich drogach".

W trakcie pracy nad scenariuszem bohater Sokorskiego zbiera notatki do powieści. To kolejny chwyt kompozycyjny. W ten sposób przecież praca nad scenariuszem staje się jedynie pretekstem do tworzenia powieści. Powstaje ona w myśl następującego założenia twórczego:

„Treścią mojego pisarstwa jest życie. Moi bohaterowie borykają się z losem. Mimo, że nie istnieją, na ich powstanie złożyła się rzeczywistość, która jest w równym stopniu rezultatem obiektywnych faktów, co moich własnych refleksji. Jest to więc rzeczywistość nie tylko ich, moja również. Nie zmienia to praw ludzkiej egzystencji ani praw rozwoju. Egzystencja nasza składa się na materię, której wypadkowej żaden umysł nie może przewidzieć. Sprawą pisarza jest dojrzeć zjawiska, które nie tylko jemu, lecz i innym ułatwią postępowanie. Może nawet więcej, pomogą żyć. W tym sensie nie jestem sam. Rozmawiam z ludźmi. Kontakt z drugim człowiekiem jest warunkiem działania, koniecznością bytu. Tylko autentyczne przeżycie czytelnicy mogą przyjąć lub odrzucić, lecz nie pominą go milczeniem. Pisarz powinien pamiętać, że prawda wielkich słów nie zawsze pokrywa się z żywą tkanką bytu i wówczas w świadomości ludzkiej przestaje być racją istnienia. Nasze słowa muszą wynikać z faktów i tylko wtedy mogą fakty tworzyć".

I Jan poszukuje faktów. Rozmawia z ludźmi, lecz nie są to powierzchowne rozmowy, prowadzone według pospolitego schematu: pytanie — odpowiedź. Rozmowy te przeradzają się w dyskusję, obfitują we wspomnienia. Często następuje zmiana ról, pytany nagle zaczyna zadawać pytania, i to takie, na które luminarz literatury nie zawsze potrafi odpowiedzieć. Krąg rozmówców jest bardzo szeroki — obejmuje różne środowiska społeczne, stanowi swego rodzaju panoramę pokoleń. Jan stara się zebrać jak najwięcej faktów, nie przeoczyć niczego istotnego, zapamiętać i odtworzyć osobowość człowieka, z którym dyskutuje (nierzadko przy biesiadnym stole). A wszystko dlatego, aby ani w scenariuszu, ani w powieści ludzie nie stali się ubożsi niż są w rzeczywistości. Jan jest świadom, iż życie jest bogatsze, bardziej zróżnicowane i złożone niż literatura. Że literatura nie rozwiązuje problemów życiowych. Że problemy ludzkie nie dają się łatwo rozwiązywać w życiu. Że literatura jest często po prostu bezsilna, wielu spraw nie potrafi pokazać i jednocześnie nie potrafi z nich zrezygnować.

Twórcze rozterki bohatera „Kroków" występują nie bez przyczyny. Towarzyszą bowiem ważkiemu problemowi: jak stworzyć tak zwane dzieło zaangażowane, odpowiadające na społeczne i instytucjonalne zaangażowanie, a jednocześnie uniknąć ilustracyjności, nie pominąć spraw bolesnych, nie pozwolić ubrać się w odświętny kostium i grę pozorów. Jan znajduje wyjście. Jego opowieść jest tragiczna i wzniosła, pełna kontrastów, zrealizowanych ambicji i smutnych niespełnień. Obok przodowników pracy pojawia się więc w „Krokach" i margines społeczny, obok ludzi twórczych jednostki zagubione. We wszystkich środowiskach poszukuje Jan swego pozytywnego bohatera o trudnym życiorysie, w którym mieściłaby się cała złożoność naszej współczesności. I bohaterów takich znajduje. Jeden z nich powiada: „gdy mówimy Polska, musimy myśleć o wszystkich sprawach razem". Taki też charakter przybiera scenariusz, nad którym mający go realizować reżyser wykrzykuje z irytacją: — „Polityka to polityka. Ludzie wielkich budów! A każdy z hakiem. Wątki osobiste — i bez kurwy ani rusz! Wizja państwa, pięknie, pięknie — a potem zaraz ludzkie niezadowolenie". Reakcja reżysera Szpakowicza jest celową przesadą, dobitnie potwierdzającą wspomniane powyżej kłopoty twórcze. Ujawnia jednak przy okazji wielką pasję bohatera książki Sokorskiego — interesuje go bardzo prywatne życie ludzi, z którymi się styka, interesuje go zwłaszcza erotyka, której przypisuje ogromne znaczenie w kształtowaniu współczesnych obyczajów. Jest bowiem przekonany o bardzo ścisłym powiązaniu spraw społecznych, zawodowych z życiem prywatnym.

Tak więc najnowsza powieść Włodzimierza Sokorskiego — poszukując prawdy o naszym społeczeństwie — zwraca się w trzech jednocześnie kierunkach: jest prozą polityczną, obyczajową i głosem w dyskusji nad tworzeniem literatury odpowiadającej na zamówienie instytucji kierujących życiem kulturalnym kraju. Jest literackim wyrazem świadomości przemijania czasu. Zaduma nad życiowymi krokami, własnymi i innych. Jest poszukiwaniem klucza do zrozumienia ludzi i świata.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Włodzimierz Sokorski, Kroki, PIW, Warszawa 1978, nakład 20.000+290 egz., s. 198, cena zł 25,—

BEZ KONWENCJI

Otwarcie trzech wystaw: widoków Łodzi w fotoplastikonie, plakatów Jakuba Erola i „Łódź w pocztówce" w Muzeum Historii Miasta Łodzi miało niecodzienny charakter. Każda z nich zasługuje na specjalną uwagę, choć w tym wypadku odegrały rolę pretekstu do zaakcentowania półmetku adaptacji pałacu przy ul. Ogrodowej na muzealny gmach z prawdziwego zdarzenia. Zdążyliśmy już przywyknąć do łączenia tu wernisaży z muzyką, piosenką czy filmem. Również tym razem inwencja organizatorów sprawiła, że niewielu z wyjątkowo licznych gości — oczekujących kulturalnego wydarzenia i atrakcji — czuło się zawiedzionymi. A przecież półmetek oznacza ledwie część satysfakcji, jaka czeka łodzian za kilkanaście miesięcy.

Początki działalności Muzeum nie były łatwe. Miasto za szybko chyba przestało je traktować jak beniaminka na dorobku i zaczęło efekty pracy oceniać miarą odpowiednia dla szacownych jubilatów. Fakt ten organizatorzy (późniejsi pracownicy muzeum) w porę przewidzieli, cały wysiłek koncentrując na remoncie — bądź co bądź — wysokiej klasy architektury, który zmuszał do specjalnej troski. Obok tego przygotowywano i gromadzono eksponaty tak, ażeby już z chwilą zakończenia prac adaptacyjnych można było oglądać wystawę o historii i współczesności Łodzi. Można uważać te przedsięwzięcia za normalną kolej rzeczy. Skoro jednak darzymy społecznym uznaniem inwestycje, gdzie jeszcze przed zakończeniem budowy montuje się maszyny aby wraz z przecięciem wstęgi rozpocząć produkcję — nie ma powodu, by w taki sam sposób nie podkreślić wysiłku ludzi kultury.

„Benefis" półmetku na Ogrodowej podniósł temperaturę sympatii dla tej inwestycji i zaostrzył oczekiwania wobec jej ostatecznego kształtu. Okazało się, że Muzeum pełnić może wiele funkcji z których każda jest w równym stopniu potrzebna. Wiadomo też, że nie będzie to muzeum tradycyjne, chociaż oparte na naukowym dorobku badań przeszłości Łodzi i gromadzonych starannie doświadczeniach. Ale prezentowanie historii wielkiego przemysłowego miasta, którego rozwój nie znajdował analogii w Europie, a współczesność staje się powodem dumy jego mieszkańców — nakłada moralny obowiązek niekonwencjonalnych form oddziaływania. Świadomość taka w pełni chyba podzielają gospodarze, na równi z przygotowaniem ekspozycji ważne jest dla nich zdobycie własnej publiczności, przy czym wybór metody nie jest przypadkowy.

Trudno o jednoznaczną ocenę wieczoru na Ogrodowej; może dlatego, że jej przedmiotem jest całkiem nowa forma zbiorowego uczestnictwa, jeszcze bez nazwy, dyskusyjna jak każda nowość. Wernisaż okazał się niepowtarzalnym spektaklem, sekwencją kilku lub może kilkunastu imprez obmyślonych przez profesjonalnego reżysera, na tle dyskretnie zakomponowanej scenografii.

Może prezentowany tu fotograficzny mini-reportaż choć w części odda jej nastrój, złożony z elementów autentycznego zainteresowania i sympatii dla najmłodszego łódzkiego muzeum oraz zabawy.

A.M.

Foto: W. Jakubska

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

IRAN, NAFTA, ISLAM

CZĘŚĆ II. IRAŃSKA NAFTA

Historia irańskiej nafty jest krótka. Zaczęła się pod koniec XIX wieku, kiedy to do ówczesnej Persji zjeżdżali różni poszukiwacze przygód i bogactw. Był między nimi syn skromnego angielskiego prawnika inżynier Wiliam Knox d'Arcy. On też stał się bohaterem pierwszego aktu historii irańskej nafty, gdyż historię tę można podzielić na cztery akty.

AKT PIERWSZY historii irańskiej nafty zaczyna się w 1901 roku, kiedy to inżynier William Knox d'Arcy otrzymał od perskiego szacha firman, który zezwalał jemu i jego spadkobiercom oraz przyjacielom na **„nieograniczoną swobodę kopania, drążenia i dowolnego przebijania głębokości ziemi perskiej"**, a jeśli w wyniku tego dobędzie jakoweś podziemne produkty, to **„pozostaną jego nienaruszalną własnością"**.

W 1903 roku inżynier William Knox d'Arcy założył dwa towarzystwa naftowe, ale kiedy w 1908 roku trysnęły bogate źródła naftowe w rejonie Maidan — i — Naftun, towarzystwa zostały wchłonięte przez Anglo-Persian Oil Company, której też był założycielem.

W historii irańskiej nafty niemałą rolę odegrał Winston Churchill. W 1914 roku wykupił większość akcji Anglo-Persian Oil Co. i przekazał je w posiadanie rządu Wielkiej Brytanii. Właśnie wtedy flota brytyjska zmieniała rodzaj paliwa, jakim palono pod kotłami okrętów wojennych. Tym paliwem była ropa naftowa. W związku z tym Anglia musiała kontrolować tereny roponośne i zakomunikowała o tym szachowi perskiemu. I aby nie było już żadnej wątpliwości, do kogo należy Anglo-Persian Oil Co. postanowiono, że członkami zarządu tego towarzystwa mogą być tylko obywatele Wielkiej Brytanii, a jego obrady będą odbywały się na terenach brytyjskich.

AKT DRUGI historii irańskiej nafty rozpoczął się w roku 1932. Jego bohaterem był Reza Chan, założyciel dynastii Pahlavi i ojciec Mohammada Rezy Pahlavi. W 1932 roku Reza Chan anulował koncesje na wydobywanie i eksploatowanie ropy naftowej w Persji. W Zatoce Perskiej pojawiła się brytyjska flota wojenna. Konfliktem zainteresowała się Liga Narodów. Ale zwaśnione strony doszły do porozumienia. Anglicy znów otrzymali prawo wydobywania i eksploatowania ropy naftowej w Persji, a Reza Chan otrzymał milion franków szterlingów odszkodowania za wszelkie poprzednio poniesione straty. Anglicy poszli też na inne ustępstwa. Zgodzili się oddawać Persji 20 procent zysków otrzymywanych ze sprzedaży perskiej ropy naftowej, sprzedawać ją Persom z 20-procentowym rabatem, a za sumę 10 tys. funtów szterlingów szkolić perski personel przedsiębiorstw naftowych.

W 1935 roku Reza Chan zmienił nazwę Persji na Iran. Wtedy też Anglo-Persian Oil Co. zmieniło nazwę na Anlo-Iranian Oil Co., ale irańska nafta nadal była własnością Brytyjczyków. Obok coraz wydajniej pracującej rafinerii w Abadanie powstała druga w Kermanszach.

AKT TRZECI irańskiej nafty rozpoczął się po drugiej wojnie światowej. Wtedy coraz silniej odzywają się w Iranie głosy, domagające się nacjonalizacji nafty. Bohaterem tego aktu jest dr Mohammad Mosaddek. W 1949 roku założył on Front Narodowy, któremu przewodził. Działalność tego ugrupowania partii, stronnictw i organizacji miała doprowadzić do znacjonalizowania przemysłu naftowego. Stało się to dopiero w 1951 roku, kiedy premierem rządu był dr Mohammad Mosaddek. Wtedy to irański parlament — madżlis — uchwalił ustawę o nacjonalizacji, w wyniku której państwo miało przejąć wszystko, co dotyczyło poszukiwań, wydobywania i eksploatacji ropy naftowej. Utworzono National Iranian Oil Company, zawarto porozumienia na dostawy ropy naftowej z Japonią i Włochami, ale w Zatoce Perskiej znów pojawiły się angielskie okręty wojenne. Tylko, że tym razem do gry o irańską naftę włączył się nowy partner — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

16 sierpnia 1953 roku dr Mohammad Mosaddek otrzymał dymisję. Szach Mohammad Reza Pahlavi dyskretnie na ten czas usunął się z Teheranu, wyjechał na odpoczynek do Bagdadu i Rzymu. 19 sierpnia 1953 roku do Teheranu weszły czołgi generała Zahedi. On też po powrocie Mohammada Rezy Pahlavi z odpoczynku został premierem rządu. Jak podają niektóre źródła generał Zahedi otrzymał za obalenie rządu dr Mosaddeka 60 milionów dolarów. Czek wystawiła CIA. Wydatek się opłacił. W powstałym Międzynarodowym Kartelu Naftowym, który miał kontrolować produkcję i eksploatację irańskiej nafty Amerykanie otrzymali 40 proc. udziałów, tyle samo co Anglicy, Holendrzy dostali 14 proc., Francuzi — 6 proc. Z Abadanu znów wypływać zaczęły tankowce pełne irańskiej ropy.

AKT CZWARTY historii irańskiej nafty zaczął się w lipcu 1973 roku. Jego bohaterem jest sam cesarz — Mohammad Reza Pahlavi. Wtedy to podpisał on porozumienie, na mocy którego cały majątek przedsiębiorstw naftowych przeszedł w ręce państwa i Iran objął kontrolę nad wydobywaniem i eksploatacją swojego największego bogactwa naturalnego. Było to już po ogłoszeniu „białej rewolucji" i dochody płynące z eksploatacji płynnego złota miały tej rewolucji dać trwalsze i pewniejsze podstawy. Jej twórca nie spodziewał się jednak, jaką niespodziankę szykuje mu świat.

6 października 1973 roku rozpoczął się kolejny etap wojny izraelsko-arabskiej. W dwa tygodnie później kraje arabskie ogłosiły embargo na dostawy ropy naftowej dla USA i Holandii. Była to forma poparcia dla Egiptu i Syrii walczących z Izraelem. Iran do embarga nie przyłączył się, jako że nie jest krajem arabskim, ale nagle wzrosło zainteresowanie irańską ropą naftową. Pod koniec 1973 roku OPEC podniósł ceny na ropę naftową i w 1974 roku dochód z nafty wyniósł w Iranie 22,4 miliarda dolarów, podczas gdy jeszcze w poprzednim roku wynosił 4,4 miliarda dolarów. Od tego czasu ceny ropy naftowej rosną, a do kas pancernych i bankowych sejfów w krajach eksportujących ropę naftową płyną petrodolary. Iran pieniądze te przeznacza na rozwój kraju, na oświatę, budownictwo i rozwój przemysłu.

— **„W ciągu 10 lat** — powiedział Mohammad Reza Pahlavi przedstawicielowi „Der Spiegel" — **uczynię Iran krajem uprzemysłowionym, mogącym rywalizować z Republiką Federalną Niemiec, Francją i Wielką Brytanią.. W roku 1985 będę wam sprzedawał aspirynę, będę wam sprzedawał proteiny, ale nie będę sprzedawał ropy naftowej".**

Reza Pahlavii miał bowiem świadomość, że Iran posiada wprawdzie bogate złoża naftowe ale nie są one niewyczerpane. Wielokrotnie podkreślał, że starczy ropy gdzieś na 20—25 lat i dlatego trzeba ją oszczędzać. Lepiej więc przetwarzać ropę na miejscu i sprzedawać gotowe produkty niż sam surowiec. A poza tym za otrzymywane dochody ze sprzedaży czy to ropy naftowej czy jej produktów trzeba uprzemysławiać kraj. Kiedy skończy się ropa zostanie przemysł. No i trzeba szukać nowych źródeł energii. W czasie rozmów z prezydentem USA Jimmy Carterem na początku 1978 roku w Teheranie szach Mohammad Reza Pahlavi kupił dla irańskiej energetyki 6—8 atomowych elektrowni, które zbudują amerykańscy specjaliści.

Odpowiadając w 1976 roku na pytania dziennikarza „US News World Report" Reza Pahlavi powiedział:

— „W ciągu 12—13 lat zbudujemy podstawową infrastrukturę w każdej dziedzinie. Od tego momentu będziemy nadal kierować się taką samą polityką, stosując rozmach w budowie potęgi gospodarczej, przemysłowej i ludzkiej naszego kraju.

Być może do tego czasu skończą się nasze zasoby ropy naftowej, chociaż mam nadzieję, że w ciągu dziesięciu lat będziemy je racjonalniej wykorzystywać. Jednocześnie w tym samym czasie położymy duży nacisk na rozwój energii atomowej i słonecznej. Nie powinniśmy dopuścić do powstania problemów ekologicznych, związanych z postępem. Nasz kraj jest rozległy, mamy nie zamieszkane tereny i zanieczyszczenie środowiska nie powinno być dla nas poważnym problemem. Będziemy starali się wykorzystać inne surowce energetyczne i oszczędzać ropę dla celów petrochemicznych. Mamy również ogromne zasoby gazu ziemnego".

Według danych z 1974 roku Iran wśród 13 krajów OPEC pod względem wydobycia ropy naftowej zajmował drugie miejsce po Arabii Saudyjskiej. W Arabii Saudyjskiej wydobyto 422 miliony ton ropy naftowej, w Iranie — 301 milionów ton. Trzecie miejsce zajęła w 1974 roku Wenezuela ze 158 milionami ton, a czwarte Kuwejt — ze 128 milionami ton wydobytej ropy naftowej.

OD POŁOWY XX WIEKU nieustannie rosło w gospodarce światowej znaczenie ropy naftowej. Jeśli jeszcze w 1950 roku zapotrzebowanie na paliwa było pokrywane w **46,6** proc. przez węgiel, w **21,2** proc. przez ropę naftową i w **7,7** proc. przez gaz ziemny, w 1974 roku sytuacja uległa już całkowitej zmianie. Zapotrzebowanie na paliwa pokrywane było już tylko w **27,5** proc. przez węgiel, w **38,7** proc. przez ropę naftową i w **18,1** proc. przez gaz ziemny. W bilansie tym pojawiła się już energia atomowa, która dostarczała **0,8** proc. potrzebnej energii.

Kierunek został wyraźnie określony. Światowa gospodarka coraz bardziej przestawiała się na płynne paliwa. Poszukiwano gwałtownie nowych pól roponośnych, zamykano kopalnie węgla, przestawiano urządzenia, elektrownie, maszyny na płynne paliwo. Ale kryzys energetyczny, jaki wywołała decyzja krajów arabskich wstrzymania dostaw ropy naftowej zmusił do zastanowienia. Znów otwierano i rozbudowywano kopalnie węgla, nadal poszukiwano pól naftowych, ale poza rejonami, w których czerpali naftę członkowie OPEC, coraz intensywniej zastanawiono się nad wykorzystaniem gazu ziemnego i innych źródeł tak nam potrzebnej energii. Przy czym energia jądrowa — ze względu na ciągłe zagrożenie środowiska — nie była najmilej widziana. Chętniej spoglądano na słońce, ale ono nie wszystkim jednakowo świeci. Zastanawiano się też, co będzie w 2000 r. Oto prognoza na pokrycie zapotrzebowania na paliwa w tym właśnie 2000 roku. Pokryje je:

— węgiel w 23,7 proc.
— ropa naftowa w 25,2 proc.
— gaz ziemny w 19,2 proc.
— energia jądrowa w 21 proc.
— inne energie, „nowe" w 2,1 proc.

Taka prognoza wynika z szacunku istniejących możliwości. Oblicza się bowiem, że świat nasz dysponuje około 300 miliardami ton ropy naftowej, z tego około 260 miliardów ton znajduje się na lądzie i szelfie przybrzeżnym (do 200 metrów głębokości), a 40 miliardów ton ropy naftowej leży pod dnem morskim na znacznie większej głębokości oraz w polarnych rejonach globu.

Gazu ziemnego jest około 80 miliardów ton w przeliczeniu na paliwo umowne (jest to paliwo o wartości 7000 kcal/kg). Ale szacuje się, że hipotetycznie powinno być jeszcze około 280 miliardów ton gazu w przeliczeniu na paliwo umowne. Jedna trzecia tych wszystkich zasobów znajduje się na obszarze ZSRR.

Węgla mamy natomiast 10.126 miliardów ton w przeliczeniu na paliwo umowne, z tego 76 proc. to węgiel kamienny. Cóż jednak z tego, skoro technika wydobycia węgla, jaką obecnie dysponuje świat, zezwala na wydobycie tylko 6,3 proc. światowych zasobów „czarnego diamentu". Optymiści uważają, że przy dalszym rozwoju górnictwa procent ten może osiągnąć granicę 20. A co z resztą?

W takiej sytuacji zrozumiały wydaje się pośpiech Mohammada Rezy Pahlavi, który świadom ograniczonych bogactw kraju śpieszył się, aby do momentu wyczerpania się ropy naftowej uzbroić kraj w takie przemysły, które pozwoliłyby Iranowi nadal egzystować. Trudno takiej koncepcji odmówić racji, jeśli nie weźmie się pod uwagę możliwości narodu. To, co Japonia osiągnęła w ciągu wieku, Iran chciał dokonać w niespełna ćwierćwiecze. W sferze materialnej taki eksperyment mógł się udać. W sferze psychicznej, jak dowodzą tego irańskie wydarzenia, trwające już przecież drugi rok, eksperyment został niemal u swoich narodzin skazany na niepowodzenie. I to z kilku przyczyn.

Pewien Irańczyk zwierzył się dziennikarzowi angielskiego pisma „Observer":

— „Co z nami się stanie, gdy za 25 lat wyczerpią się zasoby ropy? Czy będziemy żyli z dywanów i pistacji?... Iran bez ropy znajdzie się w gorszej sytuacji niż Bangladesz. Oni przynajmniej umieją jeszcze wytwarzać dla siebie żywność. My nawet i to zapominamy".

Tenże dziennikarz pojechał do stalowni Aryamehr (Światło Ariów — tytuł ten nosi zresztą szach Iranu). Stalownia ta, położona koło Isfahanu, zbudowana została przez radzieckich specjalistów w zamian za dostawy gazu ziemnego do ZSRR.

„Olbrzymi kompleks — pisze Shiva Naipaul z „Obsrver" — **ażurowa plątanina kominów, dźwigarów, kul, wież i rur, wyrasta jak miraż pośrodku brunatnego krajobrazu... Wędrowaliśmy przez olbrzymie hale, katedry z żelaza, rozbrzmiewające hukiem maszyn".**

Ale angielskiemu dziennikarzowi trudno było wyzwolić się od myśli, że ta nowoczesna fabryka stali, nie ma zupełnie żadnego związku z rzeczywistością.

„Fabryki samochodów — pisze dalej — **w dalszym ciągu importowały potrzebną im stal wysokiej jakości z Europy i z Japonii. To miejsce było pomnikiem, wytworem rewolucji, operującej symbolami. Zakłady Aryamehr były w istocie swego rodzaju mirażem. Nie miały żadnych powiązań z rzeczywistością".**

PARADOKS jaki powstał w historii irańskiej nafty polega na tym, że dochody z nafty płynące umożliwiały uprzemysłowienie kraju, ale jednocześnie uzależniały go od obcych wpływów, z których był się wyzwolił i których nie chciał irański naród.

— **„Jeszcze niedawno** — powiedział irański urzędnik angielskiemu dziennikarzowi — **wszyscy odnosili się do nas, Persów, jak do psów".**

Ale:

— „Persowie odzyskali swą godność i nie zamierzają jej znowu utracić".

Szach twierdził:

— „Osiągniemy wszystko dzięki energii i pracowitości naszego narodu... Wierzę w dojrzałość mego ludu i jego ogromną inteligencję".

Kiedy w Teheranie rozeszła się wieść o wyjeździe Szahinszacha Aryamehr Rezy Pahlavi studenci defilujący wokół teherańskiego uniwersytetu skandowali:

— „Pozbyliśmy się króla — teraz kolej na Amerykanów".

Oblicza się, że w Iranie było około 40 tysięcy amerykańskich doradców i specjalistów. W połowie stycznia 1979 roku — jak poinformował teherański dziennik „Etelaat" — szefa misji amerykańskich doradców wojskowych płk Arthura W. Heinhotta znaleziono powieszonego w jego teherańskim mieszkaniu. Śledztwo ma dopiero ustalić, czy było to samobójstwo, czy też morderstwo.

Dwa lata temu wysłannik paryskiego tygodnika „L'Express" zapytał Rezę Pahlavi o związki Teheranu i Waszyngtonu.

— **„Tak** — powiedział wówczas Reza Pahlavi. — **Jesteśmy bardzo związani. Ale nie oznacza to wcale, że będziemy robili, co oni zechcą. Jesteśmy teraz niezależni bardziej niż kiedykolwiek w ciągu naszych dziejów i pozostaniemy tak niezależni"**

A w 1978 roku mówił wysłannikowi „Paris Match":

— **„... jesteśmy bowiem strażnikami paliw płynnych, które w Europie zaspokajają przeszło 70 proc. zapotrzebowania na energię, w Japonii 90 proc., a w Stanach Zjednoczonych obecnie 50 proc."**

Takie są bowiem dostawy ropy naftowej dla reszty świata z rejonu Zatoki Perskiej.

ŚWIAT znów staje w obliczu kolejnego kryzysu energetycznego spowodowanego strajkami irańskich robotników w szybach naftowych i rafineriach. Arabia Saudyjska wydobywa obecnie około 10 milionów baryłek ropy naftowej dziennie (baryłka — 159 litrów), ale dostawy tej ropy do Europy Zachodniej i Ameryki są nierytmiczne. Kuwejt podniósł wydobycie, ale jego możliwości są ograniczone i nie jest zainteresowany zbytnio w szybszym eksploatowaniu swoich zapasów naftowych. Wielka Brytania, która wydobywa ropę z dna Morza Północnego przerwała jej dostawy dla Holandii i Belgii. Przed naftowcami Wielkiej Brytanii i Norwegii — która również ma szyby na Morzu Północnym — otwierają się wielkie możliwości eksportu ropy naftowej. Ale w pierwszym rzędzie trzeba pokryć własne potrzeby i zrobić niezbędne zapasy, bo zupełnie nie wiadomo, co będzie jutro z ropą naftową.

Nafty brakuje bowiem strajkującemu Iranowi. Do niedawna zużywano tam milion baryłek dziennie, teraz wydobycie wynosi 450 tys. baryłek. Stany Zjednoczone, które do tej pory importowały irańską naftę, pod koniec stycznia 1979 roku postanowiły dostarczyć pewną ilość płynnych paliw na potrzeby irańskiej armii. Skąd ta dobroć USA?

JEST BOWIEM NADZIEJA, że nowy rząd Iranu nie zrezygnuje z dostaw nafty, jeśli wszystko się w Iranie uspokoi. Nadzieję tę bardzo trafnie sformułował „Bonner Rundschau":

„Zachodowi idzie przede wszystkim o irańską ropę naftową, a wiele przemawia za tym, że nowi władcy, czy to będzie Bachtiar, czy Chomeini nie mogą z dostaw ropy zrezygnować".

Tylko, że tu nie ma pełnej jasności, gdyż ajatollah Chomeini, udzielając wywiadu dla bejruckiego dziennika „As Safir, powiedział, że irańska nafta nie była wykorzystywana dla dobra narodu irańskiego.

Nowy władca Iranu może sprawić różne jeszcze niespodzianki niecierpliwie oczekującym na ustabilizowanie się sytuacji w Iranie. A w Iranie nadal wre. Ajatollah Chomeini szykuje się do powrotu do Iranu. Armia wydaje się trwale stać w obronie monarchii, ale i w armii rysują się różnice. Przecież irańscy żołnierze są muzułmanami, a właśnie islam i jego zwolennicy — jak wszystko wskazuje — przygotowują się do decydującego uderzenia. Islam bowiem w sytuacji irańskiej odgrywa rolę bardzo ważną, kto wie czy nie najistotniejszą. Ale jest to już inny temat.

1979 ROK W OŚRODKACH KULTURY KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH

Działające w Warszawie Ośrodki Kultury i Informacji bratnich krajów socjalistycznych przygotowały na 1979 rok bogate programy swej działalności. O najważniejszych zamierzeniach na rok bieżący mówią ich dyrektorzy.

Dom Nauki i Kultury Radzieckiej — dyrektor JELENA LEBEDINSKA:

— W 1979 roku szczególną uwagę poświęcimy trzem ważnym rocznicom: 30-leciu RWPG, 35-leciu TPP-R. Szeroko popularyzować więc będziemy osiągnięcia i znaczenie współpracy ekonomicznej krajów socjalistycznych, a także osiągnięcia dwustronnej radziecko-polskiej współpracy we wszystkich dziedzinach. Przygotowujemy wiele imprez, a wśród nich 4 wystawy: o rurociągu „Sojuz" (wspólnie z placówkami kulturalnymi krajów socjalistycznych), o rozwoju nauki i placówek naukowych na Syberii, o zastosowaniu plastyki w radzieckim przemyśle oraz o radzieckich urządzeniach elektrotechnicznych w życiu codziennym człowieka.

Bogaty i różnorodny jest także program innych imprez kulturalnych i naukowych, zapoznających społeczeństwo polskie z życiem Związku Radzieckiego i jego osiągnięciami. Uroczysty charakter nadamy 180 rocznicy urodzin Aleksandra Puszkina. Przedmiotem naszego szczególnego zainteresowania będzie rozwój współpracy z młodzieżą, która stanowi ok. 75 proc. uczestników imprez organizowanych w naszym domu. Np. dla młodzieży robotniczej organizujemy wspólnie z CRZZ kolejny konkurs wiedzy o ZSRR. W ubiegłym roku w konkursie takim uczestniczyło 80 tys. osób. W wielu miastach i województwach odbędą się tradycyjne już „Dni przyjaźni polsko-radzieckiej".

Bułgarski Ośrodek Kultury i Informacji — dyrektor dr KOLIO GENEW:

— Choć główne uroczystości 1300-lecia państwa bułgarskiego odbędą się w 1981 roku, to jednak nasz Ośrodek już w bieżącym roku skoncentruje swą działalność wokół tej właśnie rocznicy. Będziemy prezentować osiągnięcia Bułgarii w dziedzinie kultury, literatury, muzyki i plastyki oraz w rozwoju socjalistycznego przemysłu i rolnictwa. Organizowane będą wystawy i spotkania z wybitnymi bułgarskimi twórcami, artystami i działaczami kultury.

Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji — wicedyrektor dr DOBROSLAV KOPECKY:

— Najważniejszym wydarzeniem dla naszego Ośrodka jest 30-lecie jego działalności, przypadającej 24 marca br. Z okazji tej ukażą się okolicznościowe wydawnictwa, odbędą się liczne imprezy kulturalne, m.in. koncerty z udziałem czechosłowackich artystów. Ogłosimy konkurs na najlepsze przekłady wierszy poetów czeskich i słowackich na język polski. Nowością w naszej działalności będą tzw. „żywe gazety" z udziałem specjalistów czechosłowackich z różnych dziedzin.

Szeroką popularyzację dorobku kulturalnego naszego kraju oprzemy na imprezach, które organizowane będą w wielu miastach wojewódzkich pn. „Panoramy kultury czechosłowackiej". Zamierzamy utworzyć w br. filię naszego Ośrodka w jednym z południowych województw Polski.

Ośrodek Kultury i Informacji NRD — zastępca dyrektora REINHARDT GUTSCHE:

— W br. przypada 30 rocznica utworzenia NRD, a także 30 rocznica nawiązania stosunków dyplomatycznych między obu naszymi krajami. Rocznice te stanowią główny akcent naszej działalności. Zapoczątkowaliśmy już imprezy z tej okazji obchodami 90 rocznicy urodzin zmarłego przed 25 laty wybitnego pisarza, dramaturga i działacza, Friedricha Wolfa, który był pierwszym ambasadorem NRD w Polsce. Wśród innych imprez czołowie miejsce zajmie sympozjum na temat rozwoju NRD przygotowywane wspólnie przez historyków i ekonomistów obu naszych krajów.

Z okazji 30-lecia NRD zaprezentujemy także kilka wystaw, wśród nich wystawę „NRD — Polska przyjaciele i dobrzy sąsiedzi", przygotowywaną wspólnie przez muzea obu krajów; pokażemy w Warszawie wystawę poświęconą Narodowej Ludowej Armii NRD, wystawę dzieł młodych plastyków oraz wystawę sztuki użytkowej Serbo-Łużyczan.

Węgierski Instytut Kultury — wicedyrektor PAL PAP:

— Już w ubiegłym roku zapoczątkowaliśmy imprezy z okazji trzech rocznic szczególnie ważnych dla narodu węgierskiego: 60 rocznicy powstania Węgierskiej Partii Komunistycznej, 60 rocznicy rewolucji burżuazyjno-demokratycznej na Węgrzech i 60 rocznicy utworzenia Węgierskiej Republiki Rad. Imprezy związane z tymi historycznymi wydarzeniami stanowić będą najważniejszy element w naszej działalności. Poświęcone im będą wieczory literackie i wystawy. Ważnym punktem naszego programu z tej okazji będzie również polsko-węgierskie sympozjum organizowane wspólnie z Wyższą Szkołą Nauk Społecznych przy KC PZPR. Uczestniczyć w nim będą polscy i węgierscy historycy. Warto zasygnalizować też przegląd węgierskich filmów fabularnych związanych tematycznie z powstaniem Węgierskiej Republiki Rad. Zaplanowano wiele imprez muzycznych, a wśród nich koncert znanej węgierskiej pianistki Bartokne-Pasztory Ditta, wdowy po Beli Bartoku. Zorganizujemy imprezy z okazji setnej rocznicy urodzin pisarzy Moricza i Moraya. Zaprezentujemy wystawy prac wybitnych grafików i malarzy węgierskich, m.in. całokształt twórczości Kondora. W siedmiu miastach wojewódzkich zorganizujemy „Dni Kultury Węgierskiej". Wiele imprez odbędzie się z okazji zaplanowanych na rok bieżący „Dni Teatru i Muzyki Węgierskiej" w Polsce.

KAMBODŻA

MASOWE ZBRODNIE POL POTA

W konsekwencji powstania narodowego, którym kierował Zjednoczony Front Narodowego Ocalenia Kambodży, masowej organizacji politycznej, wykrystalizowanej w toku powstawania ruchu oporu przeciwko dyktatorskiemu reżimowi Pol Pota, władza w kraju przeszła w ręce narodu. W kraju już od długiego czasu narastał opór terroryzowanych mas przeciwko krwawym rządom Pol Pota. W końcu 1975 roku odbyły się pierwsze masowe, spontaniczne wystąpienia antyrządowe. Ogarnęły one początkowo północne i północno-wschodnie, a później północno-zachodnie i zachodnie rejony Kambodży. 21 grudnia ub. roku radiostacja rewolucyjnej organizacji Kambodży wezwała naród do powszechnego powstania.

Nazajutrz po zajęciu stolicy, Jednolity Front Narodowego Ocalenia Kambodży złożył oświadczenie w sprawie nawiązania pokojowych, dobrosąsiedzkich stosunków z krajami południowo-wschodniej Azji. Spotkało się ono z szerokim poparciem w Kambodży i poza jej granicami.

Zwycięstwo patriotów w Kambodży z sympatią powitały wszystkie postępowe siły świata. Jednakże niektóre organa prasy zachodniej rozpętały wokół wydarzeń w Kambodży niesłychaną wrzawę, chociaż parę miesięcy wcześniej z równą energią potępiały krwawy reżim Pol Pota i gwałcenie praw człowieka. Niektóre wszakże poważne czasopisma na Zachodzie zamieszczały obiektywne materiały swoich obserwatorów politycznych, zawierające dokumenty, w tym także zeznania naocznych świadków zbrodni reżimu i torturowanych ofiar, którym udało się ujść z życiem z tego piekła na ziemi.

W reportażu zamieszczonym swego czasu w wielonakładowym amerykańskim miesięczniku kulturalno-politycznym „Readers Digest" czytamy m.in.: „Wszystkich aresztowanych oskarżono o spisek antyrządowy, chociaż nie udowodniono im winy. Następnie związano ich jednym sznurem i jak bydło pogano do komisariatu policji miasta Siemreap, w północno-zachodniej części Kambodży, gdzie poddano ich torturom elektrowstrząsów. Opowiedział o tym, Leam Lis, żołnierz armii kambodżańskiej, obecny podczas „śledztwa". Według jego relacji, kilkadziesiąt kilometrów od Siemreap znajduje się jeden z ośrodków masowego niszczenia niewinnych obywateli. Tutaj właśnie któregoś razu przywiózł Leam Lis samochodem dowódcę policji śledczej, a w ślad za nim dostarczono na samochodach ciężarowych około 300 więźniów. Skazańców związano, ustawiono na krawędzi głębokiego rowu i zastrzelono. Wielu jeszcze żyło, kiedy zasypywano ich ziemią.

Zeznania Leama Lisa, przebywającego obecnie w obozie dla uciekinierów w Tajlandii, nie są oczywiście jedynym świadectwem potwornych zbrodni dokonywanych w Kambodży z rozkazu dyktatorskiego reżimu. Ofiarami niespotykanego okrucieństwa żołdaków Pol Pota są nie tylko mieszkańcy miast, lecz także Bogu ducha winni mieszkańcy wsi, osiedleni w przygranicznych rejonach Wietnamu i Tajlandii. Potwierdzając oskarżenia przeciwko rządom Pol Pota w prasie Wietnamu i Tajlandii opublikowano dokumentalne zdjęcia. Obiektyw aparatu fotograficznego utrwalił stosy zmasakrowanych trupów. Charakterystyczne, iż władze Kambodży nie próbowały nawet zaprzeczyć podanym faktom.

Cały kraj przekształcono w ogromny obóz koncentracyjny. Tych, którym udało się pozostać przy życiu, kieruje się do „spółdzielni rolniczych" i chociaż w kraju pracuje kilka fabryk i przedsiębiorstw chałupniczych, przytłaczająca większość ludności pracuje na polach ryżowych 12—14 godzin dziennie, bez odpoczynku. Na przerwy zezwala się tylko podczas wykonywania wyroków śmierci, na których obecność mieszkańców „spółdzielni" jest obowiązkowa!...

Kambodżańscy przywódcy metodycznie i bezlitośnie niszczą najdrobniejszy objaw poprzedniego wzorca życia. Pod groźbą kary śmierci zakazano czytania zagranicznej literatury, swobodę poruszania się z miejsca na miejsce ograniczono do absolutnego minimum, a z poczty można korzystać wyłącznie za pozwoleniem władz. Pieniądze przestały być środkiem płatniczym, wynagrodzenie za pracę zniesiono, a handel nie istnieje. Żeby osłabić więzy rodzinne, członków rodzin kieruje się do różnych grup pracy lub do różnych „spółdzielni rolniczych". Dzieci z reguły odbiera się rodzicom, a 14-letnią młodzież obojga płci powołuje się do wojska. Nie wolno się żenić bez oficjalnego zezwolenia".

„Premier Kambodży — donosił przed obaleniem reżimu Pol Pota korespondent „Le Monde" z sąsiedniej Tajlandii — oświadczył 27 września: „Poziom życia 90 proc. ludności wzrósł w ostatnim czasie jak nigdy przedtem. Prawa każdego człowieka są w pełni respektowane..." Jednakże zeznania uciekinierów z Kambodży przeczą temu oświadczeniu Pol Pota. Uciekinierzy twierdzą, iż w kraju panuje straszliwy terror. W kwietniu 1975 roku miliony ludzi przymusowo wysiedlono z miast i skierowano do miejscowości wiejskich, głównie do rejonów zachodnich, północnych i północno-zachodnich. Umieszczano ich we wsiach lub zasiedlano nimi rejony pustynne.

Na pustkowiu, gołymi rękami, nie dojadając i nie dosypiając, pod bezlitosnym nadzorem żołnierzy budują szałasy, uprawiają ziemię. Tysiące rodzin przesiedlono także na południe i wschód kraju. Wielu ludzi uciekło do Wietnamu i Tajlandii, wielu zmarło z głodu, wyczerpania i chorób. W latach 1976—77 reżim podjął próbę „ustabilizowania sytuacji", co nie przeszkodziło jednak agentom Pol Pota w „energicznej walce z wrogami narodu, popleczni-kami imperializmu i kolonializmu, zgniłymi elementami..." Młodzież, zorganizowana w specjalne brygady, cieszyła się „pewnym zaufaniem" reżimu. Dorośli jednak z reguły byli „zarażeni ohydną ideologią, nie nadawali się do reedukacji i dlatego zostali skazani na pracę przymusową". Jeśli nie mogli znieść nowych warunków i przejawiali choćby cień niezadowolenia, natychmiast „znikali".

W końcu 1977 roku, po wykryciu kolejnych „spisków" i rozpoczęciu wojny przeciwko Wietnamowi, nasiliły się czystki wśród funkcjonariuszy kadrowych. Nastąpiło gwałtowne usztywnienie polityki wewnętrznej. W konsekwencji spowodowało to masowe ucieczki za granicę.

8 milionów mężczyzn, kobiet i dzieci „wyzwolonego narodu" — jak określały to władze w Phnom Penh — żyje w warunkach obozu koncentracyjnego. Żeby spowodować „ruch do przodu" reżim Pol Pota użył metod, których 1000 lat temu użyli feudałowie, przekształcając naród w niewolników. W „nowych wsiach" ludność podzielono na bataliony, kompanie, plutony i brygady operacyjne według płci i wieku. Całą ludność cywilną w kraju kambodżańscy liderzy podzielili na dwie kategorie: na „dawny naród", więc tych Kambodżan, którzy mieszkali w rejonach kraju zajętych jeszcze przed zdobyciem Phnom Penh (w kwietniu 1975 roku — red.) i na „nowy naród" — ludzi poddanych przymusowemu przesiedleniu z miast na wieś. I chociaż terror obejmuje cały naród, władze nieco „łagodniej" traktują „dawny naród"...

...Soeyn Senn i Nyon Neng, byli lekarze szpitala w Phnom Penh, w grudniu 1975 roku zostali skierowani wraz z rodzinami do wsi położonej 50 km od granicy Tajlandii. Soeyn Senn znalazł się w grupie 300 takich jak on „wysiedleńców". Byli to w olbrzymiej większości przedstawiciele stołecznej inteligencji: profesorowie, nauczyciele, studenci, siostry szpitalne i lekarze, i inni oraz ich krewni. Przez kilka tygodni pracowali na polach ryżowych. Później wszystkich zebrano w pagodzie, gdzie przedstawiciel władz wezwał ich do „szczerej wypowiedzi na temat nowego reżimu". Kilkanaście osób wyraziło swoje niezadowolenie z powodu rozpadu systemu administracyjnego, zamykania szkół, szpitali, rynków, likwidacji systemu pieniężnego. Przedstawiciel władz szczegółowo zanotował wszystkie uwagi oraz nazwiska dyskutantów.

Kilka dni później ludzi tych załadowano na auta ciężarowe i wywieziono. Bez rodzin. Nikt już ich nie zobaczył. Wkrótce potem znikły setki innych „niezadowolonych". Pozostałym kazano się przesiedlić do sąsiednich wsi i pracować na polach ryżowych. Jednakże ludzie w dalszym ciągu nie przestali „znikać". Soeyn Senn uważa, że wszyscy wywiezieni zostali zabici..."

W latach 1977—78 było kilka prób obalenia rządu Pol Pota, także przez wojskowych. Reżim odpowiedział okrutnymi represjami, niszcząc nie tylko „szpiegów", „zdrajców" i „spiskowców", lecz także ludzi, którzy już po kwietniu 1975 roku zajmowali określoną pozycję w „nowym społeczeństwie", a więc wojskowych, urzędników itp., słowem — tych wszystkich, którzy w wypadku dalszego pogarszania się sytuacji mogli oddać swój głos na bojowników ruchu oporu.

JERZY CZECH

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

● **W konsekwencji wydarzeń w Iranie Stany Zjednoczone rewidują swoją politykę w rejonie Zatoki Perskiej i Bliskiego Wschodu. Wysocy urzędnicy aparatu Białego Domu twierdzą, iż wydarzenia te są częścią składową o wiele bardziej szerokiego „kryzysu strategicznego", obejmującego grupę krajów, leżących na południe od Związku Radzieckiego. Specjaliści z różnych instytucji państwowych do spraw irańskich są zgodni co do tego, iż powstanie przeciwko szachowi jest wynikiem wewnętrznego niezadowolenia. Urzędnicy z aparatu Białego Domu wyrażają też opinię, że zaostrzający się kryzys w tym kraju jest brzemienny w daleko idące konsekwencje. Mówią, iż strategia prezydenta Cartera w tej chwili stawia sobie za cel raczej zademonstrowanie gotowości Ameryki do ochrony żywotnych interesów innych prozachodnich państw w tym rejonie, niż dokonanie próby uregulowania kryzysu bezpośrednio w Iranie.**

Pracownicy administracji w Białym Domu twierdzą, iż niezależnie od ostatecznego wyniku kryzysu irańskiego, może on doprowadzić do bardzo istotnej rewizji polityki amerykańskiej, a w tym do działania w kierunku zawarcia pokoju między Egiptem i Izraelem oraz do nowych dostaw broni dla Pakistanu, Turcji i krajów arabskich (NEW YORK TIMES — N. Jork).

● **Światowy popyt na naftę z krajów OPEC wynosi obecnie 28—31 milionów baryłek dziennie (1 baryłka = 159 ltr-red.). Moc eksploatacyjną krajów OPEC pozwala na wydobywanie, w sumie, 33 mln baryłek na dobę. Pod silnym naciskiem i przy chęci zaspokojenia światowego zapotrzebowania, kraje OPEC mogłyby zwiększyć wydobycie do 38 a nawet 39 mln baryłek. Jednakże w ciągu 10 najbliższych lat popyt na paliwo płynne importowane z krajów OPEC będzie wynosił ok. 42—45 mln baryłek dziennie. W tymże czasie produkcyjne moce OPEC, jeśli je zwiększyć do maksimum, mogą wzrosnąć, mniej więcej, do 45 mln baryłek; doprowadzi to jednak do bardzo napiętej sytuacji. Co więcej — brak jasności co do tego, czy kraje OPEC zechcą zwiększyć wydobycie ropy naftowej do granic swoich fizycznych możliwości. Niektóre oficjalne osobistości OPEC przestrzegają przed optymizmem.**

„Uważa się za konieczne, żeby terminy eksploatacji pól naftowych w krajach członkowskich OPEC rozciągnąć możliwie jak najbardziej" — powiedział niedawno generalny sekretarz OPEC, zapowiadając równocześnie poziom wydobycia nafty w środku i w końcu lat 80 w wymiarze zaledwie 42 mln baryłek na dobę, jeśli nie mniej. Dał on wyraźnie do zrozumienia, iż na taki poziom wydobycia można liczyć tylko w wypadku jego „ekonomicznej celowości". Innymi słowy, jeśli wydobycie nafty będzie stymulowane podwyżką cen...

Jakie mogą być następstwa niezgodności między popytem a podażą? Sytuacja powstała w latach 1970—1973 rzuca światło na to, co nas czeka. Zwiększenie popytu i brak mocy rezerwowych wydobycia nafty są na rękę tym, którzy żądają podwyższenia cen nafty. Do tego czasu rządy krajów OPEC całkowicie wezmą w swoje ręce nie tylko transport, przerób i obrót nafty, lecz także międzynarodowy handel gazem ziemnym. Następstwa zwyżki cen na naftę mogą być bardzo poważne. Nastaną czasy niepowstrzymanej, galopującej inflacji. Jednocześnie w przemysłowo rozwiniętych krajach gwałtownie zmniejszą się inwestycje w przemyśle, obniży się siła nabywcza ludności, co może mieć katastrofalne następstwa dla ekonomiki i zatrudnienia, poderwie wiarę w system naszego społeczeństwa. W strukturze międzynarodowych rozrachunków nastąpi ogromne napięcie. Kryzys bilansu płatniczego w takich krajach, jak Francja, Włochy, Japonia może przekroczyć dopuszczalne granice. W takich warunkach prywatny system bankowy może nie wytrzymać podobnego szturmu. Krótko mówiąc — w krajach zachodnich nastąpi duży spadek ekonomiczny, a być może, okaże się nawet, iż ogarnie je światowy kryzys ekonomiczny (NEW YORK TIMES MAGAZINE).

(J.)

■ POCZĄTEK OBRAD NOWEGO KOMITETU
■ W IRANIE WCIĄŻ NIEPOKÓJ
■ POLSKA AKTYWNOŚĆ

W ub. roku, na specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, poświęconej rozbrojeniu, powzięta została m.in. decyzja o rozszerzeniu i zmodyfikowaniu komitetu rozbrojeniowego. W rezultacie w jego skład wchodzi obecnie 39 państw (w tym po raz pierwszy od 16 lat Francja), a obradom przewodniczyć będą po kolei przedstawiciele wszystkich państw członkowskich.

Nowa genewska konferencja komitetu rozbrojeniowego rozpoczęła się w ub. tygodniu. Będzie ona trwała ok. 3 miesięcy. Praktyka wykazuje, że w ciągu roku obrady toczą się przez sześć miesięcy są więc jakby dwie sesje.

Do uczestników sesji Leonid Breżniew skierował list, w którym podkreśla wagę problematyki rozbrojeniowej. — Nadszedł czas — pisze — aby państwa zdały sobie sprawę z realnego sensu alternatywy: albo wyścig zbrojeń zostanie zatrzymany i ostudzony, albo dojdzie do nowego niebezpiecznego balansowania na krawędzi wojny, ze wszystkimi towarzyszącymi temu negatywnymi następstwami dla polityki odprężenia. Dlatego trzeba „dwukrotnie, trzykrotnie, dziesięciokrotnie" wzmóc wysiłki, aby doprowadzić do rzeczywistego przełomu.

Z datą rozpoczęcia prac komitetu rozbrojeniowego w nowym, bardziej reprezentatywnym gronie, zbiegła się konferencja prasowa w stolicy ZSRR, poświęcona tejże tematyce. Podkreślono na niej radziecką aktywność na międzynarodowym forum w dziedzinie rozbrojenia z zaakcentowaniem, że **centralne miejsce w tych wysiłkach zajmuje zaprzestanie produkcji wszelkich typów broni jądrowej i ograniczenie ich zapasów aż do pełnej likwidacji arsenałów nuklearnych.** Związek Radziecki opowiada się za radykalnym rozwiązaniem, ale proponuje też częściowe rozstrzygnięcia, a wśród nich zawarcie międzynarodowej konwencji o niestosowaniu broni jądrowej przeciwko tym krajom, które wyrzekają się jej produkcji i nie mają jej na swoim terytorium.

Pilnym zadaniem jest **rozpatrzenie konwencji o zakazie produkcji, gromadzenia i użycia broni neutronowej,** odpowiedni projekt leży w portfelu spraw do załatwienia.

Na konferencji mówiono również o rokowaniach na temat ograniczenia broni strategicznych oraz redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Związek Radziecki był i jest gotów osiągnąć oba porozumienia równolegle.

Jak wspomnieliśmy — komitet rozbrojeniowy rozpoczyna pracę w nowym składzie. Liczba uczestników rozszerzyła się (Chiny poprosiły na razie o pozostawienie im „pustego krzesła"), ale dla nikogo nie ulega wątpliwości, że **najważniejszymi uczestnikami obrad będą nadal Związek Radziecki i Stany Zjednoczone.** W tym kontekście konferencja prasowa wiceminister G. Korniejenki, naświetlająca stanowisko radzieckie i z pakietu tematów rozbrojeniowych wskazująca na najpilniejsze, ma szczególne znaczenie.

Miniony tydzień **utrzymywał zainteresowanie wydarzeniami w Iranie.** Szacha już nie ma i nie wokół jego osoby skupiała się uwaga. Teraz **głównie oczekiwano powrotu do kraju z wieloletniej emigracji przywódcy szyitów irańskich — Chomeiniego.** Już, już miał on lądować w Teheranie — aż tu nagle wojsko zablokowało lotnisko, a on sam odłożył swój przylot z Francji o kilka dni. Podobno w następstwie listu premiera Bachtiara, w którym tenże wykazuje, iż sytuacja nie sprzyja powrotowi i trudno byłoby Chomeiniemu zapewnić bezpieczeństwo.

W tym miejscu trzeba koniecznie przypomnieć, że przywódca szyitów oświadczył w momencie tworzenia rządu przez Bachtiara, że nie uzna żadnego, który powołany został z ręki szachinszacha.

Cała sprawa opóźnienia powrotu nie jest jasna i — jak podejrzewają niektórzy komentatorzy — kryje się za tym „sterowanie" przez Waszyngton, który (pisaliśmy o tym już obszerniej), bardzo troszczy się o swe interesy naftowe i strategiczne w Iranie.

Tymczasem w kraju nie ustają manifestacje i demonstracje — jedne wspierające gabinet Bachtiara, drugie wymierzone przeciwko niemu. Gdy piszę komentarz — dalekopis stuka informację o wielotysięcznym pochodzie w Teheranie sił umiarkowanych, który odbył się pod hasłem: „Ani Bachtiar, ani Chomeini". Jak więc sytuacja rozwinie się — doprawdy trudno przewidzieć.

A teraz **trzy fakty z kroniki polskiej aktywności** na międzynarodowej scenie.

W sobotę podano do wiadomości, że w najbliższych dniach delegacja partyjno-państwowa PRL pod przewodnictwem Edwarda Gierka złoży oficjalną wizytę w Bułgarii.

W Polsce gości minister Spraw Zagranicznych Kuby — Isidoro Malmierec, a także delegacja parlamentarzystów francuskich.

Wybrane informacje tylko z jednego dnia świadczą o rozległych naszych kontaktach, które zawsze wykorzystywane są przede wszystkim w celu ugruntowania pokoju i rozwinięcia współpracy.

W. SŁAWSKI

Foto: Ewa Abgarowicz

16 października 1978 r. polska alpinistka Wanda Rutkiewicz, uczestniczka międzynarodowej wyprawy kierowanej przez Karola Herrligkoffera osiągnęła szczyt Mount Everestu.

16 stycznia 1979 r. łódzkie środowisko alpinistyczne uczciło jej sukces nadając jej członkostwo honorowe obydwóch łódzkich klubów alpinistycznych Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego i Akademickiego Klubu Górskiego.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

EVEREST — MARZENIE POKOLEŃ

Kocham Cię Wandziu!

Tak jej oświadczyłem. Wróciła właśnie z tego swojego Everestu, jakaś drobniutka wobec ogromu góry, ale jednocześnie za duża, żeby tak obcesowo z takim wyznaniem...

— **Ach ty łgarzu** — odpowiedziała

Znamy się już od lat i nigdy do tej pory nie znajdowałem się w otoczce pięknej Wandzi. Aż tu nagle.

Ale ja już byłem na to przygotowany.

— Oczywiście mówię szczerą prawdę. KOCHAMY WSZYSTKICH KTÓRZY SPEŁNIAJĄ NASZE MARZENIA, a ty właśnie spełniłaś moje marzenie.

Żeby nie było dwuznaczności — wypowiedź dotyczyła wejścia Wandzi na Everest. Byłbym niezwykle zarozumiały gdybym w tym przypadku mówił jedynie o moich marzeniach. Hasło — **EVEREST MARZENIE POKOLEŃ** byłoby tu zupełnie na miejscu.

Zaczęło się wszystko dość dziwacznie i stosunkowo mało egzotycznie. W 1852 r. hinduski rachmistrz z biura Survey of India obliczający dane pomiarów gór wpadł zemocjonowany do pokoju zwierznika z okrzykiem „Panie", odkryłem najwyższą górę świata". i jak się później okazało miał rację.

Pierwszą oficjalną propozycję wyprawy na najwyższy szczyt ziemi rzucił alpinista angielski Clinton Dent w artykule opublikowanym w czasopiśmie Nineteenth Century w roku 1892. Od tego projektu do realizacji pierwszej wyprawy angielskiej w roku 1921 minęło sporo czasu. Również sporo czasu upynęło od tej pierwszej — do zdobywczej w r. 1953. Należy dodać, że była to jedenasta wyprawa na Everest. Walka o trzeci biegun ziemi należała więc do żmudnych. Pochłonęła ona zresztą (do r. 1953) czternaście istnień ludzkich.

Wydawać by się mogło, że kiedy nauczono się na tyle wspinać na najwyższą górę, że ją w końcu zdobyto następne wejścia nie powinny nastręczać większych trudności. Rzeczywistość okazała się bardziej brutalna. Na ogólną ilość czterdziestu wypraw everestowskich tylko piętnaście zakończyło się sukcesem.

A jak było z marzeniami Polaków.

Początków mogę się dziś jedynie domyślać. W roku 1906 powstał towarzyski zespół, a raczej grupa, pod nazwą Himalaya Klub. Liderem i założycielem był Roman Kordys. On pierwszy rzucił hasło „przyszłość taternictwa leży poza Tatrami". Nie padło tu wprawdzie słowo — Everest — niemniej wytyczony kierunek dosyć jasno wskazuje cel.

W okresie międzywojennym idea everestowska była silna, chociaż pozbawiona realnych możliwości. Przypuszczam, że ten okres mógłby dobrze scharakteryzować znany polski alpinista i pisarz Wiktor Ostrowski, który w roku 1938 wydał niewielką książkę pt. „Na Szczyt Świata". Nie ma w niej wprawdzie podstawowego pytania o nasz, polski udział w zdobywaniu najwyższej góry ale też w tym okresie monopol na to mieli Anglicy. Stosunki polityczne układały się tak, że dostęp do Everestu był otwarty tylko od strony Tybetu i jedynie dla Brytyjczyków.

A jednak: — myśmy marzyli o Evereście — powiedział do mnie kiedyś Kazimierz Paszucha, kiedy go pytałem po co robili techniką hakową sufit Groty Twardowskiego. Było to przed wojną.

Łapiński uzupełnia wypowiedź przyjaciela. — Biorąc w 1945 r. w dzierżawę schroniska, ja Morskie Oko, a Paszucha Roztokę umówiliśmy się, że dochód zostanie przeznaczony na nasz prywatny fundusz himalajski. Myśleliśmy o najwyższej górze.

Tuż po drugiej wojnie światowej sytuacja polityczna doprowadziła do tego, że Tybet zamknął się dla Anglików, niestety nie otworzył się dla nas. Zaostrzenie nastrojów zimnowojennych spowodowało, że na początku lat pięćdziesiątych polski sport wysokogórski miał do dyspozycji jedynie szczyty w Tatrach Polskich i to tylko te, które nie leżą na granicy. Kto choćby raz był w Tatrach rozumie co to znaczy.

Zdobycie Mount Everestu spadło na nas właśnie w tym okresie. I cóż się dzieje. Zmuszeni do wspinania po ścianach Mnicha i Koziego Wierchu taternicy nagle ogłaszają nieomal stan żałoby narodowej. Gdyby nie było tak trudno o sprzęt zapewne łamaliby czekany i młotki. — Nie ma po co uprawiać taternictwa skoro Everest został zdobyty.

Nie wpadłem wówczas w ten histeryczny nieco nastrój. Miałem i ja swoje marzenia everestowskie schowane głęboko za pazuchą, ale nigdy nie zakładałem, że nam Polakom uda się wyprzedzić innych. Liczyłem na dobre miejsce w pierwszej dziesiątce. Lata mijały, sytuacja się poprawiała. Najpierw przyszły Tatry Słowackie, potem Alpy, Kaukaz, aż wreszcie Hindukusz i z nim wysokość 7500 m na Noszaku. Trochę okrzepliśmy, nabraliśmy wiary we własne siły.

Wówczas to w roku 1965 pierwszy raz po wojnie, a chyba i w ogóle, sprawa Everestu staje się przedmiotem uchwały Walnego Zjazdu Klubu Wysokogórskiego — wówczas jedynej organizacji alpinistycznej w Polsce.

Uchwała brzmi: „...**Zjazd stwierdza konieczność powrotu do idei wyprawy na najwyższy szczyt świata Mount Everest. W związku z powyższym Zjazd postuluje podjęcie konkretnych kroków w celu zapewnienia podstaw realizacji tego zamierzenia...**"

Aż dziw bierze z jakimi oporami przechodziła wówczas ta uchwała w samym środowisku alpinistycznym.

Już w dwa dni po napisaniu artykułu postanowiłem się jednak przyznać. To ja byłem tym, który doprowadził do postawienia tego wniosku. Wygląda oczywiście na to, że dziś pragnę w promieniach sławy Wandzi ogrzać trochę swoje zziębnięte ręce. Może i tak, ale przede wszystkim tłumaczy to fakt dlaczego kocham Wandzię. Wtedy na walnym zjeździe byłem po prostu śmieszny.

Wprawdzie nikt nie kwapił się z druzgocącą krytyką — z różnych zresztą przyczyn, które pozostawiam na boku — niemniej przyjęto wniosek z ogromnym zabłopotaniem i nawet próbowano skłonić naszą grupę do jego wycofania. Głupio było bowiem zarówno go przegłosować jak i nie przegłosować. Poratowała mnie trochę powaga alpinistów starszego pokolenia, którzy upominając się, i słusznie o swoje prawa wprowadzili poprawkę — **o powrocie do idei** — niemniej w końcu wniosek przeszedł jako dezyderat, z którego zresztą zarząd nigdy się nie rozliczał.

Znamiennym był artykuł w „Życiu Warszawy" z 23. 2. 65, który mi oczywiście przysłano, a ja go zachowałem. Tytuł brzmiał: „Polacy na Mt Everest" z podkreśloną uwagą „Słówko wyleciało wróblem".

„Należało by się więc poważnie zastanowić — pisał bezimienny dziennikarz — **czy nas stać na takie eskapady o znaczeniu przede wszystkim ambicjonalnym. Należałoby się zastanowić, gdyby... było się nad czym zastanawiać. (—) z wypowiedzi członków zarządu wynika tylko tyle, że alpiniści nasi zamierzają prowadzić w górach świata działalność eksploracyjną szerszą (—) Chodziłoby tu zresztą głównie o nie zdobyte jeszcze szczyty sześcio- i siedmiotysięczne (—) o rychłym wdrapywaniu się na Mt Everest z polską flagą nikt poważnie nie myśli".**

W rok później ukazuje się na łamach Taternika artykuł Jerzego Warteresiewicza pt. „Himalaje z nami czy bez nas", w którym autor trzeźwo rozważa nasze możliwości, wytycza cele i drogi naszego himalaizmu, na pierwszym planie stawiając Kunyang-Chhish. Warto dziś sięgnąć do tego artykułu. Trafność prognozowania i prawidłowość wniosków jest uderzająca.

W końcu chyba dobrze się stało. Te 1350 metrów pomiędzy wysokością wierzchołka Noszaka i Everestu to jest wielokrotnie więcej niż podobna odległość pomiędzy taflą Morskiego Oka i szczytem Rysów. Everest byłby bardzo trudną próbą wówczas dla odradzającego się polskiego alpinizmu eksploracyjnego.

Byłbym skłamał, gdybym napisał, że w okresie od 1965 r. nic się nie działo w sprawie Everestu. Owszem były inicjatywy, ale się roztapiały jak śnieg na wiosnę z przyczyn, których już na ogół nie rozpatrywałem dokładnie. Jeszcze nadzieję przyniósł udział Jurka Surdela w międzynarodowej wyprawie Dyhrenfurtha w r. 1971 — niestety wyprawa w ogóle nie osiągnęła szczytu. Potem już jednak problem Everestu zaczął się rozwadniać i nasz udział stawał się coraz mniej atrakcyjny. Bezradnie śledziłem jak zamknęła się lista pierwszej dziesiątki zdobywców, jak liczba alpinistów którzy osiągnęli szczyt dociągnęła setki. W końcu stało mi się zupełnie niemal obojętnym czy wejdziemy kiedyś tam na ten szczyt świata, czy nie.

Aż tu nagle — zupełnie jak w kinie — pokazuje się na widowni Wandzia.

Tu mała dygresja. Zwłaszcza kinematografia amerykańska — chociaż inne również tym nie gardzą — przedstawia zwykle taką panienkę, która wodzona za rękę podczas trzęsienia ziemi, pożaru czy innych klęsk żywiołowych biega po ekranie coraz bardziej odarta z szatek, wiszących w końcu na niej strzępkami z wyjątkiem pończoch (czy rajstop), na których nigdy nie ma dziur. Partner takiej panienki, który ją ciąga to tu to tam bez bliżej określonego celu, ma na ogół odzienie w zupełnym porządku.

Otóż Wandzia nie jest z tego kina.

Ale do rzeczy. To wszystko było naprawdę jak w kinie lub w optymistycznym romansie.

Wandzia zaczęła się wspinać w roku 1962 jako dziewiętnastoletnią dziewczyna. Pierwszy walny zjazd na jakim była to ten z sześćdziesiątego piątego roku. Nie — nie wiążę tego ani przyczynowo ani kabalistycznie. To jednak miłe, kiedy się pomyśli że wówczas głosowała za wnioskiem.

W skład międzynarodowej wyprawy w 1978 r. weszła nieprzypadkowo. Jest to jej szósta wielka wyprawa. Trzy pierwsze to Pamir, Hindukusz i znowu Pamir, a potem już szczyty ociekające alpinistyczną historią: Gasherbrum, Nanga Parbat. Już ta ostatnia była wyprawą międzynarodową. Wandzia jednak twierdzi, że bezpośrednią przyczyną zaproszenia na Everest przez Herrligkoffera była północna ściana Matterchornu zimą w zespole kobiecym.

Wejście Wandy na Szczyt Świata całkowicie zmienia układy. Zamiast skromnie dopisać się jako któraś tam z rzędu nacja do długiej już listy everestowskiej (obecnie 14 narodowości), alpinizm polski zaprezentował się możliwie najgodniej. **Wanda Rutkiewicz jest trzecią kobietą po Chince i Japonce na najwyższej górze** — jest więc jednocześnie pierwszą białą kobietą. W stosunku do swoich poprzedniczek miała sytuację znacznie trudniejszą.

Nikt nie pracował na jej sukces. Mimo świetnej atmosfery, o której Wandzia uparcie opowiada, nie było tam z pewnością sytuacji, że kilku lub kilkunastu mężczyzn utorowało jej drogę na szczyt. Weszła nań, można powiedzieć na zasadach pełnej konkurencyjności i całkowicie samodzielnie.

To właśnie należy podkreślić, bowiem drogę na szczyt otwierało osobiste wyniesienie odpowiedniej ilości ładunków na odpowiednią wysokość i dla kobiety nie była przewidziana żadna taryfa ulgowa.

I w końcu swoim wejściem udowodniła Wanda to o czym byłem przekonany już od dawna: — o ile w odczuciu społecznym sukces na Evereście był dla naszego alpinizmu ważniejszy niż najwspanialszy wynik na innej choćby najpiękniejszej górze świata.

Przez szereg dni października śledziłem z emocją komunikaty radiowe. Byle dotarła na Przełęcz Południową. Jeżeli tylko jakieś polecenia kierownika nie staną jej na drodze i znajdzie się na przełęczy — szczyt należy do niej.

Piętnastego października wysłuchałem przy śniadaniu oczekiwanego komunikatu. A potem weszła...

No i jak tu jej nie kochać.

WDZIĘCZNE MIASTO

Powołana niewiele ponad rok temu placówka — **STACJA NAUKOWA** w **Łowiczu** w ramach **MAZOWIECKIEGO OŚRODKA BADAŃ NAUKOWYCH** w **WARSZAWIE** — może poszczycić się pierwszymi, i to bynajmniej nie małymi, osiągnięciami. Po pierwszej publikacji **Aliny Owczarek** i **Zbigniewa Skielczyńskiego** „Z dziejów książki w Łowiczu XV—XVIII w.", ukazały się w bieżącym roku następne: **Tadeusza Maciejewskiego** „Z przeszłości muzycznej Łowicza", **Aliny Owczarek** „Biblioteki Łowicza", **Stefana Pągowskiego** „Noakowski w Łowiczu", **Zbigniewa Kostrzewy** „Założenie Domu Zdrowia w Łowiczu". Te niewielkie, kilkanaście stron liczące, książeczki wydawane sumptem Stacji Naukowej są zaczątkiem badań nad wszechstronną, przekrojową i możliwie pełną naukowo monografią Łowicza.

Już w średniowieczu Łowicz zaliczany był do czołowych ośrodków kulturalnych w Polsce. Położenie miasta na ważnym szlaku z Warszawy, gdy ta stała się już stolicą, na zachód sprawiło, że stało się ono terenem bujnego rozwoju niemal wszystkich gałęzi rzemiosła. Tu ściągało wielu ludzi, którzy aktywnie uczestniczyli w życiu gospodarczym, politycznym i kulturalnym, choćby najznamienitsi — **A. Frycz-Modrzewski, Jan D. Soliwski, Stanisław Warszowicki, Piotr Skarga.** Miasto jako stała rezydencja prymasów było przez nich otaczane opieką, zakładali szkoły, z których wyszło wielu przyszłych urzędników państwowych i dostojników kościelnych oraz artystów. Tu pracowali między innymi malarz **Marek ze Sławska,** znany organista **Maciej z Wiślicy,** słynny organomistrz **Mateusz Milczarski,** rodowity łowiczanin, którego dotąd wywodzono z Warszawy. O rozwoju miasta świadczą choćby wydawane w latach 1648—1659 „Roczniki miasta Łowicza" przez lekarza i aptekarza miejskiego **A. K. Cebrowskiego.** Od 1761 do 1836 r. istniała tu Drukarnia Prymasowska, której dorobek liczy ponad 200 tytułów.

Słynął też Łowicz z księgozbioru na zamku prymasowskim, z prywatnych bibliotek arcybiskupów czy zbiorów klasztornych: dominikanów, bernardynów, bonifratrów, pijarów i najbogatszej, do dziś zachowanej, Biblioteki Kapitulnej. Znajduje się w niej 837 książek i rękopisów **Ignacego Krasickiego** — jego osobisty dar, poza tym są średniowieczne inkunabuły, druki renesansowe i niezwykle cenne poloniki, do niedawna uznane za bezpowrotnie stracone. Biblioteka Kapitulna kryje jeszcze wiele sensacji bibliofilskich, gdyż pozostaje jeszcze w pełni nie zbadana, choć prace nad katalogowaniem i opisem zbiorów rozpoczęto w 1975 r.

Miasto dzieliło losy kraju i wraz z upadkiem politycznym i gospodarczym Rzeczypospolitej następował upadek Łowicza. Jednakże w nawet najbardziej niesprzyjających warunkach, w czasie zaborów pruskiego i rosyjskiego, istniało oficjalne i utajnione, konspiracyjne życie umysłowe. Ten okres wymaga wielu jeszcze badań, by można było uzyskać obraz pełny. Że badania w tym i nie tylko w tym zakresie wykraczają poza lokalne korzyści, nie trzeba nikogo przekonywać. Przez swoje liczne i szerokie kontakty z innymi ośrodkami życia kulturalnego w kraju i za granicą był Łowicz ważnym ogniwem na mapie umysłowego i artystycznego życia w Polsce.

Często wiele spraw kulturowych i społecznych, struktur i instytucji traktowanych jest jako coś oczywistego i co najwyżej w bezpośrednim kontakcie z nimi utyskujemy na ich niesprawne lub zbiurokratyzowane działanie. A prześledzenie form ich rozwoju może doprowadzić do wielu interesujących spostrzeżeń i nie mniej cennych odkryć. Choćby ludzkie miłosierdzie (caritas) przyobleka jące się stopniowo w dziejach w coraz sprawniejsze i skuteczniejsze społecznie formy działania Szpitalnictwo w odróżnieniu od medycyny swoje początki datuje od średniowiecza, ale ówczesne szpitale, lokalizowane z zasady wokół kościołów i zakonów, były bardziej przytułkami niż spełniały funkcje lecznicze. Nowożytną formę cywilnego szpitalnictwa, nastawionego wyłącznie na kurację, podjęto w Polsce późno, dopiero po powstaniu listopadowym w 1832 r., kiedy to powstał projekt powołania **Rady Głównej Opiekuńczej.** Radzie Głównej podlegały Rady Szczegółowe, które tworzyli: opiekun, trzech „znanych z miłosierdzia obywateli" i lekarza.

30 marca 1838 roku Rada Szczegółowa oddała Dom Zdrowia w Łowiczu — nowocześnie (choć nie w dzisiejszym rozumieniu tego słowa) zorganizowaną placówkę leczniczą, która po raz pierwszy wprowadziła odpłatność za pobyt i leczenie. Był to jeden z pierwszych w Królestwie Dom Zdrowia, gdyż dziesięć miesięcy wcześniej otwarto podobny obiekt w Warszawie. Inicjatorem i założycielem placówki łowickiej był biskup **Tadeusz Łubieński,** fanatyk szpitalnictwa, członek Rady Głównej Opiekuńczej. Wielkie zasługi położył w propagowaniu idei szpitalnictwa. Dom Zdrowia wkrótce, bo już w 1845 r., otrzymał większy budynek i od swego założyciela wziął nazwę i znany jako szpital św. Tadeusza istniał do września 1939 r., kiedy to uległ zburzeniu.

Nie tylko materialne ślady przeszłości pasjonują dziś łowiczan, ale także ludzie, którzy przez miasto przeszli wywierając na nim swoiste piętno własnej oryginalnej osobowości. Niewielki czas, jaki dzieli owe nieprzeciętnego formatu osobowości od obecnych pokoleń, wyzwala dodatkowe emocje. Wystarczy wspomnieć choćby prezydenta Warszawy, Komisarza Cywilnego z czasów obrony stolicy we wrześniu 1939 r. **Stefana Starzyńskiego,** jego związki z Łowiczem i szacunek jaki otacza jego imię w tym mieście.

Innym przykładem, chronologicznie również bliskim, jest prof. **Stanisław Noakowski,** zwany „Chopinem Architektury". Sam pisał:

„choć... tylko dwa lata ostatnie gimnazjalne spędziłem w Łowiczu, to lata te uważam za bardzo ważne w swym życiu i dlatego chętnie podszywam się pod prawdziwego łowiczanina".

Stefan Pągowski z iście dedektywistyczną pasją tropi ślady związków Noakowskiego z „gniazdem pelikanów" a przy okazji odsłania życie w minionych latach w mieście, klimat gorącego patriotyzmu promieniującego z domów Konopackich, Przyrembów, Oczykowskich, Markowskich i wielu innych. To budzi szacunek i zobowiązanie... Nie dziwi więc idea wybudowania w Łowiczu pomnika Noakowskiego, gdzie jest już eksponowana część jego prac.

Tych „słów kilkoro" nie jest recenzją dorobku Stacji Naukowej MOBN w Łowiczu, jest zobowiązującą powinnością wobec ambitnych przedsięwzięć i dalekich planów badawczych osób skupionych wokół Stacji, tym większa, że podjęli je w pierwszym rzędzie nie tyle fachowcy co pasjonaci. Nie umniejsza to w niczym fachowości tych badań, przeciwnie wzbogaca je o element szczerej emocji. Subiektywizm jako element metodologiczny — mimo, że posiada wielu oponentów — spełnia nierzadko twórczą rolę w badaniach. W każdym razie w Łowiczu o związkach z przeszłością i tradycjami miasta oraz o spadku po minionych pokoleniach mówią z dumą i satysfakcją w słowach serdecznych. Może właśnie w tym jest cząstka tajemnicy, że jeżeli ktoś otrze się o to miasto pozostanie z nim związany na długo.

WIESŁAW JAN WYSOCKI

ZBIGNIEW DOMINO

KOCHANIE TY MOJE, KOCHANIE

Czy naprawdę można się tak zakochać — jak to się mówi — „od pierwszego wejrzenia"? Widocznie można, skoro Staszkowi to się właśnie zdarzyło. Zresztą wystarczyło obserwować młodego sierżanta od momentu, kiedy tę dziewczynę w Nowej Wsi ujrzał po raz pierwszy. Wlepił w nią wzrok jak w nieziemskie zjawisko i w tym oszałamiającym zdziwieniu trwał dopóki nie opuścili gościnnego domu Kucybałów. On, który — mimo młodego wieku — w każdej sytuacji umiał się znaleźć i za słowem do kieszeni nie musiał sięgać — tutaj nagle, przy stole, jąkał się i plótł od rzeczy, bladł i czerwienił się na przemian, nie bardzo umiał sobie poradzić z nożem i widelcem. A co w tym wszystkim najdziwniejsze — zyskał, też chyba od pierwszego spojrzenia — niewątpliwą wzajemność dziewczyny. Wanda także oczu ze Staszka nie spuszczała, śledziła każdy jego ruch, usługiwała mu na wyprzódki i starała się ugościć go jak najlepiej. Spodobał jej się ten czarniawy, krępy, ładnie zbudowany chłopak, z twarzą pełną rzewnej zadumy i łagodności. I ta mowa jego dziwna jakaś, choć przecież polska, bardziej miękka, melodyjna, znacznie różniąca się od tej, którą od najwcześniejszego dzieciństwa uczyli Wandę władać jej rodzice...

Życie, jak to życie. Skończył stary Kucybała opowieść tragiczną, ale przecież gości miał przy stole. A stół, dom i obyczaj — polski. Nalał więc do kieliszków raz, drugi. Opowiedział coś Braun, zażartował Gorzela. I potoczyła się rodaków rozmowa, jak to zwykle przy biesiadnym, gościnnym stole. Staszek wstał od stołu pod pretekstem, że musi pogrzebać przy motorze. Stał na schodach ganku, patrzył na morze widoczne stąd aż hen po półokrągły horyzont, zachwycał się tym widokiem, ale w duchu niczego tak w tej chwili nie pragnął, jak tego, żeby Wanda wyszła za nim. Drgnął, kiedy usłyszał jej głos.

— Kiedy słoneczko tak czerwono zachodzi, to jutro będzie sztorm.

— U nas mówią, że na wiatr.

Dziewczyna stała tuż obok niego. Sięgała mu do ramienia. Wyraźnie zarysowany, wysoki biust falował pod sukienką. Patrzyła na Staszka z bezpośredniej bliskości i teraz dopiero mógł dostrzec jakie te jej wielkie oczy były błękitne. Twarz miała jedwabiście gładką, rzęsy długie, trzepoczące, nos zgrabny, usta ładnie wykrojone, różowe, drobne białe zęby.

— A pan z daleka?

Zrozumiał, że pyta go o to z jakich stron Polski pochodzi. Uśmiechnął się, bo uświadomił sobie nagle, że nie potrafi dać na to pytanie krótkiej, jednoznaczenej odpowiedzi. No bo urodził się w rzeszowskim, mieszkał przed wojną na Podolu, a teraz wraca z wojskiem aż z Sybiru.

— O, tak. Aż z drugiego krańca Polski, ze wschodu.

— Tak sobie pomyślałam.

— Dlaczego?

— Mówi pan jakoś inaczej. — Bo na przykład pański kolega, ten starszy, blondyn...

— A, Braun!

— Tamten mówi tak jak u nas, w domu.

— Bo on pochodzi z Zachodu. Konkretnie ze Śląska. Ale pani mówi bardzo dobrze po polsku. A przecież żyła pani wśród Niemców.

— Jeśli tak jest naprawdę, to przede wszystkim zasługa mojej mamy. W naszym domu nie śmiało paść niemieckie słowo. Zawsze rozmawialiśmy między sobą tylko po polsku.

— Ale po niemiecku pani umie?

— Umiem, oczywiście.

— A ja ani w ząb. Tylko „hande hoch!"... Muszę zajrzeć do tego motoru, bo coś mi za bardzo kicha.

Staszek powiedział o tym motorze, ot tak, żeby tylko coś powiedzieć. I to „hande hoch", też ni przypiął ni przyłatał mu się wyrwało. No bo zamiast powiedzieć dziewczynie coś miłego, próbować ją jakoś zbliżyć do siebie, obłaskawić — takie puste gadanie. Ale też nic nie mógł poradzić na to, że ta jej bliskość tak go speszyła. A przecież był uradowany, że dziewczyna wyszła za nim, tak jak sobie to wymarzył, że stała tuż obok niego, że z nim rozmawiała. Zeskoczył ze schodów, przykleknął obok motocykla i udawał, że coś tam naprawia. Wanda podeszła do niego.

— Coś poważnego?

— E, chyba nie. Zresztą zaraz spróbujemy zapalić.

Kopnął starter. Raz. Drugi. Motor zajazgotał, aż dym poszedł z rury wydechowej. Ujął gazu i wskoczył na siodełko.

— Przejedzie się pani?

— Oj, bardzo chętnie. Tylko nie za prędko!

— Niech się pani nie boi!

Wystartował jak pocisk. Brama. Droga. Wzgórek z wioską. Migają przydrożne drzewa. Wiatr prosto w twarz. Co za dziewczyna! Staszek chciałby śpiewać ze szczęścia. Zerka co jakiś czas na Wandę. Siedzi w przyczepie rozemocjonowana, zarumieniona, uśmiechnięta. Co za dziewczyna mu się trafiła! Jechać by z taką, choćby na koniec świata. Ale trzeba wracać. Zwrot. Pęd. Wieś. Brama. Podwórko. Szczęśliwe, błyszczące oczy dziewczyny. No i zakochał się Rodak. Na zabój.

Kiedy wracali do Zielonego, zrobił się już wieczór. Podochoceni wódeczno-ścią Braun i Gorzela, a zwłaszcza ten ostatni — zaczęli sobie ze Staszka pokpiwać. Darli się, przekrzykując warkot motoru.

— Ale lepszy numer z tego naszego Stasia, co?

— A ty co myślałeś? My tam starych zabawiamy, politykę uprawiamy, a nasz pan sierżant córeczkę sobie obmacuje.

— Sam bym ją pomacał. Dziewuszka, że ho, ho!

— Taką by sobie do łóżeczka wypożyczyć.

— Nie nudziłby się człowiek.

— A pomacałeś se Stasiu przynajmniej?

— To ty go, bracie, jeszcze nie znasz! On tylko z pozoru na takiego prawiczka wygląda. A jak babe dorwie, to ho, ho!

— Nawet tej stuknię tej Klarze nie przepuścił...

Staszek zahamował tak gwałtownie, że obydwaj wesołkowie cudem tylko nie wylecieli jak z katapulty.

— Co jest?

— Zwariowałeś, czy co?

Staszek milczał chwilę, a potem wysyczał przez zaciśnięte z wściekłości zęby.

— Złazić mi z motoru. Ale to już!

— Co cię znowu ugryzło?

— Nie wygłupiaj się, Staszek! Co, na żartach się nie znasz?

— Nie lubię takich żartów. Bo dla was, a zwłaszcza dla ciebie, Felek, to nie ma nic świętego. A jak mi jeszcze raz zechcecie takie świństwa wygadywać, to zobaczycie.

— No dobrze już, dobrze. Przecież to były tylko żarty...

Klara, Wanda... Nie były to pierwsze dziewczyny w Staszkowym życiu. Gdyby tak ktoś posiadł zdolność przenikania ludzkich myśli, ten by wiele na ten temat mógł powiedzieć, bo sam Rodak nie lubił o tym rozmawiać i ze stanu swoich uczuć nie zwierzał się nikomu. No, może jeszcze tylko Wania Woronin był w niektóre drgnienia Staszkowego serca wtajemniczony, ale też nie we wszystkie bo na przykład o Darii raczej na pewno nic nie wiedział. A była przecież, jeszcze tam na Podolu, czarnobrewa Natalka, Kasia z bazy nad Pojmą, Gala z sowchozu czy Tania z Miasta, do którego ze stadem przywędrowali i skąd wkrótce na front podążyli. Były jeszcze, wspomniana już Daria i Danka, telefonistka, kobiety dojrzałe, z życiem obyte, w pełni świadome swoich możliwości i przewagi nad nieco jeszcze wstydliwym ale żądnym wrażeń i ciekawym życia młokosem...

„Na Podolu biały kamień. Podolanka siedzi na nim"... Niedaleko od ich domu rósł niewielki akacjowy zagajnik. Dzikiej wiśni też tam było sporo. A od tego zagajnika, zbiegało się na łeb na szyję, stromym zboczem głębokiego, kamienistego jaru, do małego, bystrego strumyka. Woda była czysta, przejrzysta i źródlana, zimna. W zakolach, zatoczkach podkamiennych, gdzie słoneczko przyświeciło, można było przyglądać się zwinnym, kropkowanym pstrągom. Można też było brodzić po kamienistym dnie, chlapać się wodą, a od biedy nawet wykąpać. Staszek lubił biegać do jaru, moczyć nogi, rzucać bezmyślnie kamieniami. Czasem odwiązywał z łańcucha Trota i brał go ze sobą. Pies gonił uradowany, turlał się razem ze Staszkiem ze stromego zbocza, przypadał do wody i chłeptał ją długo, łapczywie i smakowicie. Potem każdy z nich zajmował się swoimi sprawami. Pies najczęściej leżał w cieniu, drzewa i kłapał leniwie paszczęką, kiedy jakaś zbyt natrętna mucha sadowiła mu się na nosie. A Staszek łaził, gapił się, zbierał kamienie. Podolskie późne lato trwało w pełnej krasie. Staszek został nieco w tyle, coś tam w zagajniku go zainteresowało. Trot skoczył do jaru pierwszy i od razu zajazgotał, zaniósł się wściekłym ujadaniem. Potem zaraz jakiś krzyk i paniczne gwałtowanie gęsiego stada.

— Trot! Trot, do nogi! Słyszysz? Puść!

Pies buszował w środku taplającego się w wodzie gęsiego stada, aż pierze fruwało. Na drugim brzegu, po wielkim głazie, dreptała zrozpaczona gąsiareczka, wymachiwała patykiem i wykrzykiwała po ukraińsku.

— A idy ty, czornyj ditko! Szczeb tebe łycho...

Staszek przywołał psa, który zresztą i tak już rejterował z niesławnie podwiniętym ogonem przed atakiem syczącego jak parowóz i łomoczącego skrzydłami gąsiora. Gęgotanie ustawało. Gąsiareczka uspokojona takim obrotem sprawy, przyglądała się spod oka Staszkowi, a on się jej przyglądał. Pierwszy raz ją widział. Przypuszczał, że dziewczynka mieszka po przeciwnej stronie jaru, w samotnej białej chacie otoczonej łanami kukurydzy i rozległym, starym sadem. Była jego rówieśnicą. Czarne długie warkocze. Smagła, żywa twarz. Biała lniana bluzka, spódniczka w kwiatki i bose stopy. Nie umiał jeszcze po ukraińsku, nie wiedział jak do niej zagadać. Więc powiedział ot tak, w ogóle, byle coś powiedzieć.

— On nie ugryzie — wskazał na Trota. — Nie bój się.

— A ja się go wcale nie boję. Bałam się tylko, że mi gęsi podusi. Dopiero by mi mama dali. — Dziewczynka mówiła po polsku.

— Tam mieszkasz? — Staszek pokazał na brzeg.

— Uhm. A ty na koloniі?

— No. A jak ci na imię?

— Natalka.

— A mnie Staszek. Nie widziałem cię tu nigdy.

— Przyganiam tu gęsi do wody, prawie codziennie. A ja już ciebie widziałam!

— Gdzie, kiedy?

— A jak raz w niedzielę szliście wszyscy do Trustego. Pewnie do kościoła. Tutaj też cię widziałam, jak ryby łapałeś. Tylko, że u nas tak się nie łapie. Pod kamieniami trzeba ich szukać. Jak chcesz, to ci pokażę?...

Pewnie, że chciał. Odtąd często spotykali się z Natalką w jarze, nad strumykiem. Razem brodzili — szukali ryb pod kamieniami, obgryzali koczany młodej kukurydzy i wysysali słodki czerwony miąższ z ogromnych arbuzów. Była Natalka, no i była. Równie dobrze mógłby na jej miejscu być chłopak. Dość długo nie interesowała go jako dziewczyna. A jednak to właśnie ta czarnobrewa, smagła i zwinna mała Ukrainka sprawiła, że pewnego dnia Staszek popatrzył na nią jak mężczyzna na kobietę. Łazili po strumyku, gonili się, chlapali wodą. Natalka upadła, bystry strumyk zadarł jej do góry sukienczynę. Łysnęło nagie ciało. Takie tajemne miejsca, których się przecie zwyczajnie nie widzi. Wrzasnęła ze strachu czy z zawstydzenia. A jemu zaschło w gardle. Podbiegł, żeby jej pomóc wstać. I zupełnie nieświadomie ujął ją tak, że jego dłonie spoczęły na dziewczęcych twardych i żywych jak sprężyna piersiach.

— Pusty mene. Ot durnyj! — Wyrwała się, wyskoczyła z wody i z chyżością ogromną zaczęła się wdrapywać na stromy brzeg jaru.

— Natalka! Dokąd ty, zaczekaj...

Nie zaczekała. A przez parę dni — zagniewana albo zawstydzona — nawet nie przychodziła do strumienia. Staszek nosił w oczach obraz jej smagłego ciała i myślał sobie, że on musi się z tą Natalką ożenić. Potem, już później nawet jej to kiedyś powiedział. Bo taka była śliczna w tym swoim, obszytym koralikami i wstążkami — kolorowym ukraińskim stroju ludowym. Siedziała na kamieniu i łuskała słonecznik.

— Chcesz? — Wyciągnęła połówkę, wielkiego jak patelnia, gruboziarnistego słonecznika.

— Chcę. A wiesz jeszcze czego chcę?

— No?

— Chcę się z tobą ożenić!

Spłonęła jak mak i roześmiała się na głos.

— Ot durnyj ty, Staś. Bih me, jakij ty durnyj. Chodź lepiej popatrzymy jak na wieczorynce tańcują.

Wstała i podała mu dłoń: małą, ciepłą, przyjazną. Często potem wspominał, a zresztą wspomina po dziś dzień ciemnobrewą Natalkę, z którą chciał się ożenić, ale której nie zdążył nawet pocałować... Pocałował natomiast Kasię. W usta. Tak jak całują się kobieta i mężczyzna, nie na powitanie czy pożegnanie, ale dla samej przyjemności całowania. Kaśka była Staszkową rówieśnicą. Niziutka, pulchniutka, z zadartym nosem i wiecznie śmiejącymi się, lekko przymrużonymi ślipkami. Kasztanowe włosy zaplątała w dwa kuse warkoczyki przewiązane wstążką. Nigdzie długo miejsca nie zagrzała, sto pomysłów miała na godzinę i śmiała się z byle czego, jak głupia do sera. Ot, taki sobie trzpiot i fryga. Ale Staszek ją lubił. Nawet bardzo. Nad Pojmą mieszkali w tym samym baraku. Umarła matka. Ojciec wyjechał na spław. Staszek chodził do roboty, żywił się w stołówce, do baraku wracał późno, walił się na pryczę i od razu zasypiał. Któregoś ranka przebudził się, miał świadomość, że zaspał, spóźnił się do pracy. Spróbował wstać, ale nagle zakręciło mu się w głowie, uderzyło weń gorąco i słabość go taka wielka opanowała, że runął z powrotem na posłanie. Nie wiedział jak długo tak leżał, pamięta tylko, że trawiło go straszliwe pragnienie, ale o własnych siłach nie mógł dowlec się do stojącego w kącie wiaderka z wodą. Trwając w takim stanie — męczącym półśnie, uświadomił sobie nagle, że pochyla się nad nim Kasia. Dała mu wody. Coś mówiła. Sprowadziła felczera. Płakała. To znów się śmiała. Karmiła go jakąś zupą, łyżeczką, jak niemowlaka. A kiedy po nagłej gorączce, która paliła go żarem jak w chlebowym piecu, równie nagle zaczynało go tłuc takie zimno, że trudno to sobie nawet wyobrazić, wtedy Kasia — mimo, że to wiosna — rozpalała w piecu, otulała go czym tylko mogła i poiła gorzką jak piołun, ale za to gorącą herbatą przyrządzoną z malinowych łodyg. Felczer powiedział, że był to nagły atak malarii. Staszek wyzdrowiał. Ale był bardzo osłabiony. Wychodził przed barak, albo parenaście kroków dalej, na stromy brzeg Pojmy, siadał i wygrzewał się na słoneczku. Kasia, jak tylko uporała się z domowymi kłopotami i dwójk młodszego rodzeństwa, przychodziła i siadała obok. Patrzyli na mijającą ich wodę, milczeli, albo gadali sobie o różnych sprawach. Najczęściej jednak o Polsce: kiedy wreszcie do niej wrócą i jak tam będzie. Przypominali sobie sady, kukurydzę i grzędy pełne soczystych kawonów. Wrócił ojciec. Przyniósł ze spławu ogromną zasoloną czerwoną rybę i dwa bochenki chleba. Staszek wyprosił jeden dla Kasi. Kawałek ryby też. Szybko nabierał sił. Wrócił do roboty. Kaśka jak to Kaśka: siedziała w baraku i użerała się ze swoimi maluchami. Którejś niedzieli, a tylko niedziele Kasia miała wolne, bo dzieciakami zajmowała się matka — wybrali się razem na „kłubnikę", dzikie truskawki, które słodkością, a nawet wielkością nie ustępowały ogrodowym. Staszek, wracając z roboty, wypatrzył taką pełną jagód łączkę. Nie trwało długo jak napełnili bańki i objedli się kłubnika do niemożliwości. Zmęczony upałem Staszek rzucił się w wysoką trawę, gapił na baraszkujące po niebie białe, grzywiaste obłoczki. Kasia na chwilę straciła go z oczu. Zawołała raz, drugi, Staszek się nie odzywał, postanowił ją nastraszyć. Odezwał się dopiero, kiedy głos dziewczyny zaczął się oddalać i drżeć płaczliwie. Przybiegła, usiadła boko niego i zaczęła mu czynić wymówki. Przekomarzali się, żartowali. Dziewczyna położyła się obok. Śmiała się, coś tam plotła. Dobrze było. Potem, obydwoje równocześnie, spostrzegli, niemal na wyciągnięcie ręki od nich, krzak jagód dorodny i nieprawdopodobnie gęsty.

— Mój! — krzyknęła Kasia.

— Mój! — wrzasnął Staszek.

Nie wstając z trawy na wyprzódki, szorowali brzuchami w stronę truskawek, przepychali się, śmiali, usiłując je zlowić ustami. I wtedy właśnie ich wargi zlączyły się pachnącym wilgotnym, słodkim jagodowym sokiem. Oczy. Nos. Usta. Ciało dziewczyny na chwilkę jakby zwarło się w sobie, zesztywniało. Nie pamięta jak to się stało, ale tulił ją w ramionach, całował. Jej usta poruszały się wciągały jego wargi, zęby stuknęły o zęby. I nagle, jakby się obydwoje tego zawstydzili. Puścił dziewczynę. Leżeli obok siebie w gęstej trawie, w milczeniu patrzyli w niebo i tylko szybkie, głośne oddechy zdradzały ich podniecenie i zakłopotanie... Śmiesznie to wyglądało, i strasznie dziecinnie, bo potem przez kilka dni unikali się nawzajem. Ale Kasia nie byłaby Kasią. Kiedy wieczorem siedział nad brzegiem Pojmy, podkradła się z tyłu, zasłoniła mu rękami oczy, szepnęła „a kuku" i... pocałowała go w usta! Od tamtej chwili zwariowali na punkcie tego całowania. Wystarczyło, że tylko znaleźli się sam na sam a już brali się w ramiona. No, ale tyle tego wszystkiego. Na żadne inne pieszczoty Kaśka nie zgadzała się za żadne skarby świata. A potem nagle wyjechała; jej ojciec zabrał rodzinę i jak wielu Polaków pojechał szukać lepszego miejsca, gdzie by się lżej żyło i było stamtąd bliżej do Polski.

(Dokończenie w numerze następnym)

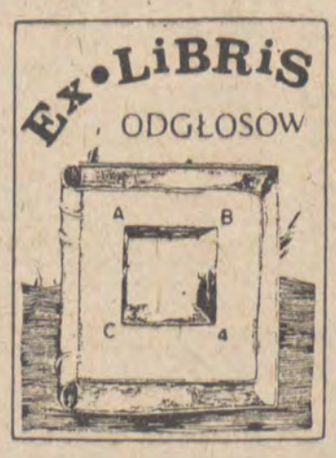

STACHU — JEGO KOBIETY I JEGO DZIECI

Książce Krystyny Kolińskiej „Stachu — jego kobiety i jego dzieci", opublikowanej przez Wydawnictwo Literackie, można wróżyć ogromne powodzenie wśród czytelników. Twórczość Stanisława Przybyszewskiego nie ekscytuje nas już tak bardzo, jak współczesnych mu odbiorców, dla nas jest bardziej interesujące jego życie, a także losy kobiet, z którymi się wiązał, losy jego sześciorga dzieci.

We wstępie do swojej książki K. Kolińska tak pisze: „Stanisław Przybyszewski — „smutny szatan", inspirator zła, czy „człowiek o ewangelicznej dobroci i gołębim sercu"? Ofiara dziedziczności czy własnych zaprogramowanych chuci?... (...) Jaki był? I dlaczego właśnie taki? Czym fascynował? Czym oburzał?... To wszystko właśnie interesowało mnie od dawna. Twórczość: eseje, dramaty, powieści wciągały mnie o tyle, o ile wiązały się z życiem Przybyszewskiego i życiem ludzi, z którymi zetknął go los. Powstawały bowiem te jego utwory z tworzywa własnych przeżyć i rojeń".

Biograficzna opowieść Kolińskiej oparta jest o dokumenty, z których część była już publikowana. Część natomiast po raz pierwszy ogłoszona jest drukiem. Autorka dotarła do dzieci Stanisława Przybyszewskiego, dotarła także do ludzi, którzy mogli uzupełnić o nowe szczegóły tę opowieść o dramatycznych losach pisarza i jego najbliższych.

Krystyna Kolińska, „Stachu — jego kobiety i jego dzieci", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978, str. 313, cena zł 40,—

ZAMACH NA HEYDRICHA

Wszelkie publikacje na temat drugiej wojny światowej cieszą się dużym powodzeniem. Wynika to między innymi z tego, że dla wielu z nas jest to ciągle świeży w pamięci okres, który chciałoby się poznać lepiej, aby zrozumieć, jak mogło dojść do tak ogromnej totalnej zbrodni, jaką na ludzkości popełnili hitlerowcy. Dla innych — jest to już historia, która interesuje tak, jak interesują inne okresy historyczne, tak jak dla pokolenia z lat trzydziestych historią tylko była pierwsza wojna światowa.

Dla tych, którzy interesują się naszą najnowszą historią, jej różnymi dziedzinami, polecamy książkę Miroslava Ivanova pt. „Zamach na Heydricha". Może najpierw kilka słów o samym Reinhardzie Heydrichu. Był to generał SS i policji, współtwórca reżimu policyjnego w okupowanej Europie. Był ulubieńcem Hitlera. Od 1932 roku pełnił obowiązki szefa służby bezpieczeństwa SD. To on między innymi zorganizował „noc długich noży", kiedy to SS rozprawiło się z grupą E. Röhma. W 1936 roku jako, szef służby bezpieczeństwa SD, został też szefem policji bezpieczeństwa III Rzeszy, a w 1939 roku szefem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Był współtwórcą obozów koncentracyjnych i organizatorem masowych mordów popełnianych na przeciwnikach hitlerowskich Niemiec i hitleryzmu. W marcu 1942 roku został zastępcą protektora Czech i Moraw. Zginął 27 maja 1942 roku w Pradze, w czasie zamachu zorganizowanego przez czeskich żołnierzy ruchu oporu, spadochroniarzy zrzuconych w tym celu przez samoloty alianckie.

Książka opisująca zamach na Heydricha jest bogato udokumentowanym studium, ale czyta się ją jak senacyjną powieść, pełną napięcia, niespodziewanych sytuacji, nieoczekiwanego zakończenia, bo choć zamach się udał, bohaterzy zginęli. Ten epizod drugiej wojny światowej Miroslav Ivanov pokazuje w relacjach współuczestników, w świetle dokumentów, w opowieściach ludzi, którzy osobiście zetknęli się z opisywanymi wydarzeniami.

Miroslav Ivanov — „Zamach na Heydricha", tłumaczył Piotr Godlewski, Książka i Wiedza, Warszawa 1978, str. 456, cena zł 50,—

WOJNA W BUŁGARII

Bułgaria rysuje się wielu nam jako kraj piękny, trochę dziki, ale istny raj dla turystów. I Bułgaria organizując turystykę, czerpie z niej pokaźne dochody. Ale przecież kraj ten, tak licznie nawiedzany przez turystów z różnych części Europy, ma bogatą, bo trzynaście wieków liczącą historię. Była to historia dramatyczna. Pozostały po niej liczne pamiątki, ale pozostała też pamięć. Bolesna pamięć zmagań Bułgarów z turecką niewolą, walki wyzwoleńczej, udziału w wojnach światowych. Pewne pojęcie o przeszłości narodu bułgarskiego daje wybór opowiadań pisarzy bułgarskich, który się niedawno ukazał na półkach księgarskich.

„Miłosierdzie Marsa" — choć z pozoru, a właściwie z tytułu, może sugerować opowieść z gatunku „SF", czyli fantastyki naukowej — jest zbiorem opowiadań wojennych. Są to opowiadania najcelniejsze, poświęcone tematyce wojennej, ukazującej Bułgarów w obliczu wojny, ukazujące losy ludzi uwikłanych w historię, losy uwarunkowane procesami dziejącymi się ponad jednostką, niezależnie od jednostki, a jednocześnie pokazujące, że człowiek stara się nie być obojętnym wobec tego, co się wokół niego dzieje.

Opowiadania zebrane w „Miłosierdziu Marsa" dzieją się w ostatniej ćwierci XIX wieku i w pierwszej połowie XX wieku. Jest to okres dla Bułgarii bardzo ważny. Bułgaria w tym czasie kształtuje się jako samodzielne państwo, ale też ten proces nie przychodzi łatwo, naród bułgarski nadal poddawany jest różnorakim cierpieniom. Lektura „Miłosierdzia Marsa" pozwala lepiej zrozumieć bułgarską historię, trudną i skomplikowaną, którą warto poznać.

„Miłosierdzie Marsa" — opowiadania bułgarskie, wybrała Hanna Karpińska, przekład: Marzenna Ilieva, Halina Kalita, Hanna Karpińska, Helena Madany, Ewa Sawicka, Wydawnictwo MON, Warszawa 1978, str. 318, cena zł 20,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

POWIEŚĆ Z „KLUCZEM"

Ostatnio głośna stała się powieść, w której znajdziemy fragmenty utworów Zofii Nałkowskiej oraz jej — dość wyrazisty — portret, zakamuflowany oczywiście fikcyjnym nazwiskiem. Książka jest kontrowersyjna — jedni krytycy występują ostro przeciwko metodom pisarskim autora powieści „z kluczem", inni — utwór oceniają raczej dobrze.

Nie wiadomo tylko, jak ową powieść oceniają najbliżsi: rodzina i przyjaciele Zofii Nałkowskiej. Jak by to wyglądało, gdyby zaskarżono autora powieści „z kluczem" — pokazała nam telewizja w programie „Przed sądem". Metodę zastosowano identyczną co biograf Nałkowskiej. Nie pada ani razu to nazwisko, nie pada nazwisko pisarza, którego uosabia niejaki Marcin Bielski (tylko inicjały się zgadzają), powództwo wnosi wyimaginowany syn pisarki, jak wiadomo Nałkowska nie miała dzieci...

A zatem dokonano kamuflażu, udowadniając jednocześnie, że taki kamuflaż nic nie kamufluje. Zarówno w powieści, jak i w programie.

Do całej sprawy nie mam stosunku emocjonalnego. Nałkowskiej nie znałem, za jej pisarstwem nie przepadam, ceniąc prawdziwie i wysoko tylko „Dzienniki czasu wojny"... Autora powieści „z kluczem" nie znam również, jego powieść uważam co prawda za interesującą, choć myślę, że żywcem przepisane fragmenty z twórczości Nałkowskiej raczej jej zaszkodziły.

Zastanawiam się zatem nad tą sprawą bez emocjonalnych obciążeń i uważam, że wszystko jest tu bardzo typowe. Historia literatury roi się przecież od procesów, pojedynków, awantur, wywołanych wtargnięciem pisarza w życie ludzi, którzy nie mogą się pogodzić z myślą, że ktoś bierze ich dom, stosunki rodzinne, charaktery, nałogi za surowiec dzieła sztuki. Jan Parandowski twierdził, że pisarz ma w sobie coś z kłusownika, z włamywacza, złodzieja.

Oczywiście nikt nie lubi, gdy mu ktoś wdziera się w prywatne życie. Ale... Przecież taki niepodważalny autorytet, jak przywołany tu Jan Parandowski pisze: „Pisarz nie powinien i nie może liczyć się z takimi uprzedzeniami. Są środowiska, domy, typy, mentalności tak skomponowane przez samo życie, że wyrzec się ich w imię grzeczności lub dyskrecji byłoby takim samym absurdem, jak dla uczonego wyrzec się odkrycia nieznanej cząstki materii przez szacunek dla tajemnicy stworzenia".

No, właśnie! „Mentalności skomponowane przez samo życie...". Wydaje się, że taką niecodzienną mentalność miała właśnie Nałkowska. I wyziera to przecież bardziej z jej życia i z jej — opublikowanych po śmierci — dzienników niż z jej twórczości. Czemu więc jej życie nie może być tworzywem utworu literackiego?

Myślę, że może być i właściwie dziwne, że nikt dotąd o taką próbę się nie pokusił. Kiedy jednak ową próbę podjęto — podniósł się krzyk. Zdaje się, że sam autor powieści „z kluczem" sporo tu zawinił. Owe „plagiatorskie" wtręty przydają książce posmak skandalu, a przecież są zupełnie niepotrzebne, nie pełnią w powieści żadnej istotnej funkcji. Poza skandaliczną — oczywiście.

Zaszkodziło to książce także i dlatego, że teraz krytycy popisują się erudycją, obliczając ile to razy, w którym miejscu i z jakiej książki Nałkowskiej pochodzi fragment powieści „z kluczem". Mamy zatem zamiast analizy i oceny — listy cytatów i wykazy intymnych, poufnych spraw, jakie znalazły się w książce.

Henry Bars, w swojej głośnej „Siódmej zasłonie literatury" pisze: „Rzeczy prawdziwie poufne, to nie te, o których nie powinno się mówić, ale te, które nie dadzą się wypowiedzieć...". I tu jest — jak sądzę — problem. Czy autorowi powieści „z kluczem" udało się wypowiedzieć prawdę o indywidualności, jaką była Nałkowska — czy też nie. Nie jest natomiast problemem czy wolno mu było tę próbę podjąć.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

MAREK WAWRZKIEWICZ

Warszawie postawił tyle koniaków,
Że bić się o niego ma pono sam Kraków.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

SZYFR

Pan w „Wieczorze z Dziennikiem" zapewniał, że społeczeństwo żywo interesuje się tym, o czym dyskutuje się na posiedzeniach KSR. Jeśli pan z telewizji tak utrzymuje, to niewątpliwie tak musi być. Tym bardziej, że w dyskusji na KSR rozważa się najlepsze sposoby takiego postępowania w fabrykach, aby na rynku pojawiło się więcej lepszych i różnorodnych towarów. Jako klient oczekuję tych towarów i każdy z nas ich oczekuje. Każdy chciałby bowiem coś sobie kupić, a często to, na co oczekuje, akurat nie pokazuje się na rynku.

Na przykład pewna moja znajoma przez kilka miesięcy w 1978 roku szukała salaterek fajansowych z Włocławka. W końcu kupiłaby już salaterki każdego wytwórcy, tylko ich nie było. Pojechała nawet do Włocławka, bo sądzia, że może tam w sklepie fabrycznym łatwiej dostanie salaterkę, ale też nie dostała. Salaterki owszem pokazywały się na rynku, ale w kompletach z talerzami, czyli w serwisach, a serwis mojej znajomej nie interesował, bo już go miała.

Kiedy więc zobaczyła w gazecie informację o obradach KSR we włocławskich Zakładach Ceramiki Stołowej, popularnie zwanych „włocławskim fajansem", rzuciła się gwałtownie, gdyż ciekawa była, czy oni wiedzą, że ludzie szukają salaterek luzem, a nie w kompletach i czy te salaterki będą produkowali. Ale dowiedziała się tylko, że „nastąpi 16-procentowy wzrost produkcji, która osiągnie wartość 475 mln zł" oraz o tym, że „zastanawiano się przede wszystkim nad tym, co należy zrobić, by poprawić jakość produkowanych wyrobów". A przy tym okazało się, że już w poprzednich latach też się nad tym zastanawiano, że opracowano programy, które nawet realizowano, ale „wiele zamierzeń pozostało w sferze projektów". I moja znajoma nadal nie wie, co postanowiono w sprawie salaterek.

Mnie na przykład bardzo interesowałoby w relacji z Zakładów im. M. Kasprzaka w Warszawie to, co oni tam zamierzają w sprawie „Notesu". Ma to być taki podręczny magnetofon, przeznaczony do „notowania głosem". Prototyp, czy egzemplarze serii pilotowej, pokazano w Poznaniu w 1978 roku. Ale na rynku ma się on ukazać w 1979 roku. Bardzo mnie to ciekawi, kiedy to się stanie, w jakich wielkościach i czy będę mógł kupić sobie „Notes" normalnie, czy trzeba będzie wyrobić odpowiednie chody.

Każdego coś interesuje, bo każdy jest klientem. A na posiedzeniach KSR decydują się niekiedy losy naszych przyszłych transakcji. Tylko, że o tym na ogół nie pisze się w sprawozdaniach. Jeśli w sprawozdaniuz KSR w Zakładach Przemysłu Meblarskiego im. Gwardii Ludowej w Radomsku piszą mi, że „główne trudności w realizacji rosnącego o 10 proc. planu produkcji (...), poza kłopotami surowcowymi i energetycznymi, wynikają ze struktury zatrudnienia", to ja nic z tego nie rozumiem i zupełnie nie wiem, ile i czego „Radomsko" da na rynek w 1979 roku.

Pisanie o posiedzeniach KSR nie jest łatwe, między innymi i dlatego, że mówi się tam wiele o sprawach organizacyjnych, że mówi się wewnętrznym szyfrem, skrótami, które dobrze rozumie się, bo się nimi operuje na co dzień. Są to sprawy wewnętrzne fabryki, gałęzi przemysłu. Ale rezultaty tej rozmowy mają znaczenie społeczne, jako, że wielkie społeczne znaczenie ma produkcja na rynek. Warto więc wyjść poza wskaźniki i pokazać czytelnikowi, radiosłuchaczowi czy telewidzowi, co z tego dla niego wyniknie.

W ubiegłą sobotę wysłuchałem w południe w programie I audycji poświęconej fabryce odzieżowej „Cora". Skądinąd wiem, że „Cora" ubiera kobiety, ale już nie wiem dokładnie w co je ubiera. Z 20-minutowej audycji też tego się nie dowiedziałem. Poza tym, że ostatnio szyją dużo z czystej bawełny, że jest to bardzo trudna praca, bo bawełna się gniecie, ale z tej bawełny szyją na eksport. No i o tym, że mają kłopoty, bo załoga kobieca, a miejsc w żłobkach mało, a dzieci chorują, no i jeszcze o tym, że krawcowa to niby taki prosty fach, ale uczyć się trzeba długo, a młodzi chcą prędko dojść do dobrych wyników. Tylko, co klientki w sklepach odzieżowych otrzymają od „Cory", tego nadal nie wiem. Może i dobrze, bo mnie to nie interesuje, ale nie ja jeden słucham radia.

Czasem mam takie wrażenie, że o posiedzeniach KSR pisze się dla władz zwierzchnich, to znaczy dla zjednoczeń i ministerstw. Ich to się za pośrednictwem prasy, radia i telewizji zawiadamia o tym, jak ta czy inna fabryka poradziła sobie z otrzymanymi zadaniami. Ale władze te dowiedzą się o tym normalną, służbową drogą. Natomiast społeczeństwo, o którym mówił pan z telewizji, warto byłoby poinformować trochę o towarach, jakie im przygotowuje przemysł i jakie w rezultacie dyskusji na KSR znajdą się na rynku. Przecież społeczeństwo jest adresatem i pracy przemysłu i informacji o tej pracy.

MARCIN RODAK

SPORT

W RÓŻNEJ SKALI

Muszę się przyznać, że nie pasjonują mnie rajdy samochodowe. Do Monte Carlo daleko, podróż droga, a i pora na wyjazd na Riwierę nie najlepsza. Jeśli więc nie można oglądać walki na ostatnim etapie tego rajdu, to cała impreza staje się trochę mityczna i nabiera magicznego sensu. Udział w tej imprezie staje się swego rodzaju obowiązkiem. Wypada bowiem, aby i nas w Monte Carlo widziano. Inna sprawa, czy nas tam zapamiętają.

W tym roku w rajdzie Monte Carlo wzięły udział „Polonezy". Ze względu na rozmiary produkcji „Polonezów" sklasyfikowano je jako prototypy w grupie IV. Nie była to dla nas najlepsza grupa, gdyż znalazły się w niej takie wozy jak „Renault Turbo", „Fiat Abarth", „Lancia Stratos", „Ferrari", wozy specjalnie przygotowane do rajdu. Wprawdzie nasze „Polonezy" też do rajdu przygotowano, ale nie jest to przecież wóz tej klasy, co wyżej wymienione. Z tego też powodu od razu założono, że „Polonezy" pojadą w rajdzie Monte Carlo tylko po to, aby do Monte Carlo dojechać i jak ktoś to złośliwie zauważył, aby w rezultacie załogi mogły wziąć udział w finałowym balu.

Wiadomo, że we wszelkiego tego typu rajdach rywalizują między sobą wytwórnie samochodów i że są to wytwórnie, które w takiej rywalizacji specjalizują się. Natomiast zupełnie nie wiem, czy nasze wytwórnie specjalizują się akurat w tej dziedzinie. Wprawdzie Robert Mucha na „Polskim Fiacie 125p" odnosił wielkie sukcesy w 1972 roku, ale to była zupełnie inna sprawa. Od tego czasu cośkolwiek w przemyśle samochodowym zmieniło się. I już „Polonezom" nie dawano takich szans, dlatego też, jako cel ich sportowego rajdu postanowiono: dojechać do Monte Carlo. Ale okazało się, że mimo to nasi kierowcy próbowali walczyć. Andrzej Jaroszewicz nieźle spisał się nawet na jednym ze specjalnych odcinków. W sumie jednak „Polonezy" znalazły się w pierwszej sześćdziesiątce samochodów, bo „Polonez" Andrzeja Jaroszewicza był 50, a Włodzimierza Groblewskiego — 53. Gdyby zajęły na przykład miejsca o 10 dalej, to można byłoby powiedzieć, że znalazły się w pierwszej siedemdziesiątce i też byłby powód do satysfakcji.

Witold Gombrowicz wyśmiewał pytanie: „Za co powinniśmy kochać Słowackiego?". Za to, „bo wielkim poetą był". Mimo to zapytam, za co powinniśmy kochać Stanisława Bobaka? I mimo, że pytanie jest podobne, odpowiedź powinna brzmieć inaczej. Prawidłowa odpowiedź oczywiście. Jak się nie ma tego, co się chce, to się kocha to, co się ma — oto właściwa odpowiedź. Stanisław Bobak po raz szósty zdobył tytuł mistrza Polski. Jest to niewątpliwie duży sukces i należą mu się zań gratulacje. Ale jakoś tak się składa, że nasz najlepszy skoczek narciarski, sześciokrotny mistrz Polski w skokach narciarskich, kiedy tylko wyjedzie poza granice Polski i znajdzie się wśród innych zawodników, to plasuje się na dalekich pozycjach. Gdzieś tam w pierwszej trzydziestce, albo i dalej, w pierwszej czterdziestce, jako że tę pierwszą grupę miejsc zawsze można dowolnie przesuwać, aby „wyjść na swoje".

Nie wątpię, że Stanisław Bobak po prostu ma pecha. Nie służą mu inne skocznie. Nie śmiem przecież myśleć, że my nie mamy dobrych skoczków. Piotrowi Fijasowi powiodło się wprawdzie w tegorocznym Konkursie Czterech Skoczni, a zupełnie nie powiodło się w Zakopanem i mało co, a nogi by sobie połamał. Ale jeden Piotr Fijas wiosny jeszcze nie czyni. W polskim narciarstwie wiosna bardzo potrzebna, nie ta dosłowna, ta w przenośni, która zwiastowałaby, że coś się dzieje, że coś się zmienia, że wyrosła już kadra następców, bo gdzieś tam ona rośnie, ktoś nad nią pracuje, ale kibic czeka na to nadejście młodych z niecierpliwością.

I powiem szczerze, ucieszę się, kiedy ktoś wreszcie odbierze tytuł mistrza Polski Stanisławowi Bobakowi. Jemu będzie przykro, ale będzie to znak, że coś się ruszyło, że może już nie będziemy musieli wymyślać pierwszej pięćdziesiątki miejsc, by tylko mieć jakąś satysfakcję.

Do oceny różnych wyników sportowych, i nie tylko, przykładamy nie zawsze taką samą skalę. Przykład Stanisława Bobaka jest tu jak najbardziej właściwy. W Zakopanem skoczył on 81,5 m i tyle wystarczyło do zdobycia tytułu mistrza Polski. W tej skali St. Bobak jest dobry. Ale gdzie indziej trzeba skakać dalej, tam jest już inna skala i do niej St. Bobak nie pasuje. Chyba, że będziemy stosowali własną skalę, na własne potrzeby, niezbędną dla utrzymania dobrego samopoczucia. Tylko, że wtedy w ogóle najlepiej nie wyjeżdżać na zagraniczne imprezy sportowe, a będziemy mieli samych mistrzów.

BOGDA MADEJ

O CZYM CHCIELIBYŚMY PRZYPOMNIEĆ

LEWYM OKIEM

Już w zamierzchłej, przedwojennej epoce, w jednej ze swych świetnych „Kronik Tygodniowych", dziwił się Antoni Słonimski, jak to właściwie jest: jedni specjaliści od ekonomii twierdzą, że Szwajcaria zawdzięcza swoje sukcesy gospodarcze i wysoką stopę życiową temu, że tylko znikomą część dochodu narodowego poświęca na zbrojenia, a jednocześnie inni specjaliści powiadają, że w Trzeciej Rzeszy Niemieckiej właśnie wielkie zbrojenia spowodowały rozkwit gospodarki i zlikwidowanie ogólnej biedy?

Znakomity publicysta, Kazimierz Dziewanowski, pisał w „Literaturze" w czerwcu ubiegłego roku o pięciu kapitalistycznych krajach świata, wykazujących najwyższy dochód narodowy na jednego mieszkańca. Te kraje to: Szwecja, Szwajcaria, Kanada, Stany Zjednoczone i Norwegia. Autor zastanawiał się nad źródłami owej prosperity i stwierdził, że błędem byłoby doszukiwać się tych źródeł w klimacie, położeniu geograficznym, charakterze mieszkańców, lub w panujących tam stosunkach gospodarczo-politycznych.

Trochę dalej w tym samym artykule pisze Dziewanowski o Kanadzie: **„Położenie geograficzne odgrywa tu pokaźną rolę.** Tajemnicą szybkiego wzrostu dochodu narodowego w tym kraju jest przede wszystkim jego ogrom i niezmierzone bogactwa naturalne. Jest to **słabo zaludniony obszar** ogromnych możliwości, nic więc dziwnego, że jest to też kraj szybkiego rozwoju".

A więc — choć położenie geograficzne przez pomyłkę tylko uznajemy za współczynnik rozwoju gospodarczego, to jednak Kanada bogaci się szybko — widocznie przez omyłkę — dzięki temu właśnie współczynnikowi; poza tym zaś dzięki temu, że jest obszarem słabo zaludnionym.

Natomiast potęga Stanów Zjednoczonych nikogo nie zaskakuje — zdaniem Dziewanowskiego — „jeśli weźmie się pod uwagę, że liczą one ponad 200 milionów mieszkańców, podczas gdy pozostałe kraje — po kilka, najwyżej po kilkanaście".

Czyli Kanada jest bogata, bo słabo zaludniona, a Stany Zjednoczone bogate, bo gęsto zaludnione.

Co do Szwajcarii, to dowiadujemy się, że tylko część dochodu narodowego jest tam naprawdę, rzetelnie wypracowana, poza tym zaś dochód ten jest „dywidendą, jaką przynosi neutralność, długotrwały pokój i **uznany w świecie wysoki standard szwajcarskiej uczciwości**, a także sława i zaufanie, jakimi cieszą się banki szwajcarskie". Żeby obraz był kompletny, dowiadujemy się, że na korzyść Szwajcarii działa także położenie geograficzne, znów — jak wiemy — przez pomyłkę.

Jeszcze raz zatem przypomnijmy Słonimskiego, a raczej cytowane przezeń powiedzonko Franca Fiszera: „— Ty masz dobrze, ty zaraz pójdziesz do domu spać, a ja się jeszcze muszę rozebrać..." Szwajcar ma dobrze, bo oprócz pracowitości obcina dywidendy od zaufania do jego banków i od swej sławnej uczciwości. No dobrze, a czy na takie zaufanie i na taką sławę nie trzeba rzetelnie zapracować?

To jest właśnie najbardziej kapitalny fundament pod gmach rozwoju gospodarczego! **Wszystko** musi być wypracowane i **wszystko** zależy od pracy. Niemiecka Republika Demokratyczna wysunęła się do pierwszej dziesiątki krajów w Europie, chociaż jej położenie geograficzne jest takie, że nie posiada ani ropy, ani węgla, ani rudy żelaznej, ani siarki — czterech zasadniczych surowców. Można mówić o zaludnieniu małym lub dużym, a dowolność tej argumentacji ujawniają najlepiej mimowolne sprzeczności w artykule Dziewanowskiego. Na pierwszym planie jest jednak zawsze praca i ona decyduje — oczywiście w czasach pokoju, bo wojna i wszystko co się z nią wiąże jest patologią celowej działalności ludzkiej — o sytuacji gospodarczej kraju. O czym chcieliśmy przypomnieć u progu nowego roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego.

ĆWIEK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 145. A-2.